Dodatek do „Gazety Lwowskiej".

PRZEWODNIK

NAUKOWY I LITERACKI

Rok XXVIII.

Tom XXVIII. — Zeszyt VII. Lipiec — 1900.

Odpowiedzialny redaktor: Adam Krechowiecki.

WE LWOWIE.
Nakładem wydawnictwa „Gazety Lwowskiej".
Z drukarni Wł. Łozińskiego.
(Zarządca W. J. Weber).
1900.

Treść zeszytu.

Agenor hr. Gołuchowski

w pierwszym okresie rządów swoich

(1846—1859).

(Ciąg dalszy).

W sprawie hr. Załuskiego zwycięztwo hr. Gołuchowskiego polegało, jak powiedzieliśmy, na tem tylko, że się wydobył z pod przewagi Hammersteina. Więcej wtedy osiągnąć nie mógł, bo i to już na ówczesne stosunki nazwać można bardzo szczęśliwą — niespodzianką. To też na sprawie tej nie skończyły się ani reklamacye rossyjskie, ani aspiracye Hammersteina do „zrobienia porządku“ w Galicyi a tem samem i do zatarcia poniesionej klęski, do uchylenia wyłomu zrobionego w jego wszechwładności.

Na rozkaz cara Mikołaja I. przybył do Lwowa przy końcu lipca 1849 r. rossyjski pułkownik, książę Radziwiłł, i nie oglądając się na hr. Gołuchowskiego zwrócił się wprost do Hammersteina z żądaniem, aby aresztowano wszystkie osoby, które tajna policya rossyjska wskazała jako podejrzane o knowania spiskowe. Za pośrednictwem swojego adjutanta a więc poniekąd nawet z uchybieniem kurtoazyi należnej szefowi kraju Hammerstein przedłożył mu swoją listę proskrypcyjną, na której na pierwszem miejscu stało nazwisko dr. Franciszka Smolki a po niem nazwisko dr. Floryana Ziemiałkowskiego, Karola Hubricha, Adolfa Lea i Karola Schneidra. Fakt, że Hammerstein tym razem już nie sam na własną rękę przystąpił do aresztowania osób wskazanych przez tajną policyę rossyjską jako niebezpieczne, lecz przedtem opowiedział się szefowi kraju, stanowi pierwszy skutek praktyczny zwycięztwa, odniesionego przez hr. Gołuchowskiego w sporze o wywiezienie hr. Załuskiego. Z aktów, rzeczy zupełnie nie wyczerpujących z tego powodu, że wtedy wiele rozstrzygano w krótkiej drodze bez zbytniej pisaniny, wynika niewątpliwie, iż hr. Gołuchowski żądanie

Hammersteina od razu uznał co do wszystkich powyższych osób za niedość uzasadnione pozytywnemi datami. Jednakże tylko co do Smolki mógł bez żądania bliższych dochodzeń wystąpić z tak dobitnem przedstawieniem niestosowności arbitralnych kroków, które jako skierowane przeciw byłemu prezydentowi konstytuanty austryackiej, więc osobistości poniekąd sławy europejskiej zażywającej, sprawiłyby powszechną sensacyę i zaniepokojenie, że ostatecznie Hammerstein musiał ustąpić. Za to wszyscy inni powyżej wymienieni „spiskowcy“ zostali — mimo zastrzeżeń Gołuchowskiego — 31. lipca 1849 r. aresztowani i wywiezieni do innych prowincyi celem internowania na czas nieograniczony. Ale i tym razem sprawka Hammersteina nie poszła gładko. Głośna już wtedy w kraju historya wywiezienia hr. Załuskiego do Warszawy i jego powrotu do Galicyi mimo wydanego przez rossyjski sąd wojenny wyroku śmierci, rzuciła pewien cień na powagę Hammersteina. Nie uchodziła już ona za tak nietykalną, żeby ofiary jego arbitralnej surowości nie śmiały nawet pokusić się o legalną remonstracyę. To też dr. Ziemiałkowski, wywieziony do Tyrolu tak pospiesznie, że nawet interesów prywatnych uregulować nie mógł, wniósł do ministerstwa bardzo energiczną remonstracyę. Chodziło tutaj o posła głośnego ze swojej opozycyjnej roli w konstytuancie austryackiej, więc liczono się w Wiedniu ze skargą i zażądano od hr. Gołuchowskiego relacyi w porozumieniu z Hammersteinem. Ten nie oglądając się na hr. Gołuchowskiego, albo raczej widząc niezgodność zdań wykluczającą porozumienie się, wystosował sam do ministra wojny 8. września 1849 r. relacyę, w której wrzekomo uzasadnia aresztowanie dr. Ziemiałkowskiego i towarzyszy a w rzeczywistości tylko jaskrawo objaśnia swoją dowolność. „W czasie — pisze Hammerstein — kiedy zacięty opór buntowniczej załogi Komorna w tak opłakany sposob sparaliżował plany cesarskiej siły zbrojnej i kiedy w ogóle niepomyślne jeszcze wtedy wyniki operacyi wywarły jawny wpływ na publiczną opinię w Galicyi, mianowicie w kołach polskich, uwaga moja musiała być przedewszystkiem ku temu celowi skierowaną, aby rozbudzone widocznie tą krytyczną fazą operacyi sympatye i spotęgowane nadzieje stronnictwa przewrotu wobec sprawy węgierskiej zostały jaknajenergiczniej stłumione. Wówczas to otrzymałem od bardzo poważnych patryotów i od bardzo wiarogodnych organów rewelacyę, że były prezydent parlamentu Smolka miewa z dr. Floryanem Ziemiałkowskim, gubernialnym praktykantem Adolfem Leo, z prywatystą Hubrichem i z synem drukarza, Karolem Schneidrem, schadzki, które niezawodnie domy-

ślać się kazały złych i dla rządu niebezpiecznych tendencyi. Wtedy to właśnie zostało mi zakomunikowane najwyższe życzenie Najjaśn. Cesarza rossyjskiego, aby na tyłach zjednoczonych armii surowo nadzorowano i ile możności z kraju wydalono wszystkie politycznie niebezpieczne indywidua. Jako głównych podżegaczy i politycznie niebezpieczne indywidua wskazane mi zostały powyżej wymienione i ze Lwowa wydalone osoby.“

W relacyi Hammersteina jest jeszcze wzmianka o udziale, jaki wydaleni mieli w knowaniach z r. 1846. Miała ona na celu nie tyle uzasadnienie zarządzeń już wydanych, ile takie nastrojenie ministra wojny, aby zapobiegł powrotowi wydalonych do Lwowa, do czego minister spraw wewnętrznych, informowany przez szefa kraju, widocznie skłaniać się zaczynał. Osobliwie niebezpiecznym wydawał się Hammersteinowi powrót dr. Ziemiałkowskiego do Lwowa, „gdyż jako doradca prawny może on we wszystkich kołach ludności swojemi spiskowemi dążnościami wywierać wpływ niebezpieczny w najwyższym stopniu, do czego najlepszym pretextem byłoby komunikowanie się z klientami a do czego wymowny Ziemiałkowski dążyłby z ostentacyą politycznego męczennika.“

Wtedy jednak Hammerstein już nie lekceważył sobie ewentualnej interwencyi hr. Gołuchowskiego w sprawach przez siebie rozstrzygniętych, bo dodaje — do czego w relacyi do ministra wojny wystosowanej właściwie nie było powodu — to swoją drogą obłudne zapewnienie, że „od chwili ogłoszenia stanu oblężenia szczególnie pamięta o tem, aby wszelkie zarządzenia w sprawach publicznych zawsze następowały w porozumieniu z politycznym szefem kraju.“

Odpis tej relacyi swojej przesłał Hammerstein hr. Gołuchowskiemu, który pismem z 13. września 1849 r. zwrócił się do ministra spraw wewnętrznych i rzecz przedstawił tak, że niepotrzeba nawet wielkiej przenikliwości biurokratycznej, ażeby dostrzedz, iż pomimo wszelkiej kurtoazyi urzędowej w formach antagonizm osobisty między hr. Gołuchowskim a generałem komenderującym wcale nie ustał. „Dnia 30. lipca — pisze hr. Gołuchowski do ministra Bacha — przybył do mnie major Heimerle i oznajmił mi z polecenia generała komenderującego barona Hammersteina, że interesa publicznego spokoju i bezpieczeństwa wymagają tego, aby znane już z poprzednich procesów o zdradę stanu cztery osoby (Ziemiałkowski, Hubrich, Leo i Schneider) zostały uwięzione, gdyż odbywają często schadzki u usuniętego od służby wojskowej starszego lekarza, Bernatzkiego, który swoją opinią i zachowaniem pod względ-

dem politycznym ściągnął na siebie podejrzenie. Zapytany o zdanie oświadczyłem, że o ile zarządzenie to br. Hammerstein uważa za potrzebne dla bezpieczeństwa miasta i kraju, nie mam nic do nadmienienia, skoro według wysokiej instrukcyi ze względu na wyjątkowe położenie prowincyi z powodu stanu wojennego zdanie generała komenderującego ma być rozstrzygające w zarządzeniach dla publicznego bezpieczeństwa wydać się mających. Nie mogłem jednak pominąć uwagi, że wobec publiczności byłoby pożądanem, aby żądane uwięzienie poparte zostało jakiemikolwiek pozytywnemi spostrzeżeniami co do niebezpiecznego postępowania tych osób a to tem więcej, że nic o tem niewiadomo, żeby wspomniane schadzki u Bernatzkiego miały być niebezpieczne. Uznałem zatem za rzecz stosowną, aby owe osoby były co do swoich schadzek nadzorowane i aby przeprowadzono rewizye domowe, które w czasie stanu oblężenia wśród wszelkich okoliczności dałoby się usprawiedliwić. Dalsze zarządzenia należałoby potem wydać według wyniku rewizyi. Czy wskutek tej uwagi mojej zarządzono jakie dochodzenie, o tem niemam żadnej wiadomości. Nazajutrz jednak otrzymałem doniesienie policyjne, że owe cztery osoby zostały aresztowane. Tegoż dnia (31. lipca) otrzymałem od br. Hammersteina pismo z oznajmieniem, że jestto w interesie publicznego spokoju i bezpieczeństwa nadzwyczaj potrzebnem, aby owe osoby zostały jaknajprędzej z Galicyi wydalone. Pismo to zawierało dalej żądanie, abym zarządził to wydalenie. To też w myśl wysokich poleceń nie omieszkałem zaraz zarządzić konfinowania aresztowanych w miejscowościach, które samo Wys. Ministerstwo na podobne ewentualności zaleciło. Podając to do wiadomości W. Exc., nie myślę tem bynajmniej wzbudzać mniemania, jakobym był przekonany, iż wspomniane osoby są niewinne i wcale żadnej nie wzbudzały wątpliwości. Antecedencye ich owszem są tego rodzaju, że ścisły nadzór był potrzebny. Wszystko przemawiać się zdaje za tem, że Ziemiałkowski także w ostatnich czasach zostawał w ścisłych stosunkach ze stronnictwem rewolucyjnem. Zachowanie się Hubricha w r. 1848 nie było bynajmniej spokojne. Dał on się użyć na agitatora w kołach proletaryatu i, jak mówiono, miał stać na jego czele podczas rozruchów lwowskich z 2. listopada 1848 r. O zachowaniu się Lea od czasu jego wstąpienia do służby państwowej nic doszło nic niekorzystnego do wiadomości władz a Schneider przez dłuższy czas przebywał w majątku swojego ojca w Grzędzie (w obwodzie lwowskim), nie ściągając na siebie żadnego podejrzenia. Sądzę tedy, że ze względu na publiczność należało przed zarządzeniem środków

obecnie zastosowanych poczynić badania i dochodzenia a dopiero na ich rezultacie oprzeć dyspozycye. Zwróciłem na to uwagę a nie moja to wina, że rzecz nie weszła na tę drogę, lecz zaraz bez uwzględnienia mojej uwagi i bez mojej dalszej interwencyi zastosowano zamierzone środki. Nie mogłem się oświadczyć przeciw tym środkom jako faktowi już dokonanemu a to tem mniej, ile że Wys. Ministerstwo wyraźnie przepisało mi tę dyrektywę, iż we wszystkich podobnych sprawach, tyczących się spokoju i porządku, opinia generała komenderującego ma być rozstrzygająca. Wywiezienie aresztowanych do innych prowincyi było tylko koniecznem następstwem samego aresztowania a do zarządzenia wywiezienia według żądania br. Hammersteina byłem obowiązany rozporządzeniem ministeryalnem. Ograniczywszy się tedy do samego skonfinowania wspomnianych czterech osób według danej mi instrukcyi, nie mogę co do samego przebiegu faktu dać żadnego usprawiedliwiającego wyjaśnienia. Ile mi wiadomo, po wywiezieniu aresztowanych nie prowadzono żadnych dochodzeń co do ich zachowania się lub winy. Władza polityczna dochodzeń takich prowadzić nie mogła, gdyż nie spowodowała ona aresztowania. Wypływa ztąd, że całe to zarządzenie jest tylko środkiem prewencyjnym, który na czas wojny węgierskiej uznany został przez br. Hammersteina za potrzebny dla spokoju i bezpieczeństwa miasta Lwowa i kraju a obecnie mógłby już być zaniechany. Co do kwestyi, czy wymienione osoby rzeczywiście wywiezione zostały z Galicyi z takim pośpiechem, że nie pozostawiono im dość czasu do zabrania przedmiotów potrzebnych na drogę i do dłuższego pobytu poza domem [1]), z mojej strony nie mogłem się nic pewnego dowiedzieć, gdyż aresztowanie dokonane zostało przez c. k. wojskowe organa. To tylko pewne, że aresztowani wywiezieni zostali już 1. sierpnia b. r. po godzinie 10 wieczorem szybkowozami i że rzecz cała traktowana była z wielką rezerwą.“

Jeżeli myślą cofniemy się w te smutne czasy i ztamtąd zaczerpniemy kryterya do oceniania aktów tego rodzaju, to i w powyższem piśmie hr. Gołuchowskiego uderzyć nas musi śmiały ton krytyki arbitralnego postępowania wszechwładnego br. Hammersteina a to tem więcej, że w tym wypadku niemożna już było jak w sprawie hr. Załuskiego wytoczyć do walki tak ciężkiej broni, jak względy na powagę i honor państwa, że dalej krytyka taka pośrednio stanowiła ujęcie się za osobami posądzonemi o spiskowanie

[1]) Zarzut ten mieści się w skardze dr. F. Ziemiałkowskiego.

na tyłach armii operującej w Węgrzech, więc za indywiduami, wówczas w pojęciu nietylko Hammersteina lecz w ogóle rządu niejako wyjętemi z pod prawa.

W danych stosunkach był to już sukces znaczący, że ministerstwo nie zadowoliło się arbitralnem załatwieniem skargi Ziemiałkowskiego w powyższem piśmie Hammersteina, lecz owszem oceniając należycie zastrzeżenia zawarte w relacyi hr. Gołuchowskiego, zażądało dalszych wyjaśnień i uzasadnienia wydanych zarządzeń. Nastąpiła dalsza wymiana pism między hr. Gołuchowskim a Hammersteinem, której zakończenie stanowczo już wypadło na korzyść pierwszego. Hammerstein bowiem w swojej relacyi do ministerstwa wojny z 18. kwietnia 1850 r. niemoże na usprawiedliwienie swoje dostarczyć konkretnych faktów, lecz tylko powołuje się na poprzednio podniesione ogólnikowe donosy o schadzkach spiskowych, dodając przytem, że donosiciele są ludźmi poważnymi, ale z obawy przed „namiętną, często niebezpieczną dla życia złością polskiej demokracyi“ nie dali się „za żadną cenę“ nakłonić do złożenia protokołowanych zeznań przeciw Ziemiałkowskiemu i towarzyszom. Do relacyi swojej dołączył Hammerstein pismo prezydyum sądu krajowego, nieznane zupełnie hr. Gołuchowskiemu i widocznie *in usum* władzy wojskowej wystawione, w którem Ziemiałkowski nazwany jest „koryfeuszem stronnictwa przewrotu, rozwijającym najruchliwszą akcyę celem wpojenia swoich wrogich rządowi opinii i dogmatów demokratycznych w bardzo przychylne dla nich warstwy społeczne.“ Metodą żołnierską zasłania w końcu Hammerstein swój odwrót w tej sprawie ogólnemi oskarżeniami, w których już szczerze przyznaje się do zupełnej samowoli. „Gdy chodzi — tak opiewa to ciekawe zeznanie — o zastosowanie politycznych środków bezpieczeństwa, sposób postępowania niemoże stosować się do kryteryów ścisłego udowodnienia faktów sądowo-karnych. W kraju, w którym żywioły przewrotu tak głęboko zapuściły korzenie, gdzie, jak to podczas trwania stanu oblężenia codzienne doświadczenia wykazują, starzy spiskowcy nie chcą zaniechać wrogich rządowi dążności, lecz owszem występują ciągle z nowemi ideami, które na tle stereotypowego szalonego planu przewrotu utrzymują stronnictwo rewolucyjne w gorączkowej egzaltacyi, władza państwowa znaleźć się musi w sytuacyi, zniewalającej do użycia w interesie publicznego spokoju i bezpieczeństwa środków zapobiegawczych, zapewniających ten skutek, że za pomocą przykładnej surowości stłumiona zostaje pokusa do naśladownictwa w knowaniach, do schadzek politycznych i niebezpiecznych spisków.“ Po

tem przyznaniu się do żołnierskiej bezwzględności następuje oświadczenie, że skoro ministerstwo w myśl opinii hr. Gołuchowskiego wydaje się skłonnem do zezwolenia, aby Ziemiałkowski i towarzysze powrócili do kraju, władza wojskowa nie podnosi już opozycyi, ale w danym razie rozciągnie nad ułaskawionymi jaknajściślejszy dozór, aby „rządowi oszczędzić podobnych kollizyi i reklamacyi, w których wnoszeniu stronnictwo polskie jest nieznużone.“

Odpis tej relacyi zakomunikował Hammerstein hr. Gołuchowskiemu pismem, którego ustęp końcowy równa się już zupełnemu odwrotowi. Pozostawia bowiem uznaniu szefa kraju, „jaki użytek zrobić należy z komunikatu i czy wobec usunięcia wszelkich trudności co do powrotu wydalonych nie zechciałby sam przedstawić odpowiedniego wniosku ministerstwu spraw wewnętrznych.“ Mając w ręku takie przyznanie się Hammersteina do arbitralności, hr. Gołuchowski uczuł się już na zajętem od początku stanowisku legalności tak silnym, że nie zawahał się wysłać całego komunikatu do ministra Bacha (24. kwietnia 1850 r.) z komentarzem, równającym się otwartemu oskarżeniu władzy wojskowej o samowolę. „Jak przekonać się można — tak opiewa ów komentarz — z tej relacyi hr. Hammersteina, której załącznik (t. j. pismo sądu karnego) nie jest mi znany, konfinowanie (Ziemiałkowskiego i towarzyszy) nie mogło być usprawiedliwione dochodzeniami z ostatnich czasów. Zarządzenie to spowodowane zostało zatem tylko nagannemi antecedencyami politycznemi tych osób, wielką nieufnością co do ich dążności, którą podsyciły raporty organów bezpieczeństwa publicznego, wreszcie przypuszczeniem, że środek użyty odejmie pozostałym w kraju niebezpiecznym indywiduom chętkę do spiskowania. Z tego przekonać się może Wasza Excellencya, że zupełnie uzasadnioną była wypowiedziana w poprzednich relacyach moich opinia, iż wydalenie pomienionych osób nastąpiło jedynie na podstawie ogólnikowych podejrzeń i bez przytoczenia dat, które mogłyby wykazać jakiekolwiek karygodne działanie. W takim stanie rzeczy prezydyum krajowe nie widzi żadnej przeszkody w zezwoleniu na powrót pomienionych osób do Galicyi zwłaszcza wobec faktu, że już w poprzednich relacyach swoich wyraziło przekonanie, iż w razie, gdyby się nie dało uzasadnić oskarżenia co do schadzek niebezpiecznych, obecność osób wydalonych w kraju przy nieustannem nadzorowaniu nie groziłaby żadnem niebezpieczeństwem. W końcu dodaję, że internowany w Linzu chory na umyśle Adolf Leo między 15. a 20. b. m. odjedzie ze swoją małżonką do Galicyi i otrzymał na koszta powrotu 200 złr. Co do Lea muszę

jeszcze nadmienić, że wobec faktu, iż cierpiał on na zboczenie umysłowe jeszcze przed r. 1848, udział jego w jakichkolwiek niebezpiecznych związkach i schadzkach jest nieprawdopodobny. Sami uczestnicy bowiem w interesie tajemnicy wystrzegaliby się przypuszczenia do swojego grona człowieka, który w razie możliwego a w danym wypadku nawet prawdopodobnego powrotu choroby umysłowej mimowoli dopuścić się mógł zdrady.“

O powrocie Lea równocześnie zawiadomił hr. Gołuchowski generała Hammersteina, przyczem także co do samej formy zawiadomienia zaszła okoliczność, na pozór drobnej wagi i tylko dla kutego biurokraty dostrzegalna, w rzeczywistości jednak znamienna w wysokim stopniu na tle tego antagonizmu, jaki panował między rządem krajowym a generalną komendą wojskową. Br. Hammerstein, przyzwyczajony do roli komendanta, pisywał odezwy swoje do Namiestnictwa bez sakramentalnego nagłówka „*Note*“, który w ceremoniale referatowym stanowi zewnętrzną oznakę równorzędności władzy. Wyglądały więc te odezwy tak, jakgdyby piszący przemawiał do hierarchicznie niższego od siebie organu. Odpłacając pięknem za nadobne, w ostatniej odpowiedzi swojej hr. Gołuchowski polecił także opuszczenie owego sakramentalnego nagłówka a polecenie to zapisane zostało na akcie lapidarną instrukcyą dla expedytu: *ohne „Note“*.

Na sprawie Ziemiałkowskiego kończy się właściwie walka hr. Gołuchowskiego z generałem Hammersteinem. Znika on z widowni galicyjskiej, aby wreszcie spocząć na laurach, których ks. Windischgrätz nie dał mu pomnożyć na teatrze wojny w Węgrzech, dokąd rwał się koniecznie, ale niedopuszczony został z tego powodu, że jego obecność w Galicyi była uważana za niezbędną aż do pokonania Węgrów. Następca Hammersteina, generał Franciszek hr. Khevenhüller-Metsch, zajął wprawdzie to samo stanowisko hierarchiczne ale już bez tych wyjątkowych dyskrecyonalnych atrybucyi, jakiemi ks. Windischgrätz jego poprzednika wyposażył. Nadto znalazł się hr. Khevenhüller już nie wobec szefa kraju, lecz Namiestnika i tajnego radcy, czem wtedy mianowany został hr. Gołuchowski. Z Hammersteinem znikła z widowni także ruska Rada narodowa ze swojemi filiami, bo nie było już dla niej miejsca po zniesieniu wydanej tylko *pro forma* konstytucyi marcowej i zapanowaniu zdeklarowanego systemu absolutnego. Jako główna figura, dusza tego systemu, wysunął się na pierwszy plan minister dr. Alexander Bach, ex-liberał, który polityczną zmienność swoją oświetlił niejako bengalskim ogniem, wydając przy objęciu teki spraw

wewnętrznych okólnik do Namiestników i szefów krajowych, napisany w takim wolnomyślnym duchu i tonie, że wobec tego wszystkiego, co się potem stało, okólnik ten wygląda jak ideał wobec karykatury.

W Bachu, który, jak powyżej przedstawiliśmy, wśród walki hr. Gołuchowskiego z br. Hammersteinem stał po stronie ostatniego, Namiestnik galicyjski niemiał z pewnością zwolennika, ani nawet niemógł liczyć na taką miarę życzliwej neutralności, jakiej potrzebował w podjętem ciężkiem dziele administracyjnem. F. X. d'Abancourt, który mógł być wtajemniczony w wiele spraw zakulisowych tego okresu, bo posiadał zawsze sympatyę i zaufanie hr. Gołuchowskiego, tak przedstawia [1]) jego stanowisko wobec Bacha: „Nad tym peryodem (t. j. rządów absolutnych) możnaby snadnie przejść do porządku dziennego, gdyby nie ta okoliczność, że walka parlamentarna centralistów z autonomistami, przerwana siłą bagnetów w Kromieryżu, przeniosła się na pole walki osobistej między takimi dwoma zapaśnikami, jak minister spraw wewnętrznych i Namiestnik galicyjski, z których pierwszy potężny całym zastępem reakcyonistów pod przewodnictwem Windischgrätza i dysponujący absolutnie centralną biurokracyą, drugi wspierany względami u dworu a nadewszystko zaufaniem i łaską Monarchy. Można powiedzieć, że w walce tej Namiestnik galicyjski, Agenor hr. Gołuchowski, był przedstawicielem systemu autonomicznego, zaś minister spraw wewnętrznych dr. Alexander Bach, wcieloną reakcyą na czele biurokratycznego centralizmu a że przy znanej nieugiętości wojujących z sobą wykluczona była droga do kompromisu, więc też walka ta niemogła się inaczej skończyć, jak tylko dymissyą jednego z tych dwóch dygnitarzy i zakończyła się istotnie dymissyą Bacha. Powyższem porównaniem nie twierdzimy wcale, aby Gołuchowski już w owym czasie pojmował autonomię krajów koronnych w tem znaczeniu, jak ją pojmują autonomiści teraźniejsi, ale to pewna, że o ile na to pozwalał ciasny zakres jego władzy, przeszkody stawiane przez Bacha i ówczesna atmosfera polityczna, o tyle starał się wyzwalać kraj z pod centralizmu Bachowskiego i hegemonii niemieckiej. Szczęściem było dla kraju, że Gołuchowski przez całe dziesięciolecie mógł się utrzymać na swej posadzie. Był to czas wielkiej doniosłości dla kraju naszego, bo było to pierwsze łamanie lodów

---

[1]) Franciszek Xawery d'Abancourt: *Era konstytucyjna austro-węgierskiej Monarchii od r. 1848 do r. 1881.* — Kraków 1881 (str. 24—26).

przez Gołuchowskiego w drodze do teraźniejszej autonomii, którą później, jako następca Bacha i Namiestnik, wieloma nawrotami powoływany łaską Monarchy na tę ostatnią posadę, starał się w miarę sprzyjających okoliczności rozszerzać, bądź własnym swym wpływem, bądź przy pomocy równych jemu patryotów. Rządy namiestnicze Gołuchowskiego były nieprzerwanem pasmem najprzykrzejszych zajść z Bachem, obok zapoznania jego zasług w kraju. Gdy pierwsze przybierały zanadto drastyczny kierunek, to je łagodził Monarcha, na zapoznanie w kraju jedynem lekarstwem był niespożyty hart duszy i miłość rodzinnej ziemi."

Z tej charakterystyki pierwszego okresu rządów hr. Gołuchowskiego, charakterystyki podyktowanej przez pietyzm autora, w ścisłem, historycznem, traktowaniu rzeczy tylko druga połowa wytrzyma krytykę a pierwsza co najmniej wymaga pewnych zastrzeżeń. O takiem silnem, na wybitnie okazywanej łasce, zaufaniu i życzliwości Cesarza Franciszka Józefa opartem stanowisku młodego Namiestnika Galicyi może być mowa dopiero w okresie po r. 1855, gdy hr. Gołuchowski już po dwukrotnych odwiedzinach Cesarza w Galicyi, po swoich kilkukrotnych dłużej trwających pobytach w Wiedniu dla spraw urzędowych, po zaskarbieniu sobie życzliwości całej rodziny cesarskiej, zwłaszcza tak zjednanego przezeń dla naszego kraju Arcyksięcia Karola Ludwika w czasie jego pobytu we Lwowie, wreszcie, — co najważniejsza i co w oczach tak bystrego obserwatora spraw i stosunków, jakim notorycznie był Cesarz Franciszek Józef już w młodzieńczym wieku, najwięcej zaważyło na szali — po ujawnieniu się rezultatów wybornej administracyi kraju, wybił się w całym ówczesnym świecie urzędowym Austryi na przednie miejsce i mówiąc bez przesady światu temu imponować zaczął.

Stan rzeczy jednak, jaki panował w pierwszych kilku latach po r. 1848, był bardzo smutny dla kraju i bardzo trudny dla Namiestnika. Władza jego bowiem krępowana lub co najmniej utrudniona była na każdym kroku, nawet po ustąpieniu generała Hammersteina ze Lwowa, współrządami władzy wojskowej, której wyjątkowa rola ustała całkowicie dopiero z chwilą zniesienia stanu oblężenia t. j. w myśl najwyższego postanowienia z 9. kwietnia 1854 r. z dniem 1. maja tegoż roku. Przydłużenie rządów wojskowych ze wszystkiemi ich dolegliwościami administracyjnemi a przedewszystkiem ze wszelkiemi utrudnieniami w normalnych funkcyach cywilnej administracyi po za czas kampanii węgierskiej wypływało z pobudek politycznych. Według programu ks. Windischgrätza bowiem wszelkie reformy organizacyjne na Węgrzech, w ogóle w ca-

łem państwie, miały stać na drugim planie, dopóki nie zostaną wysnute najważniejsze konsekwencye ze zwycięztwa reakcyi a mianowicie dopóki z gruntu i doszczętnie nie zostaną zatarte wszystkie ślady przebytego okresu rewolucyjnego, dopóki wszystkie żywioły zamierzonego przewrotu, nie wyjmując najpodrzędniejszych, nie zostaną dotknięte repressyjnemi następstwami według stopnia winy, lub nie otrzymają pardonu jako upokorzone, zastraszone i oczywiście wskutek tego nawrócone na drogę lojalną. Rozumie się, że nazwą żywiołów przewrotu obejmowano nietylko główne figury ruchu spiskowego lub powstańczego, lecz w ogóle wszystkich, którzy w r. 1848 niebacznie piórem lub słowem propagowali skrajniejsze hasła. Pod to ciężkie jarzmo reakcyjnej repressyi w pierwszym rzędzie dostać się musiały oczywiście Węgry, jako zdobyte w krwawej walce i *ipso facto* pozbawione wszystkich tych praw politycznych, które do jesieni r. 1848 stanowiły formalnie uznawane prawo państwowe krajów korony św. Szczepana. Po Węgrzech Wiedeń jako centralne ognisko całego ruchu rewolucyjnego i także zdobyty w krwawej walce długo znosić miał następstwa otwarcie przez zwycięzką reakcyę przyjętego hasła: *vae victis!*

Galicyi br. Hammerstein jeszcze przed zbombardowaniem Lwowa zjednał opinię niebezpiecznego dla całego państwa i dla jego stosunku z ościennemi mocarstwami siedliska wszelkich emigracyjno-spiskowych knowań, zmierzających do odbudowania Polski, a nadto także opinię ogniska zachodnio-europejskich mrzonek komunistycznych, które wszedłszy w ścisły alians z temi knowaniami wrzekomo zainaugurowały akcyę niebezpieczną na popularnem tle darowania pańszczyzny. Zbombardowanie Lwowa uważał nietylko sam bohater tego aktu brutalnego, lecz także książę Windischgrätz i jego otoczenie, reprezentujące przyszłe reakcyjne sfery rządowe Austryi, za walne zwycieztwo nad całym ówczesnym ruchem rewolucyjnym, za ucięcie jednej głowy tej hydrze rewolucyjnej, która zdawała się już być niezwyciężoną. Kiedy później do tej opinii przyłączyła się jeszcze objawiona przez cara Mikołaja I. obawa, że w Galicyi przygotowuje się zamach powstańczy na tyły wojsk austryackich i rossyjskich w Węgrzech operujących, rachunek nieszczęśliwego kraju z zabierającą się do srogiego odwetu reakcyą był tak fatalnie obciążony, że pozycya hr. Gołuchowskiego wysilającego się na to, co wtedy jedynie było możliwem t. j. na odwracanie lub łagodzenie ciosów na Galicyę wymierzanych, była nad wyraz przykra, chociaż może już nie tak rozpaczliwa, jak w poprzednim otwartym sporze z Hammersteinem, mianowicie w chwili

postawienia tego sporu na ostrzu kwestyi gabinetowej. Wobec takiej sytuacyi na gorzką ironię zakrawa powyższe twierdzenie d'Abancourta, jakoby rozważny i ostrożny hr. Gołuchowski już od pierwszej chwili wyniesienia Bacha na stanowisko ministra spraw wewnętrznych rozpoczął z nim walkę podjazdowo-polityczną na tle dążności autonomicznych i centralistycznych. Zresztą w tych pierwszych latach odwetu reakcyi sam Bach musiał być powolny generałom, którzy, jak mianowicie komendant Wiednia Welden a później Kempen, reprezentowali w Wiedniu a ztąd i w całem państwie panujący system rządów militarnych, na Węgrzech i w Galicyi zaostrzony na formalny stan oblężenia a w innych prowincyach także zagarniający w swoje ręce atrybucye władzy cywilnej.

Było to prawdziwe nieszczęście dla Galicyi i wielka dywersya dla hr. Gołuchowskiego w staraniach o sprowadzenie administracyi kraju na normalne tory, że sprawa spiskowa nieszczęśliwego Juliana Goslara, osądzona w Wiedniu i zakończona jak wiadomo straceniem skazanego, utwierdziła reakcyjne sfery rządowe w tej opinii, jaką hr. Hammerstein wyrobił krajowi naszemu. W tej nieszczęsnej sprawie reklamacye sądu wojennego w Wiedniu zarządzały aresztowanie i wywiezienie z Galicyi wielu osób podejrzanych o współwinę nawet bez bliższego wskazania poszlak i bez interwencyi sądów krajowych. Groza surowego kwalifikowania sprawy, podniesiona jeszcze więcej tajemniczością aresztowań, podtrzymywała oczywiście ten gorączkowy nastrój umysłów, jaki w całem społeczeństwie polskiem, targanem od kilku lat szeregiem katastrof, wytworzyć się musiał. Nie wspominamy już o innych współczesnych spiskach studenckich, zasługujących w całej pełni na tę nazwę nietylko dlatego, że faktycznie chodziło o studentów, oskarżonych o zdradę stanu, obrazę majestatu i t. p., lecz także i z tego powodu, że sama *species facti* miała charakter lekkomyślnej sprawy studenckiej. I tutaj zapadały wyroki sądowe, więc sprawa ukryć się niedała przed Wiedniem, ale można ją było przynajmniej zredukować do właściwej miary i zapobiedz wysuwaniu daleko sięgających konsekwencyi. Ze sprawą Goslara miała się rzecz inaczej. Po jego straceniu konsekwencye zaciężyły dotkliwie nietylko na wielu osobach, które zostawały z nim w jakimkolwiek, chociażby niewinnym, ale dla przesadnej podejrzliwości ówczesnego rządu zawsze kompromitującym stosunku i — co gorsza — do pewnego stopnia na całem społeczeństwie polskiem w Galicyi, jako nowy dowód jego wrzekomej nieuleczalności z choroby spiskowej, dowód bardzo pożądany dla wrogów kraju nietylko wiedeńskich, z których uprzedzeniem już

się oswoić można było, lecz także dla wrogów domowych, dla epigonów ruskiej Rady narodowej, niezmordowanych w przedstawianiu buntowniczych Polaków jako politycznej antitezy lojalnych Rusinów.

Jak w niedawnej walce z Hammersteinem, tak i teraz świadomość lojalnego pojmowania i spełniania obowiązków tak wobec tronu i rządu jak i wobec interesów kraju w tem znaczeniu i w takiej rozciągłości, w jakiej interesa te w danej chwili w rachubę mogły być brane, dodawała hr. Gołuchowskiemu odwagi i dostarczała punktu oparcia do działań, które panującemu systemowi ogólnej i bezwzględnej repressyi w poprzek stawały. Z wielu przykładów w tej mierze, które ani w swoim czasie ani nawet później z tajników archiwalnych na jaw nie wyszły, przytoczymy tylko takie, które wprawdzie tyczą się osób i spraw mniejszego znaczenia, ale co do szczegółów samej *species facti* najlepiej objaśniają powyższą uwagę.

Jeden z trzech towarzyszy dr. Ziemiałkowskiego, wywiezionych w roku 1849 po za obręb Galicyi dla osłonięcia tyłów armii rossyjskiej w Węgrzech, i to towarzysz niepokaźny, Karol Hubrich, zwrócił się z miejsca wygnania (z Celowca w Karyntyi) do hr. Gołuchowskiego w czasie jego dłuższego pobytu w Wiedniu w r. 1850 z prośbą o wyjednanie powrotu. Hr. Gołuchowski nietylko ujął się za nim, lecz nadto z Wiednia wydał polecenie do ówczesnego zastępcy swojego we Lwowie (radcy dworu M. Krajewskiego, który właściwie był prezydentem krajowej władzy skarbowej, ale wtedy jako posiadający zaufanie Namiestnika na czas jego nieobecności obejmował także kierownictwo prezydyalnego biura), aby wezwał komendę wojskową do przytoczenia faktów uzasadniających tak zacięte postępowanie wobec Hubricha. Przewidując po korespondencyi urzędowej poprzednio w sprawie Ziemiałkowskiego przeprowadzonej, że takich faktów niema po za ogólnikowym zarzutem agitacyi w roku 1848, dodaje hr. Gołuchowski w tem poleceniu: „Proszę sprawę tę traktować z naciskiem a jeżeli odpowiedź komendy wojskowej nie nadejdzie w czasie jaknajkrótszym, to należy napisać relacyę do ministerstwa spraw wewnętrznych, przedstawić dokładnie cały przebieg sprawy i podnieść tę okoliczność, że komendę wojskową wzywano kilkakrotnie ale daremnie o wskazanie bliższych powodów zarządzeń, które, ile prezydyum krajowemu wiadomo, nie były poprzedzone żadnem dochodzeniem. Zarazem podnieść należy, że takie postępowanie jest niesprawiedliwe i niesłuszne, że dalej takiego postępowania na przyszłość starannie unikać należy, że wreszcie ze strony prezydyum krajowego nie zacho-

dzi żadna trudność co do zezwolenia na powrót Hubricha do kraju. Proszę tę relacyę przesłać pod moim adresem i sprawę ile możności przyspieszyć.“ Stało się oczywiście zaraz zadość temu poleceniu.

Trudniejsza była przeprawa z krakowską komendą wojskową, której w kwietniu r. 1850 uroiło się, że jest na tropie nowego spisku polskiego. Doniesiono jej bowiem, że Józef Łepkowski otrzymuje z zagranicy nieprzyjazne dla rządu książki i pisma a nadto zostaje w stosunkach z innemi osobami podejrzanemi. Na żądanie tej komendy władza polityczna zarządziła rewizyę domową u Łepkowskiego a rezultat jej wydobył na jaw — jeżeliby kto chciał o tem sądzić z relacyi wydelegowanego do rewizyi urzędnika — rzeczy straszne dla rządu i państwa! Takiemi przynajmniej wydały się owemu urzędnikowi wszystkie broszury, dzienniki i świstki znalezione u Łepkowskiego a przedewszystkiem egzemplarz drukowanej odezwy Bakumina do Słowian. „rzecz — tak opiewa relacya — może najwięcej rewolucyjna i najwięcej podburzająca ze wszystkiego, co wyszło z pod prasy w r. 1848 i dotąd rozpowszechnione zostało pomiędzy ludnością; każde słowo tchnie tam rewolucyą i terroryzmem.“ Oczywiście całą korespondencyę Łepkowskiego także przetrząśnięto i znaleziono przytem list medyka krakowskiego, Michała Chorubskiego, pisany w r. 1849 do Łepkowskiego podczas jego pobytu w Bytomiu (na Śląsku). List ten treści koleżeńskiej zawierał niewinne zresztą narzekania na rozpoczynającą się reakcyę i kilka osobistych wynurzeń, w których wymieniona była jakaś panna Tr. w ten sposób: „Z duszy serca pragnąłbym napisać Ci co o p. Tr., bo wiem, że to rozkosz dla Ciebie, lecz niestety, nie widziałem jej ani razu od Twego odjazdu.“ Ktoby dziś uwierzył temu, że owa pana Tr. bardzo zaniepokoiła ówczesną policyę krakowską, która ze swojej czarnej księgi osób podejrzanych w lot dorobiła do początkowych liter taką końcówkę, aby powstało nazwisko już czarno w policyi zapisane (Trylska). Spadła tedy zaraz policya do mieszkania Chorubskiego i oczywiście wszystko gruntownie przetrząsła z rezultatem — znowu strasznym. Znaleziono bowiem między pisemnemi notatkami Chorubskiego następujące pismo: „Podpisani pod słowem uczciwości zawierają między sobą następujące przyrzeczenie: iż dnia 1. maja 1860 r., gdziebykolwiek który z nich się znajdował, stawią się na rynku krakowskim pod kościołem Panny Maryi o godzinie 12 w południe. Gdyby zaś nader ważna okoliczność wstrzymywała którego z nich od tego obowiązku, w razie takim ma nadesłać list pod adresem Włodzimierza Łepkowskiego (poste restante Kraków), tak, aby tenże na powyższy dzień konie-

cznie się w Krakowie znajdował. Niniejszą zgodę obowiązuje się każdy z podpisujących zawsze dla pamięci nosić przy sobie. — Kraków 19. marca 1850 r. — Włodzimierz Młocki (praktykant konceptowy komisyi gubernialnej). Michał Chorubski, Gustaw Czerniecki, Józef Łepkowski.“

Co miała znaczyć ta schadzka? Chodziło zapewne o jakiś zjazd koleżeński podobny do tych tak licznie i często dziś odprawianych zjazdów maturzyckich i t. d. Ale wtedy każda forma schadzki wywoływała już podejrzenie policyjne a tajemniczość celu uchodziła za niemylną oznakę jego zbrodniczego charakteru. A do tego jeszcze szefem policyi był wtedy w Krakowie Karol Neusser, który później jeszcze się nam przypomni w sprawie donioślejszej, znany już ze swojej działalności w roku 1846 wprawdzie nie jako lichy człowiek, podobny do tych, którzy wtedy prowokowali krwawe sceny, ale zawsze jako nieprzebłagany rygorysta w spełnianiu każdego polecenia przełożonej władzy, zwłaszcza wtedy, gdy chodziło o sprawy z politycznem zabarwieniem, torujące najlepiej drogę do awansów i odznaczeń. Otóż ten Neusser był pewny, że chodzi tutaj o formalny na długie czasy i odległe cele obliczony spisek polski, w który wplątał oczywiście ową pannę Tr. — według listu Chorubskiego — „rozkosz“ Łepkowskiego i inne osoby. Odeszły tedy zaraz relacye do komendy wojskowej i do hr. Gołuchowskiego, wówczas w Wiedniu bawiącego. Od komendy wojskowej żądał Neusser ewentualnych dalszych poleceń, chociaż powołany był do tego właściwie hr. Gołuchowski, który nawet po zaprowadzeniu w r. 1849 nieszczęsnego, co do kompetencyi powikłanego a normalną administracyę kraju na każdym kroku utrudniającego, podziału Galicyi, miał zwłaszcza w sprawach politycznego charakteru zwierzchni nadzór także nad krakowską komisyą gubernialną. Relacya Neussera z 10. kwietnia 1850 r. zaczynała się od słów: „Według listów Chorubskiego i Łepkowskiego cel zamierzonej schadzki powyżej wymienionych czterech indywiduów jest niewątpliwie rewolucyjny“ i t. d. w tym duchu. Dodajmy do tego, że w te cele rewolucyjne wplątany był urzędnik (Młocki) a będziemy sobie mogli wyobrazić, z jaką dumą spoglądał Neusser na swoje dzieło i jak sobie przedstawiał sensacyę, sprawioną tem odkryciem na bawiącym w Wiedniu Namiestniku, którego już zapewne w duchu widział spieszącego do ministra spraw wewnętrznych celem podzielenia się tą wiadomością i jej najbliższemi skutkami t. j. sensacyą i przerażeniem. Jeżeli sobie Neusser tak rzecz przedstawiał, to niemiłego doznać musiał rozczarowania, gdy mu już

w kilka dni później radca dworu Ettmayer, ówczesny szef krakowskiej komisyi gubernialnej, zakomunikował wiedeński reskrypt hr. Gołuchowskiego, w którym na wstępie zaraz znajdowała się taka decyzya: „Cel tych schadzek nie jest bliżej wskazany a niema żadnego punktu oparcia do przypisywania im celów rewolucyjnych“. Za tem zdaniem, rzecz od razu ubijającem, następowało polecenie do Ettmayera, aby zwracał uwagę na wplątanego w tę sprawę urzędnika Młockiego i dopiero w razie sprawdzenia rzeczywiście podejrzanych stosunków postąpił z nim według rygoru dyscyplinarnego.

O całej tej sprawie hr. Gołuchowski nawet nie doniósł Bachowi, uważając ją za bagatelę niegodną nawet takiego rozgłosu, jakiego już w policyi krakowskiej nabrała. Wyobraźmy sobie jednak taką sprawę w rękach Namiestnika, idącego ślepo za podszeptami takich policyjno-spiskowych maniaków! Mniejsza już o nieszczęście, jakie spadłoby w formie krótszego lub dłuższego więzienia śledczego na każdego, czyje nazwisko znajdowało się przypadkowo zanotowane w zabranych przy rewizyi listach i zapiskach. Ale ówczesne sfery rządowe w Wiedniu, chwytające każdą sposobność do uzasadnienia i zaostrzenia rozpoczętej repressyi reakcyjnej, rzuciłyby się niezawodnie chciwie nawet na taką drobnostkę, jako na wrzekomy nowy symptom ognia rewolucyjnego, tlejącego ciągle pod gruzami stłumionego w Galicyi ruchu narodowego.

Neusser tem fiaskiem wcale się nie odstraszył od wietrzenia spisków w pierwszym lepszym liście podejrzanej lub chociażby tylko tajemniczej treści. W rok później wpadł mu w Krakowie do rąk list podobny, z którego wysnuł znowu wniosek, że we Lwowie knuje się spisek polski. Oczywiście i tym razem chodziło o urojenie, które skończyć się musiało także fiaskiem.

Ale nie wszystko dało się w ten sposób ubić. Istniała bowiem wtedy niejako cicha konwencya pomiędzy Rossyą, Prusami i Austryą co do wzajemnego komunikowania sobie poufnych doniesień a nawet co do wzajemnego ścigania i wydawania indywiduów, z któremi jeden z tych rządów miał rachunek niewyrównany. W takich razach wypadło nieraz postąpić z całym rygorem repressyjnym, albo zejść z tej drogi ścisłej legalności i lojalności, z której hr. Gołuchowski zboczyć nigdy nie chciał, chociażby to chwilowo wrogo przeciw niemu nastroić miało opinię publiczną w kraju. Uwaga ta odnosi się szczególnie do sprawy Agatona Gillera, której nie zapomniano hr. Gołuchowskiemu do ostatniej

chwili, nawet wtedy, gdy już kraj cały zbierał owoce autonomiczne jego poprzedniej długoletniej, ciężkiej a wytrwałej pracy.

Giller w r. 1849 wybrał się z Królestwa Polskiego do Austryi z zamiarem zaciągnięcia się do legionu polskiego na Węgrzech. Władze pruskie aresztowały go w chwili przekroczenia granicy i osadziły w więzieniu w Raciborzu. Gdyby wtedy wiadomy był cel jego wyprawy, byłby zaraz odstawiony do granicy rossyjskiej i wydany władzom rossyjskim, bo władze pruskie tak samo jak austryackie miały ścisłe polecenie, aby z żywiołami rewolucyjnemi z za kordonu bezwzględnie w ten sposób postępowały. Było to stanowczem życzeniem albo raczej rozkazem cara Mikołaja I., który nietylko do Austryi rościł sobie prawo wdzięczności, jako pogromca zrewoltowanych Węgier, lecz także wobec Prus, jako pogromca hydry rewolucyjnej w ogóle. Ale w Raciborzu powiodło się Gillerowi wyprowadzić w pole podejrzliwą policyę pruską i wskutek tego przesiedziawszy kilka miesięcy w więzieniu puszczony został na wolność z tem zastrzeżeniem, że się wydali z obrębu Prus. Giller wybrał sobie Belgię jako kraj pobytu, ale czy władze pruskie nie dopilnowały Gillera, czy zdołał on znowu wyprowadzić w pole pruską eskortę policyjną, faktem jest w każdym razie, że nie wyjechał za granicę, lecz bawił dłuższy czas cichaczem w Poznańskiem, dopóki nie uczuł się zagrożonym. Przeniósł się potem do Krakowa i tutaj otrzymawszy pasport niejakiego Stanisława Zwierskiego z Poznańskiego szukał środków do życia w kołach literackich. W tych czasach piórem utrzymania zdobyćby sobie nie zdołał nawet literat z bardzo wybitnym talentem pisarskim, którego Giller nie posiadał. Przyjął on tedy w r. 1852 miejsce nauczyciela domowego w Pieniakach w Złoczowskiem (u A. hr. Miączyńskiego). W normalnych stosunkach byłby tam długo pozostawał w ukryciu i może nawet uszedł cało mimo denuncyacyi niewyczerpanego i niestrudzonego w tej mierze Neussera z Krakowa. Doniósł on właśnie wtedy Namiestnictwu o nowym spisku, czy zawiązku nowego spisku, chociaż cała ta historya ograniczała się do niewinnej wycieczki Wincentego Pola, Kuczyńskiego i innych profesorów krakowskich z gronem studentów, pomiędzy którymi był także Giller, do Zakopanego, gdzie (*horribile dictu* w oczach Neussera) śpiewano pieśni („Kto się w opiekę“ i t. d.) i ze składek postawiono na zaniedbanym grobie samobójcy krzyż z napisem: „I nie nad Boga!“ Na nieszczęście Gillera jednak władze pruskie po własnej nitce doszły do kłębka, dowiedziały się o wszystkich kolejach Gillera od wyjścia z więzienia raciborskiego, o jego

fałszywem nazwisku i obcym pasporcie, wreszcie nawet i o pobycie w Pieniakach. Denuncyacya pruska, wysłana do Lwowa a zapewne równocześnie i do Wiednia, była tak dokładna, że gdy do Pieniak zjechał komisarz policyi lwowskiej (Bryńkowski) i szczegóły przedstawił Gillerowi, ten od razu potwierdził ich prawdziwość. Już tem samem na pół zgubiony Giller sam się dobił przez to, że chociaż do tego nie brakło mu czasu i chociaż miał do czynienia z komisarzem łatwiejszym do podejścia aniżeli pruska policya — nie zniszczył dziennika swoich peregrynacyi, w którym obok niewinnych wspomnień było mnóstwo skrajno-rewolucyjnych uwag, poglądów i t. d. a nawet przyznanie się do zamiaru uczestniczenia w kampanii węgierskiej. W przesłuchaniu Giller tajemnicze słowa tego dziennika objaśniał dość zręcznie, ale otwartych wynurzeń rewolucyjnych ani zaprzeczyć, ani nawet osłabić niemógł i wreszcie nie próbował. W końcowych oświadczeniach protokolarnych stanął stanowczo na stanowisku skruszonego winowajcy, tłómacząc się młodym wiekiem skłonnym do przesady i burzliwością czasów, w których takie wynurzenia idą na karb egzaltacyi. Zakończył zeznania swoje taką apelacyą do wspaniałomyślności austryackiego a pośrednio i rossyjskiego rządu, że mógł oczekiwać łagodnego traktowania. Wydalenie z Austryi było wprawdzie wobec powyżej wspomnianej konwencyi nieuniknionem, ale protokolarnie objawiona skrucha młodego spiskowca powinna była wpłynąć korzystnie na postępowanie władz rossyjskich. Że się tak nie stało, lecz Gillera skazano na Sybir, to już nie wina rządu austryackiego. Dziś tego nawet utrzymywać niemożna, że dla Gillera lepiejby się było stało, gdyby go po zeznaniach jego władza austryacka pociągnęła była do karno-sądowej odpowiedzialności za przyznane bez zastrzeżeń usiłowanie uczestniczenia w walce rewolucyjnej na Węgrzech i za inne przestępstwa polityczne, których ślady znajdowały się w zabranych papierach. W tych czasach bowiem sądy wojenne nie traktowały lekko nawet takich usiłowań i poszlak obciążających. Groziły więc Gillerowi i w takim razie kazamaty austryackie a czy z tych kazamat byłby wyszedł od razu na wolność, czy dopiero *via* Sybir — bo jako ukarany przestępca musiałby być po odsiedzeniu kary z mocy prawa odstawiony do granicy rossyjskiej — to już kwestya domysłów nieuchwytnych a dziś także i spóźnionych. Ci, którzy do ostatka niemogli hr. Gołuchowskiemu darować sprawy Gillera, mieli oczywiście na powyższą kwestyę inne łatwiejsze rozwiązanie w pogotowiu. Trzeba było puścić Gillera na wolność, nie oglądając się na wszy-

stkie trudności prawne i polityczne! Sam Giller w czasie późniejszego długiego pobytu swojego w Galicyi już pod osłoną austryackich praw konstytucyjnych, której nie odmawiano po roku 1863 ani jemu, ani nawet jego skrajniejszym kolegom z powstańczego Rządu narodowego, zapewne nabrał tego przekonania, że w r. 1852 był tylko ofiarą wyjątkowych stosunków i twardych warunków prawnych, z pod których ani sam się wyłamać nie umiał ani przez innych ocalony być nie mógł taką zwyczajną miarą pobłażliwości i wyrozumiałości, jakiej mniej obciążeni doznawali.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

KORESPONDENCYA
JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Do Pana Stefana Witwickiego.

Hyères (Var), 31. stycznia 1847 r.

Kochany i szanowny nasz bracie Stefanie... czy godzi się od tak dawna nie dać nam znać o sobie, nie napisać, jak się masz na zdrowiu? Jeśliś myślał, że na cukrowe miesiące same pieszczoty nowożeńców wystarczą, to mogłeś przecie wspomnieć, że jest jeszcze ktoś trzeci z niemi, co tych pieszczot nie dzieli, a nie mniej ciebie kocha i bardzo szacuje. Dam tu wszakże świadectwo i nowożeńcom, że czy się pieszczą, czy kaprysują, to tak zawsze ciebie wspominają. Cygance [1]), jak czasem wsiądą muszki na nos, to tupie nóżką, a mówi: „Och! co mi ten Witwicki narobił" — i znowuż jak się zaświecą oczki miłością, to grucha: „gdyby nie poczciwy Witwicki, jabym nigdy taką szczęśliwą nie była." Kozak czy się namurmusi, czy wypogodzi, ciągnie za panią matką pacierz; trzeba jednak przyznać, że i cygańskie figle i kozackie murmusy zdarzają się rzadko i prześlizgują się w ich duszy, jak łódka po wodzie bez śladu, za co niech będą Bogu stokrotne dzięki. Cyganeczka na koczowisku hyerskiem wydobrzała nam całkiem na zdrowiu, chciałem ci napisać, że tyje, ale mi zakazała, bojąc się, żebyś sobie tego nie wytłómaczył inaczej, a więc milczę, nie piszę. Napieramy się tam całem sercem, mój drogi Stefanie, do ciebie, ale jeszcze sami nie wiemy, jak to będzie, jest trochę nadziei, Bóg da, że się ziści, to się tam na gro-

---

[1]). Bohdanowa.

bach Apostołów św. zejdziem i poklęknąwszy razem, pomodlimy się i podziękujemy Bogu za łaski . . .

Z listu, który pozawczoraj od Walerego Wielogłowskiego z Paryża odebrałem, dowiaduję się naprzód, że księża dom sprzedają, potem, że katolicy, zebrawszy się w liczbie 34, założyli czytelnię katolicką polską, której gospodarzem mianowali majora Święcickiego, komisarzami zaś Kamieńskiego, Korzeniowskiego, Fedorowicza i Walerego; na piątego komisarza szukają kogo. Zaraz po pierwszem posiedzeniu najęto dom na rue Féron, przy St. Sulpice. Koszta różne na mieszkanie, opał, światło, usługę, pisma i dzienniki oszacowano na 2.300 franków; na pierwszem zebraniu składka przyniosła franków 136 i to jest cały fundusz, z którym zaczęto. Walery wzywa nas do składki, aleśmy goli teraz i niewiele mu pomódz będziemy mogli. On także donosi, że wiele emigrantek Polek podjęło się być protektorkami nowej czytelni, cygance dostał się honor, iż ją na protektorkę i podskarbinę zaproszono, nie wiem, czy przyjmie. Dalej pisze, że nie doczekawszy się kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, uprosił Bolewskiego w Paryżu, który przemalował wizerunek z małego na wielki półtorametrowy i położono napis: *Votum Polonorum Exulum*. Obraz ten ma być niezadługo processyonalnie do kościoła św. Rocha zaniesiony i zawieszony w kaplicy polskiej. Kończy zaś swoje doniesienia tem, że od 15. lutego zaczyna wydawać pismo katolickie, którego program później nam nadesłać ma. O Adamie mówi, iż jest w codziennych z nim stosunkach, że kilku do niego bogatych ludzi zaprowadził, że Adam im nadzwyczaj piękne rzeczy gadał i t. d. Co dziwnego, że Adam piękne rzeczy gada, ależ z tego wnioskować trudno, jak daleko trwa w swojem lub jak daleko się cofnął. Oto masz, kochany Stefanie, com mógł nowości nas obchodzących uzbierać, jest wiele innych koteryjnych, ale w te się zwykle nie wdaję. Gdybym miał drugi egzemplarz albo przynajmniej jeden swój, przesłałbym ci przewyborny wiersz nowego poety, majora Rudzkiego, prostym szlacheckim rozumem napisany . .

Dzienniki francuskie tam macie, to już wiecie, co się tu w Izbach dzieje: wyborna mowa Montalemberta, pełna godności i prawdy. Jak wam tu zazdrościmy, że tam Ojca św. i widzieć i słyszeć możecie. Święte jego słowa i czyny do nas tu przez dzienniki tylko czasem dochodzą.

U nas tu ciągła wiosna, a pomarańcz na drzewach tyle, ile czasem u nas wróblów w prosie; szkoda, że to tak daleko, bo byśmy tobie prowizyę posłali, ale macie tam lepsze maltańskie.

Bądź zdrów i t. d. *Józef Zaleski.*

Do Jenerała Józefa Szymanowskiego.

Paryż, 14. lutego 1847 r.

Szanowny i kochany Jenerale, ponieważ oto kochani moi, i żona i Józef rozpisali się do szanownego Jenerała, to cóż mnie zostaje? Chyba pozdrowić przy najszczerszem uściśnieniu. Pozdrawiam też i ściskam z całą czułością spółchrześcianina i spółrodaka. Poprzyjaźniliśmy się, kochany Jenerale, ze wszystkimi twoimi, że doprawdy jesteście nam jakby swoi, jako krewni. Oswald przedni chłopak. Tęga wola, tęgie ramię i podniosły a niepospolity umysł; będzie zeń dziarski wojak i chluba twej zasłużonej siwiźnie. Takich właśnie młodzieńców potrzeba naszej Polsce, na żelazne czasy, co zdają się tętnić, chrzęścić już w słuchu. Przy pożądanej a pięknej sposobności p. Oswald wytrawi się ze zbytecznego ognia, jak tabunowy koń. Widzieliśmy go niedawno. Na pogoni za wujem wstępował do nas i do nas jeno samych, bo nie zatrzymał się nigdzie w Paryżu. Umiemy ocenić w sercach ten dowód jego przyjaźni. U nas nudno, jednostajnie. Wytężamy wzrok na Włochy. Tam urok wiośniany — odmłodnienie. Daj Boże! ład i hart, to zacznie się nowa era, era wiary i wolności obiecanych na Golgocie. Lękamy się nieco swawoli radykałów, a też Chrystus Pan będzie z Namiestnikiem, którego przeznaczył do wielkiego swego dzieła. Niech nam kochany Jenerał doniesie kiedy niekiedy o miejscowych ruchach opinii a zwłaszcza między osobami stojącemi u steru. Rozbiegła się tu była wieść, że król sardyński i Papież wzywają oficerów polskich. Wieść bezzasadna, chociaż z gazet włoskich, zatrzęsła jednak była emigracyą. W rzeczy służby cudzoziemskiej godziwa jest wszelka ostrożność. Przykład i wzór postępowania zostawili nam nieśmiertelni nasi twórcy legionów, Dąbrowski i Kniaziewicz. Mickiewicz od wielu dni już bawi w Rzymie. Radzibyśmy wiedzieć, jak mu się tam powodzi? Czy miał posłuchanie u Ojca św.? Czy złożył jaki memoryał? Czy też pokornie, po synowsku poddał się na sąd Kościoła? Co się dowie Jenerał kochany, niech raczy nam pisać, boć to nielada ważna sprawa dla emigracyi i kraju.

Polecając się Jego sercu i pobożnej pamięci tam na świętych miejscach, jeszcze raz pozdrawiam i ściskam z czułością staropolską i poważaniem.

Twój

Bohdan.

Do Pana Stefana Witwickiego.

Hyères. 19. lutego 1847 r.

Mój najmilszy, mój najpoczciwszy Stefanie, już tedy odbyłeś rekollekcye swoje, odbyłeś oj! dawno. Cóż ci Duch święty natchnął o powołaniu twojem? Przeczuwam, że jak dotąd, tak i nadal będziesz chwalił Boga, będziesz służył Bogu jako laik. Nie wiem, czemuż ani ja, ani moja żona, nie możem cię nigdy wyobrazić sobie w sutannie. Stan kapłański jest niewątpliwie najdostojniejszy, a w tym czasie powszechnego omdlenia na duchu może i najpożądańszy dla chrześciańskiego Polaka. Owóż pomimo ten ogólny wzgląd, pomimo osobne a rzadkie przymioty duchowne, jakie w tobie znam, zawsze mi się widzi, że nie zostaniesz księdzem. Nie powiem ci, skąd to moje widzi mi się? Widzi mi się to tajemniczej natury, całkiem mistyczne i mniej nawet racyonalne, niż owo zawołane nieboszczki Hofmanowej: z tem wszystkiem jest we mnie, gnieździ się gdzieś na dnie sumienia czy przekonania. A przecież Bóg świadkiem jakbym cię rad oglądać w charakterze już sługi — ofiarnika Chrystusowego. Radośnie i z głębi serca podziękowałbym Panu za tę nową łaskę dla ciebie. Błogosławiony, o stokroć błogosławiony, kogo Pan wybierze na ten wysoki urząd i komu pozwoli w nim dopłużyć świątobliwie żywota! Czegoby więcej chcieć? Ależ wiele wezwanych, mało wybranych. I w tem tkwi sęk i strach! Mniemam, Stefanie mój, że na tym sęku najczęściej się zahaczasz w twoich rozmyślaniach. Cóż ci więc po nabożnem skupieniu się w celi tam mnichskiej i po samotnym namyśle, co ci natchnął Duch święty o powołaniu twojem? Święć się wolo Boża dla ciebie i dla nas!

Dziękuję ci, kochany Stefanie, za przestrogi i rady o pożyciu małżeńskiem. Zawcześnie jeszcze dla nas, nie do użytku zgoła na razie; ale ponieważ dobre, piękne i prawdziwe, uszanujem je, jak się godzi. Doprawdy, nie tak jest źle między nami. Ks. Hipolit widać nieco podgórował w opowiadaniu o nic nieznaczącej sprzeczce. Mój drogi bracie i swacie, ręczam cię i ręczam najświęciej, że ani razu jeszcze nie poswarzyliśmy się na seryo; owszem ze dnia na dzień kochamy się niejako lepiej, rzewniej, po Bożemu. Niech będzie za to Pan pochwalon! Mamyć dużo wad, narowów poetyckich i niepoetyckich, ale dużo i wzajemnej wyrozumiałości. Poznaliśmy się już należycie i nawykamy do nowego jarzma, ale jarzma w Panu, a więc słodkiego. Zosia, dzięki Bogu, wydobrzała mi zupełnie na zdrowiu. Nigdy już nie kaszle, ani chyrla, jak się to zdarzało często w Paryżu i w podróży. Był moment w Marsylii tak zły i stra-

szny, że chciałem już księdza sprowadzić. Od czasu, jak zamieszkaliśmy w Hyères, choroba, jakby odjął ręką, nie wiedzieć gdzie się podziała.

Mój drogi, jakbym ja był rad, abyś ty widział nasze pożycie, nasz dom, nasze gospodarstwo. Wiem, jakby cię to wszystko cieszyło i tem więcej, że widziałbyś, jak dziełu twemu Bóg pobłogosławił. Wspominamy też ciebie codzień w modlitwach i przy rozmowach wieczornych. Spodziewam się, że po Wielkanocy, wracając do Francyi, zastaniesz nas jeszcze na miejscu. Mamy już dla ciebie pokój gotowy i łyżkę u stołu. Nie spaźniaj się bardzo, bo może wypadnie nam pociągnąć ku Renowi na spotkanie mamci, której przyjazd jest nam zapowiedziany na wiosnę. Spieszy ku ratunkowi i pomocy Kostusi, chorującej obłożnie w Wenecyi. Dla tej Kostusinej choroby projekt naszej podróży do Włoch spełznie podobno na niczem. Nie uwierzysz, ile mnie to trapi, bo oprócz przyjemności wielorakich dla żony chciałem jeszcze być świadkiem i uczestnikiem narad Zmartwychwstańców naszych przy nowej ich organizacyi. Mój Stefanie, czuwaj ty tam pilnie. Napisz mi, co się nowego u nich święci i ku czemu się ma wielkanocna reforma. Lękam się, aby się nasi księża nie rozpierzchnęli po emigrancku, to jest każdy samopas. Ks. Godlewski pożegnał już wcześnie kongregacyę i pociągnął ze swoim dworem ku Belgii, co jest szkoda, wielka szkoda. Toż samo zapewnie uczyni ks. Piotr. Pani Julia zawita znowu do Włoch, kręciła się jakiś czas przy Brezie w Berlinie, pisała kilka razy do mojej żony, zapytując ciekawie o kochanego ojca, ale nie pozwoliłem dać odpowiedzi. Mój drogi, napisz dokładnie, jak tam stoją rzeczy, to możebym posłał jakie uwagi ks. Hieronimowi.

Z Paryża nie mamy nic, albo raczej nic nie znaczące wiadomości od Królikowskiego. Ks. Edward chory, a przytem ciągle w miejskim tam wirze. Dom podobno że sprzedadzą, ale ze stratą i ze znaczną stratą. Boję się, ażeby mój Józef nie szkodował na funduszu swoim, który za poradą moją poruczył naszym księżom. Insynuuj tam zręcznie ks. Hieronimowi, aby pamiętali o nim. Handel księgarski takoż źle idzie od czasu przyłączenia Krakowa. Królikowski bliski bankructwa, nadzieja cała w historyi Adamowej. Pisałem do niego, aby się nie zrażał, kryzys zła minie, kraj potrzebuje takoż i chleba duchowego.

O reformach papieskich nie mogę sobie utworzyć doskonałego wyobrażenia. Zawsze Ojciec św. dał wielki popęd Włochom, który nie tak łatwo da się już utłumić. Najważniejsza, że sam oto wlazł na

kazalnicę. Przeuroczysty to musiał być moment. Nie mam zresztą zniskąd nowin. Żyjemy tu odludnie, samotnie.

Jak się masz, mój miły Stefanie, na zdrowiu? Jak smakowałeś w zgiełku karnawałowym rzymskim? Na jakiej stopie żyjesz z możnymi i próżniackimi rodakami? Czy lafiryndyzm u nich przemaga po staremu? Sądzę, że mają cię za dziwaka i niegrzecznego kawalera.

Pisałem też po długich leciech do Adama. Wziąłem assumpt do listu, że ma jechać do Włoch, a więc zapraszając w gościny na kształt owych lozańskich. Przytem i o inszych rzeczach po krótce.

Polecając cię Bogu, całuję

Józef Zaleski.

12. marca 1847 r. [1])

Dnia 12. marca 1847 roku w piątek zawitałem do hermitażu hyerskiego nad morzem — zawitałem po raz pierwszy na dumanie, to jest na pracę milszą, na pracę swoją poetycką. Dumanie, to jakoby przędza z ducha człowieczego. Błogosław Boże! a będzie coś z tej przędzy ku chwale Twojej i ku zbudowaniu braci. Z łaski i przywidzenia Pańskiego trafiłem tu niespodzianie a szczęśliwie na mszę w kaplicy. Owóż nie mogło mi się począć pomyślniej — święciej. Inauguracya uroczysta od ofiary ołtarza i pod orędownictwem Najświętszej Bogarodzicy. Słuchało mszy kilkoro tylko ludzi — kapłan i kleryk, dwie niewiasty, dwoje dzieci, stróż miejscowy, i ja. Modliłem się rzewnie o łaskę Ducha św. i opiekę Maryi, a po mszy wtórowałem niemal sam kapłanowi w litanii. Hermitaż, dawny to klasztor, opustoszały dziś całkiem i walący się na gruz, ale dla świętości miejsca, słynącego niegdyś łaskami Matki Boskiej w tutejszej kaplicy, oddany w zawiadowstwo proboszczowi hyerskiemu. Odbywają się tu msze w niektóre dni tygodnia, a w uroczystość Maryi lud schodzi się na odpusty. Wszystkie ściany kaplicy obwieszane są ex-wotami, to błogo w sercu patrzącemu, a cóż dopiero zamieszkującemu tę świętą ustroń.

Stróż hermitażu, a raczej pustelnik przyjął mnie jaknajuprzejmiej, poleconego poprzednio już przez proboszcza. Mam duży pokój z oknami na południe i na morze, stół drewniany i kilka stołków, owóż cały sprzęt, — ale mile mi tu i cicho jak w ulu. Jeżeli gdzie, to tutaj powinienbym coś wydumać.

---

[1]) Z notatki.

Dzisiaj dzień pochmurny i chłodny. Odczytałem *Przegrywkę* moją dla zestrojenia się z dawną pieśnią, nim uderzę w nową. Dumałem potem samotnie kilka godzin. Coś zawiązuje się w myśli na pieśń, której wątka i formy jeszcze nie widzę wyraźnie. Zdaje się, że będzie miała miano: *Miłościwe Lato*, a przynajmniej Jubileusz będzie częścią mego poematu. Da Bóg, rozwidni się pomału w duchu. Światło i ciepło natchnienia wykłuje ziarno dawno wsiane w jałową ziemię, wykłuje na kwiat i daj Panie Boże na owoc. Idę do kaplicy pomodlić się jeszcze na tę intencyę. A potem do domu, do ukochanych moich — do żony i do Józefa — godzina późna, wpół do trzeciej.

J. B. Z.

Myśli dorywcze.

Bóg natchnieniem, — tchem swym dopełnia cudu na poecie, proroku niejako, zdejmuje łuskę z oczu duszy i daje mu widzieć w przestrzeni to, co ma uiścić w czasie.

(12. marca 1847 r.).

Do Pana Stefana Witwickiego.

Hyères, 8. kwietnia 1847 r.

Kochany mój Stefanie! Świątki Przaśników minęły. Świątki Przaśników, takie ludne, gwarne, okazałe w Rzymie, rozwiały się oto w nic, w senliwe marzenie, po którem tęskno czemuś i nijako w duszy. Jakiś obraz jednak milszy, jakieś uczucie rzewniejsze, spadły na dno serca, do składu tam najżywotniejszych pamiątek. Widzę cię dzisiaj gdzieś w jasnym, schludnym kościółku, modlącego się goręcej niż podczas wielkotygodniowych parad u św. Piotra, kędy raczej ciekawość niż nabożeństwo ściągała chrześcian. Teraz u was tam naokoło ciszej i milej. Świat bogaty, lafiryndowski ma się ku podróży do Neapolu, do Niemiec. Bóg was żegnaj, płoche, przelotne ptastwo z okolic smutnych, opustoszonych, a kędy jednak są gniazda wasze! Domyślam się, że i ty, Stefanie, tęsknisz już do odlotu, a przynajmniej wybierasz się na święte gościny do Loretu i Assyżu. Bóg cię prowadź, bracie nasz pielgrzymie. Kto wie, mój drogi, czy się gdzie nie spotkamy mimochodem, a może nawet

w Rzymie? [1]) U nas inaczej! Kiedy ludzie z Włoch, my do Włoch. Tą razą przecież *sic fata volunt.* Mąż Kostusi dopiero teraz przyjechał z kraju i radby widzieć Rzym; to i my się powleczem, aby się bliżej zapoznać, zwłaszcza, że żona nie może się go nachwalić. Dzięki Bogu! Mnie takoż wiele chodzi, aby żona moja pokochała się z Kostusią. Pasporta przyjdą nam z Paryża lada dzień i byle zdrowie posłużyło Kostusi do podróży, puścim się wnet na żeglugę. Teraz oczekujemy jeno listów z Wenecyi. Tymczasem wypatrz dla nas gdzie mieszkańko schludne a tanie; myślę, że w tych czasach łacno to się uda. Zapewnie wypadnie nam zostać kilka miesięcy na miejscu dla upałów i dla oszczędności i dopiero chyba na jesień wyjechać pod Paryż. Wszystko to są jeno projekta, które jedno nic może rozdmuchnąć. Taki bo żywot nasz tułacki, z takiej przędzy wije swoją sieć.

Cóż księża nasi? Już oto po Zmartwychwstaniu Pańskiem. Sobór powinienby się zagaić. Nie wiem zgoła, czy zejdą się i gdzie? Nie słyszałem, aby księża paryscy wyjechali do Rzymu. Ks. Piotr siedzi wciąż w Montpellier. Nie zdaje mi się, aby u nich rychło przyszło do jakiegoś ładu. Obawiam się owszem waśni, chwilowej przynajmniej waśni, bo widocznie rozdzieliły się serca. Żal się Boże pomyśleć, coby stąd wyniknęło złego. Jedyna instytucya w emigracyi, co zdawała się mieć wielką przyszłość, i tażby nic trwałego ku chwale Bożej nie zbudowała? Bóg sam radzi o swej czeladzi, to chce mi się wierzyć, że pomimo smutnych przewidywań naszych urządzą się jakoś wedle myśli Boskiej w zakon nowy i gorący. Módlmy się jeno, aby ich duch czasu, duch pysznych reform nie owiał na razie. W dziesięciu, w pięciu, czy we dwóch zaczną swoją rzecz? To obojętne pytanie, byle zaczęli w zgodzie a w pokorze i cichości. I mnie od jakiegoś czasu zaniedbują księża nasi. Nie powierzają się już jak ongi z dolegliwościami swemi. Mają może racyę. My świeccy rajcy pospolicie źle albo nieumiejętnie radzim, a oni już pokutowali dużo za świeckie rady. Daj im Boże świętego, któryby ich wiódł słowem i przykładem. O Bazyliankach tak samo sądzę, jak i ty, ale ufam w Matkę Makrynę, że ma dużo łaski Bożej i zatem że jej się uda w Rzymie. Myśl takoż ks. Hipolita wielkiego jest rozmiaru i wielkiej korzyści, ale dopiero da się ocenić w praktyce w zastosowaniu swojem do czasów i okoliczności. Mam

---

[1]) Niestety, przyjaciele się już nie spotkali. Stefan Witwicki umarł w Rzymie 19. kwietnia 1847 roku na ospę, którą się zaraził, odwiedzając polską rodzinę.

przeczucie, że byle znalazł dwóch, trzech pomocników, pójdzie mu rzecz wyśmienicie. Słowiańszczyzna nowa to i bujna rola Pańska.

Zosia moja zdrowa jak ryba, zdrowa a więc słodka i łagodna na wzór, krząta się ochoczo koło domu, ale radaby bardzo do Włoch. Młoda to niesłychane dziwy roi o italskiem niebie, o italskich pomnikach sztuki i t. d. i t. d., słowo w słowo to samo roi, co i mnie się niegdyś roiło. Omamienie to jest życie, a rzeczywistość zwyczajnie jak wszelka rzeczywistość.

Pomimo projektu do Włoch i z powodu tego projektu często o tobie tu mówimy wszyscy troje. Smuci nas jeno, że nie przychodzisz do czerstwości tak rychło, jakbyśmy życzyli. Mój drogi, domyślam się, coś tam ucierpieć musiał podczas tej brzydkiej zimy i w mieszkaniach zwłaszcza rzymskich, tak źle opatrzonych na chłód. Ku wiośnie bywa ci zwykle lepiej, to perspektywa oto wytchnienia przynajmniej aż do czasu kąpieli.

Co to jest ta czytelnia w Rzymie? Kto założył ją i łoży grosz? Widocznie ktoś, co chciał imitować Walerego Wielogłowskiego. Jeszcześ w Rzymie, ale na co czytelnia katolicka w Paryżu, gdzie jest biblioteka polska nieuczęszczana, chyba żeby dawali przytem piwo i fajkę. Oj! głowo niespokojna Walerego. Mniejsza.

Polecam się modlitwom twoim na świętych miejscach, kochany pielgrzymie. Ściskamy cię najczulej: Józef, Zosia i ja

Bohdan.

Do księdza Hieronima Kajsiewicza.

Hyères, 9. kwietnia 1847 r.

Kochany Ojcze Hieronimie, Świątki Prażników minęły. Gwar, zgiełk i pompa rzymska przycichły do jakiegoś czasu. U św. Klaudyusza ambona i konfessyonały przymknęły się, a wędka Piotrowa na kołku, bo ryby pierzchają na wody, na wszystkie gdzieś fale. Ciszej i swobodniej teraz wam, czas błogi na wypoczynek i na rozmysł przed nowemi pracami s o b o r u. Często tu myslim o tym soborze. My, świeccy bracia. okolamy was wciąż z daleka, okolamy modlitwą i najlepszemi życzeniami wiernej trzodki. Śpiewamy po cichu: *Veni Sancte Spiritus! Flecte quod est rigidum, fove quod est frigidum, rege quod est devium!* Rad wam świeckich nie potrzeba, bo najczęściej pyszne są a omylne, jako doświadczyliście już nieraz. Ażeby wam dobrze radzić, potrzeba stać nie zewnątrz was i we fraku, ale wewnątrz pomiędzy wami i w sutannie. A więc naj-

lepiej, że kozły odbiegną na bok. Nie uwierzysz, drogi Ojcze Hieronimie, jak tęskno a niekiedy trwożnie oczekuję skutków soboru. Bóg wam błogosław! bo walne stąd rzeczy się wyświęcą. Instytucya wasza, jedyna to instytucya w emigracyi, co nosi w sobie wielką myśl Bożą, wielką przyszłość zarazem religijną i narodową z której cel, ideał dla nas wszystkich ma wyniknąć. Biadaż, biada ją poronić! Emigracya ani się domyśla, jaki to ważny czas, w którym będziecie radzić o służbie i chwale Bożej na tułactwie. Bóg sam radzi o swej czeladzi to przeczuwam, że coś arcypięknego i zbawiennego wam natchnie. Nie obejdzie się zapewnie bez chwilowej waśni między wami; może nastąpi rozdział, albo jedno i drugie wystąpienie nawet, wszakże to nie popsuje dzieła. W dziesięciu, w pięciu, czy we dwóch rozpoczniecie nową służbę, obojętna rzecz! Bóg da wam świętego swego na wodza i rzecznika, który przeprowadzi was przez świat. Oj, o tego wodza i rzecznika módlmy się wszyscy! Nie brakuje nam wiary, bo przecież trwamy przy Chrystusie dziesiątek lat, ale brakuje tego gorącego ducha miłości, co sam jeno buduje na opoce. Naród nasz na torturach, to cierpimy wszyscy w ciele, omdlewamy cieleśnie, a stąd wycieńczamy i ducha, który i tak u nas Sławian nie bardzo mocarz. Żeby to nam pojawił się Franciszek, Dominik, Wincenty Ferrary, Jan Kapistran! Otóż pojawi się taki mąż, pojawi się niepochybnie, a wy go, Ojcowie, przyprowadzicie ku nam pod ręce. Urządźcie się co tchu, a żyjcie w świętości i pokorze mniskiej, to doczekamy się wszyscy wielkich godów Pańskich. Co daj Boże, Amen!

Chciej nam, Ojcze, kiedy niekiedy donosić o stanie i postępie robót waszych. Doprawdy my tem żyjemy. Nadzieje dobre doczesne i wieczne chcemy czerpać u was. Może być, że sami jeszcze po nowiny dobre przyjedziem do Rzymu. Okoliczności familijne tak się składają, że w maju albo i rychlej wypadnie nam ruszyć do Włoch. Upatrz tam, Ojcze, tymczasem jakie mieszkanie dla nas schludne i tanie. Józef i żona moja polecają się modlitwom, polecamy się wszystko troje, całując kapłańskie ręce twoje.

J. B. Zaleski.

Ojców Aleksandra i Alfreda ściskamy najserdeczniej, tudzież brata Franciszka.

Kartkę Ojcu Hipolitowi chciej wręczyć, list do Stefana odeślij, kędy jest, w Rzymie lub za Rzymem.

12. kwietnia 1847 r.

Aforyzmy, hipotezy i myśli moje o różnych przedmiotach w lot chwytane na papier.

1. Natura z duszą zwierzęcą jest jako żona, towarzyszka człowieka zbiorowego, czyli Ducha człowieczego, który sam jeno jest utworzony na obraz i podobieństwo Boga. Człowiek i natura, mąż i żona złączone są nierozjemnym ślubem; ale mąż panuje, a żona zostaje w posłuszeństwie. Razem rozkoszują i cierpią; ale biada, żeby natura owładła człowiekiem (duchem), bo wtedy Duch duchów, Ojciec niebieski, mści na obojgu zniewagi swej i karze wykraczających przeciw przedwiecznemu prawu. Następuje wtedy upadek. Pierwsi rodzice, Adam i Ewa, na wieki wieków pozostaną symbolem tej prawdy. Nowe chyba odkupienie uratować może ludzkość, ale syn-człowieczy już był na ziemi i drugi raz nie przyjdzie aż na Sąd ostateczny. (Rozwinięcie tego aforyzmu i zastosowanie n. p. do poezyi dałoby wcale nową estetykę, poważniejszą i prawdziwszą niż dotychczasowa. Prorok, wieszcz, piewca i t. d. są to dzieci natury i ducha człowieczego, z podobieństwem to do ojca, to do matki i t. p.).

2. Czas i przestrzeń są dwa wyrazy wielkiego zrównania Bożego w wieczności. Życie jest to ruch duchowy. Śmierć koniec jeno materyi, zużycie formy. Przeszłość i przyszłość jako dwa zazębione koła wieczności, pomiędzy któremi teraźniejszość jako woda żywa, bieżąca obraca je nieustannie.

3. Bóg natchnieniem, tchem swym, dopełnia wciąż cudu na wieszczach, prorokach; zdejmuje niejako łuskę z oczu ich i daje widzieć w przestrzeni to, co ma uiścić w czasie.

4. Wieszczowie-prorocy są to przeznaczone od początku, przysposobione duchy ku wiedzeniu i widzeniu rzeczy Bożych. Wedle tego, ile który się oczyszcza, ile czuje i pełni wysokie swoje poselstwo; wedle tegoż i wie więcej, lepiej i widzi szerzej, jaśniej, bo czerpie wprost z wszechmocy i wszechmądrości Ducha duchów. Są różne stopnie czy potęgi wiecznego ducha. Najniżej stoi piewca-poeta, żywy głos narodowości jakiegoś ludu, jeśli nie missyą Bożą tego ludu, ale zepsutą naturę jego ziemską, zwierzęcą rozbrzmiewa w pieśniach, a biada mu, jeśli rozmiłuje się w sztuce, ubóstwi sztukę, wtenczas będzie jeno sztukmistrzem, a więc mniej niż pospolitym piewcą, który miłuje przynajmniej lud swój; ma zeń myśli żywotne i gorejące słowa. Wyższy jest od piewcy wieszcz, — mąż rozumny, rozmyślacz, pojmujący Boga i lud, pan przedmiotu

i formy pieśni swojej, ostrzem lecący w świat duchowy boski. Mało mu już potrzeba, aby został najwyższym, to jest Prorokiem Pańskim, żywym głosem Boga i ludu. Potrzeba pokory, prostoty, czystości, potrzeba żywota na pustyni, kędyby wolę, uczucie i myśl pojednał, zestroił w Bogu, iżby stał się niejako naczyniem i narzędziem jego nieskończoności. Początkiem mądrości jest bojaźń Boża, końcem i dopełnieniem mądrości wszechmądrością jest miłość Boża — to jest wyzwolenie się duchowe z miłostek i pięknostek ziemskich, aż utoniem w oceanie swoim wszechmiłości, wszechpiękności. Świat, ciało i szatan wciąż czujni, stoją na wstręcie prorokowi. Pycha, rozkosz, pożądliwość wieją dym na jego źrenice, wygryzają wzrok łzami, że najczęściej nie widzi nic w rozstrzeniach. Ten, co kusił najświętszego, najmocniejszego na pustyni, wygrywa pospolicie z nami, bośmy zapomnieli, że Syn Człowieczy zwyciężył go za siebie i za nas. Łaski w nowym Zakonie potężniejsze są niż w starym, a przecież prorocy rzadsi, bośmy chrześcianie jeno z miana; uczniowie Chrystusowi niepamiętni a stąd niemocni, wątli na duchu, pędzący wciąż na manowce wedle wszystkich wiatrów tego świata. Wiara, miłość, nadzieja rozkwitają tylko w pełni w palmach Świętych Pańskich, toż są jedyni prorocy nasi! Ale ich głosy przebrzmiewają mimo uszu, bośmy stępili w sercach świętą miłość, w której tkwi wykład i rozumienie natchnionego słowa. Święci prorocy nasi nie przyznają się już do nas, bo ustał sympatyczny związek między dziećmi Bożemi, między duchami w czasie i przestrzeni. Płyn elektro-magnetyczny, pieśń między niebem i ziemią wtęchła jakby w tumany, wtęchła do czasu. Umiejętność nadyma, a miłość tylko buduje. W miłującem sercu skład wszelkiej mądrości, skład wszystkich i prawd i tajemnic bożych. Każdy w łonie swojem posiada zakuty raj utracony i język rajski, pieśń rajską, które w miarę i w rozmiar miłości brzmią wewnątrz i wydobywają się na zewnątrz i uczute są i rozumiane na miarę i rozmiar miłości słuchaczów. Miłość wielka Boża przemienia piewcę na proroka. Wiedza świecka z książek, z rozumowań jest niczem; pieśń wieszcza, święta, prorocka jako promień w Bożem słowie jest wszystkiem, jest mądrością w pełni z wiary, miłości, nadziei, jest głosem w pełni z Boga i ludu, dla Boga i ludu. Nie świat zatem i wiedza świecka, ale świętość, sama jeno świętość jest celem, jest ideałem prawdziwej pieśni. Nie pyszny, ale małuczki w Panu zagrzmi ją śród ludu. Życie ascetyczne przysposabia i nastraja ku niej pieśń i t. d.

5. Przeczytałem dziś 12. kwietnia 1847 r. rozdział V. ewangelii św. Mateusza. Cała mądrość świecka, wszystkie książki filozofów, — oj, czemże są przy tym króciuchnym rozdziałku, z którego bije takie źródło żywej wody na pokolenie, taki napój i ochłodzenie na żywot doczesny i wieczny. Biedniż i nieszczęśliwi po wszystkie wieki, co piją ze stęchłej kałuży mądrości świeckiej, kiedy tuż obok zdrój słodki i rzeźwiący: „Błogosławieni cisi, albowiem oni odziedziczą ziemię!“ A więc pomimo szamotania się świeckich polityków, obietnica panowania zostawiona jest nam dzieciom Bożym. „Błogosławieni ubodzy w duchu! Błogosławieni, którzy się smęcą! Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości! Błogosławieni miłosierni! Błogosławieni czystego serca! Błogosławieni pokój czyniący! Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości“ i t. d. i t. d. Tyle w tych słowach miłosci i pociechy nieziemskiej, że serce ludzkie nie mieści się w łonie — tak rozbrzmiewa Bogiem swoim Chrystusem! A więc wszystkie obietnice i błogosławieństwa Pańskie z nami są na wieki! I są ludzie, co myślą i zdają się wierzyć, że filozofia owładnie światem? I cóż wam ona da w zamian? Czy dobra materyalne? które są nicestwem dla nieśmiertelnego człowieczego ducha? Czy wiedzę materyalną, która jeszcze jest coś gorszego niż nicestwa, bo upominkiem z piekła? Chcecież piasek żuć suchy, miasto chleba powszedniego? My jesteśmy „solą“, „światłością“, miastem zbudowanem na górze i składem wszelkich prawd i tajemnic Bożych u nas. Zawrotna głębokość słowa Pańskiego, jakaż przy niem głębokość filozofów wydaje się płytka! Systemata mędrców świeckich, to mielizny a trzęsawiska, wiejące niezdrowiem i śmiercią. I cóż postawią przeciw moralności w dalszym ciągu tego rozdziału? przeciw moralności nowego zakonu, którą znosi lub dopełnia moralność stara żydowska? Darmo powtarzać tu przepisy Boga, Mistrza naszego. Umiejętność ludzka na wieki wieków skazana już na niepłodność, a jeśli coś urodzi, to chyba szkaradne potwory, po których przekleństwo Boże na kraje, śród których się pojawią. Rozdział jeden ewangelii więcej i milion razy więcej waży niż wszystkie jałowe systemata filozofii, które się jeno wymarzają w pysznych a pustych głowach synów rokoszanina. A prostotaż wysłowienia ewangelii? Och! och? . . . .

. . . .

Do Pana Jana Koźmiana.

Rzym, 8. lipca 1847 r.

Kochany Janie! Zastałem tu w Rzymie liścik twój, po staremu miły, serdeczny, poczciwy. Bóg ci zapłać zań. Oj! nie zobojętniałem ja dla ciebie bynajmniej; owszem, częściej teraz i rzewniej polecam cię Panu, któremu wespół służym. Modlić się za siebie, to korrespondować z sobą w Bogu. Wierzaj mi, że przeciw tej korrespondencyi nigdy na długo nie chybiłem. Ty ani się domyślasz, ileś mi przytomny w sercu i w pamięci, ile mnie budujesz swoją czujnością około rzeczy Bożych i ludzkich, czujnością czynną i niezmordowaną, pomimo że nudna, żmudna i niesławna. Prawdziwyś ty wyrobnik Pański, to zapłata twoja pewna! Zakrawa to nieco na komplement, a doprawdy, chciałem ci jeno powiedzieć, że wiem, co zacz jesteś? W omdleniu mojem ile razy pomyślę o tobie, robi mi się wnet jaśniej i raźniej w duszy. Daj ci Boże godnych i co najliczniejszych pomocników, to pole bieli się i żniwo tuż!

Opłakuję po dziś dzień Stefana Witwickiego. Strata to dla mnie arcybolesna i nienagrodzona. Rówieśnik, druh młodości, z którym dłoń w dłoni przeżyłem tyle dobrych i złych lat, to niełatwo utulić się w żalu sierocym. Wiem ci ja, że mu lepiej w Bogu, któremu cały żywot służył myślą, słowem i uczynkiem. Wycierpiał też tu na ziemi swój czyściec. Wszystko mi w Rzymie przypomina Stefana. Na tydzień przed śmiercią pisał do mnie, że się chce złączyć z nami na resztę dni. Święć się wola Boża! Godzi się, aby młodsze pokolenie pisarzy polskich uczciło jego pamięć. Za życia był taki skromny i cichy, to słuszna, żeby po śmierci ozwał się głośniejszy hołd.

W stolicy tu Piotrowej cicho jak zawsze, pomimo że niesłychany gwar między politykowcami. Włochy szaleją z rozradowania ze swojej swobody i w ogóle z nowych reform. Wieczne tu gody. Zaraźliwy zapał owiewa i nas, ociepla w sercach otuchę świętej sprawy narodowej. Światło oto bije wprost z góry. Początkowanie w nowych losach ludzkości bierze Głowa Kościoła. Ojciec św. poważnie i śmiało kroczy naprzód. Co z tego będzie? Czy ludzie nadużyją i tego dobra? Czy namiętności staną na wstręcie i zniweczą wszystko? Tysiące ach pytań, a rozwiązanie ich u Boga. Cary jednak muszą drżeć, sądząc po minach ich ambasadorów. Mieliśmy onegdaj posłuchanie u Ojca świętego. Ani wysłowić wrażenia, jakiegośmy doznali. Fizyonomia doprawdy niewoleca, apostolska, w rysach twarzy prostota i pogoda niemal dziecinna, a w postawie i ruchach godność i ufność papieska, Piotrowa. Szczęść mu Boże!

Wstyd mi, że ci nie posłałem do *Przeglądu* ani kawałka. Doprawdy, nie ma nic. Redaktorstwo twoje przypadło jakoś na moje jałowe lata, na lata posuchy i gradobicia. Da Bóg urodzajniejszy rok, to nie pożalisz się na mnie zgoła! I pobudki chlebowe naglą mnie do pracy, ma się rozumieć, kochany Janie, że z tobą wolę mieć do czynienia.

Księża nasi, nie wiem, co nadal zamierzają. X. Hieronim w Albano. O X. Terleckiego projektach zapewnie wiesz skądinąd. Godziłoby się je poprzeć spólnemi siłami. Szkoda, że nie mam czasu rozpisać się szeroko w tej rzeczy. X. Hipolit sam zresztą chce pisać do ciebie przed wyjechaniem na Wschód.

Zmartwiliśmy się tu wszyscy przygodą na kolei żelaznej. Dzięki Bogu, że odwrócił nieszczęście, jakie groziło, dzięki nieskończone. X. Edward niebezpiecznie chory, zapadł na nowo w Orleanie. Żal się Boże. Żyjemy najściślej z Norwidem.

Ściskamy cię najserdeczniej wszystko troje i t. d.

Bohdan.

(Ciąg dalszy nastąpi).

UPOSAŻENIE
DUCHOWIEŃSTWA RZYMSKO-KATOLICKIEGO
NA KRESACH UKRAINNYCH
w końcu XVIII. w.

(Ciąg dalszy).

2. m. Czornobyl.

Porządkiem, przyjętym w tej pracy, rozpatrzymy najprzód nadania i legaty, a następnie ekonomiczne warunki wsi w posiadaniu duchowieństwa będących.

Czornobyl posiadał klasztor zakonu św. Dominika pod wezwaniem Wniebowzięcia Najśw. Panny Maryi. Budowa jego rozpoczęła się już była tuż obok ściany zamkowej jeszcze za życia żony Łukasza Sapiehy, Zofii Kmicianki z domu. Była to pani bardzo bogobojna, która od dawna nosiła się z myślą ufundowania w Czornobylu kościoła. Wybór jej padł na Dominikanów. Za życia przeto jeszcze swego rozpoczęła budowę klasztoru, przeznaczywszy swoje „klejnoty, perły, złoto, srebro, szaty różnych materyi na chwałę Bożą i ku większej ozdobie kościoła Jego", które po wybudowaniu kościoła miały być spisane i oddane przeorowi klasztoru. Było to, jak się zdaje, małżeństwo bezdzietne, o ile wnosić można z tego, że syn Samuel jeszcze za życia obojga rodziców umarł, a majętność po śmierci Łukasza przeszła w ręce brata jego.

Pani Łukaszowa nie zdołała jednak przyprowadzić do skutku zamiaru swego; śmierć zabrała ją z tego świata przed ukończeniem budowy klasztoru. Umierając, poleciła jednak spełnienie swego zamiaru mężowi. Imci pan Łukasz z gorliwością prawdziwie chrześciańską i miłością małżeńską, przebijającą się przez kwieciste, długie

i nie zawsze jasne okresy nadania, myśl żony do skutku doprowadził, „idąc za pobożną wolą i świątobliwymi zamysłami miłej małżonki“. Spełnienie tej woli było jednocześnie wykonaniem testamentu. W akcie fundacyjnym na rzecz klasztoru dominikańskiego w Czornobylu zobowiązał się on przedewszystkiem rozszerzyć miejsce pod budowlę kościoła i zabudowań klasztornych, wymierzyć je, „jako według proporcyi zakonnicy potrzebować będą“ i oddać im we władanie. Łukasz Sapieha wszakże właścicielem nieograniczonym Czornobylszczyzny nie był, posiadał tylko na niej zapis żony swojej w sumie 150 tysięcy złp. Z tej sumy wyznaczył 30.000 złp. na klasztor, a tytułem wieczystej dzierżawy nadał wsie, w Czornobylszczyźnie położone, Lelów. Paryszów i Koszowę „ze wszystkimi gruntami, borami, poddanymi, robotami, czynszami, osypami, dziesięcinami.“ Nie powtarzam całej długiej, ale znanej i używanej w takich razach formuły nadania i darowizny. Działo się to roku Pańskiego 1626, 1. września.

Na tem się dobroczynność Łukasza Sapiehy nie skończyła. „Dla snadniejszego wychowania zakonników“ nadał im prawo łowienia ryb w rzece Demęce, płynącej w granicach wsi Lelowa, i wyznaczył rozmaite naturalia, mające się wydawać corocznie na każde suchednie z włości czornobylskiej. A zatem: żyta albo mąki beczek pół osma, pszenicy pięć ćwierci i pszona beczkę jednę z młyna na rzece Uszy leżącego, a do zamku czornobylskiego należącego. Oprócz tego „na potrzeby rozmaite klasztoru“ przeznaczył złp. 500, zabezpieczonych na karczmie czornobylskiej, płatnych na każdy św. Michał, miodu przaśnego beczek pięć „z spiżarni własnej“, żelaza wozów 20 z rudni na rzece Uszy leżącej. Zobowiązał się nadto „do niedziel dwunastu“, od chwili podpisania nadania, wręczyć „starszemu klasztoru“ zapisane testamentem przez żonę klejnoty, o których wspomnieliśmy już wyżej.

Obowiązków publicznych Łukasz Sapieha nie nałożył Dominikanom żadnych, tylko religijne, a i te odnosiły się wyłącznie do jego najbliższej rodziny. Zakonników miało być 12. Obowiązani oni byli „Panu Bogu za duszę miłej małżonki“ zapisodawcy modlić się, a za odpuszczenie grzechów i własną duszę — za życia i po śmierci — dwakroć w tydzień: w poniedziałek i piątek. Jeżeli dodamy jeszcze obowiązkowe modlitwy za duszę ś. p. Samuela, będzie to wszystko, czem wola zapisodawcy obarczyła OO. Dominikanów.

Wkrótce potem zmarł Łukasz Sapieha, jak się zdaje, przed zupełnem wykończeniem budowy klasztoru, chociaż kościół niewątpliwie już istniał. Suma zapisowa Łukasza Sapiehy na majętności czor-

nobylskiej 150.000 złp. przeszła prawem dziedzictwa do brata jego, Leona Sapiehy, wojewody wileńskiego, hetmana w. Wielkiego Księstwa Litewskiego. Kto po Łukaszu Sapieże Czornobylszczyznę odziedziczył — nie wiem, wiadomo tylko, że była to „dziedziczka“, od której Leon Sapieha całą włość czornobylską nabył, zostawiwszy jej tylko dożywocie. Wkrótce umarła dożywotniczka, umarł Leon Sapieha, a wówczas cała Czornobylszczyzna przeszła do Jana Stanisława Sapiehy, marszałka wielkiego W. Ks. Litewskiego. Ale i ten żył niedługo, a majątek dostał się bratu jego, Leonowi Kazimierzowi Sapieże, właścicielowi Czerei i Bychowa, marszałkowi nadwornemu W. Ks. Lit. Wszystkie te zmiany zaszły między r. 1626 a 1640, a zatem w ciągu piętnastu lat zaledwie.

Leon Sapieha postanowił w tym roku, t. j. 1640 uregulować stosunek swój majątkowy do OO. Dominikanów i w tym celu porozumiał się ze „starszymi ojcami“ i przełożonym zakonu, przewielebnym księdzem Stefanem Chmelerem (nazwisko nie dość czytelne), prowincyałem zakonu św. Dominika prowincyi ruskiej. Rezultatem tego porozumienia było przedewszystkiem określenie i odgraniczenie miejsca, wybranego przez Dominikanów na klasztor i nowy kościół. Dawny zatem kościółek murowany i place, za czasów Łukasza Sapiehy nadane, wróciły do dawnego posiadania, a Leon Sapieha potwierdził jako własność klasztorną nowe, zajęte przez Dominikanów place i przez nich ogrodzone, obiecując przytem w roku następnym t. j. 1641 wymurować własnym kosztem zakrystyę. Ponieważ ojciec jego, ś. p. Stanisław Sapieha, obiecał nadać Dominikanom w pobliżu miasta leżący folwarczek, nazwany Słoboda Starosielska [1]), idąc przeto za wolą i życzeniem ojca, nadał go i potwierdził nadanie Dominikanom.

Pozostawała jeszcze sprawa uregulowania posiadania wsi Lelowa, Paryszowa i Koszowa, używanych prawem dzierżawy z tytułu zapisu Łukasza Sapiehy. Leon Sapieha i tu poszedł za wolą i życzeniem ś. p. ojca swego. Stosując się tedy do tej woli i „intencyi“, ustąpił powyższe trzy wsie OO. Dominikanom „wiecznością“, zrzekając się za siebie i za sukcesorów swoich wszelkich praw do nich na przyszłość, OO. Dominikanie zaś zrzekli się owej sumy 30.000

---

[1]) W akcie nadawczym Leona Sapiehy po wyrazie „folwarczek“ znajdują się kropki. Ponieważ jednak w końcu XVIII. w. w inwentarzu dóbr zakonnych, oprócz wsi nadanych przez Łukasza Sapiehę, znajduje się tylko S ł o b o d a S t a r o s i e l s k a, przypuszczam, że ten właśnie folwarczek nadany został Dominikanom przez Leona Sapiehę.

(Przyp. autora)

złp., zapisanej im przez Łukasza Sapiehę. „Ordynarya“ w naturaliach, wyznaczona klasztorowi przez ś. p. Łukasza Sapiehę, została utrzymaną w całości i potwierdzoną, z pozostawieniem prawa sobie lub sukcesorom swoim zniesienia jej drogą innej zamiany i „kompozycyi“. Oprócz tego przyrzekł Leon Sapieha OO. Dominikanom już w roku następnym, t. j. 1641, „zesłać sług swoich“, ażeby uregulować granice posiadanych przez nich wsi, a gdzieby się okazały, zamienić szachownice klasztorne i poddanych „bez krzywdy“.

Jakoż istotnie w r. 1642 Teodor Michał Obuchowicz, ziemianin J. K. Mości powiatu mozyrskiego i Justynian Pruszanowski, starosta czornobylski, otrzymali polecenie od Leona Sapiehy odgraniczenia dóbr i własności ziemskiej, nadanej Dominikanom. Dzięki temu aktowi rozgraniczenia przechowały się szczegóły o położeniu i obszarze posiadłości pod klasztorem będących. Posiadłość ta leżała „*ex opposito* zamku czornobylskiego“ i ciągnęła się, „począwszy od rzeczyska Prypeć, gdzie się kończy ostróg miejski, ulicą do cerkwi Preczystej idącą; po prawej ręce miejskie place i budynki, po lewej parkan klasztornych ogrodów, zostawując aż do domu Połużuczka Kusznierza.“ Stamtąd mimo szpital ciągnął się parkan klasztorny aż do sadów dominikańskich i od kościoła aż do browaru i dworu zamkowego. Ażeby klasztor uchronić od niebezpieczeństwa pożaru, browar odstąpiono Dominikanom, a dwór przenieść postanowiono na inne miejsce za wolą dziedzica, z tem zastrzeżeniem, że ani klasztor, ani zamek nic w tem miejscu budować nie mają.

W ten sam sposób, bardzo szczegółowy, rozgraniczone zostały wsie Lelów, Paryszów i Koszów. Po dokonanym fakcie przeprowadzenia granic, których tutaj bliżej określać nie będziemy, powstały jeszcze drobne uboczne kontrowersye, które „sludzy“ Sapieżyńscy ku wygodzie i sprawiedliwości stron obu załatwili. Pierwsza taka kontrowersya wynikła na gruncie lelowskim. W obrębie tego gruntu poddani Kopaczowscy „na mocy dawnych zwyczajów i prawa pospolitego“ posiadali swoje barcie, komisarze zatem postanowili, ażeby ci z „otczyców kopaczowskich“, których barcie odeszły do posiadłości klasztornych, mogli na przyszłość bez żadnych przeszkód ze strony klasztoru nie tylko używać swoich barci w dawnych granicach, ale i nowe zadziaływać. To samo ściągać się miało do poddanych koszowskich i paryszowskich, którzy „gdziekolwiekby posiadali drzewa bartne na gruntach zamkowych, jako ojczyzny własnej używać mają.“

Ponieważ w posiadłości, odgraniczonej na rzecz klasztoru, nigdzie nie było miejsca sposobnego „do erekcyi młyna“, przeto ko-

misarze imieniem Sapiehy pozwolili klasztorowi wolne mlewo zboża w młynie zamkowym „bez czerhy“. Drzewo opałowe, jakoteż łuczywo obowiązani byli Dominikanie dawać bezpłatnie „za rzeką Prypecią“ „miastu czornobylskiemu“. Wolność paszenia bydła przysługiwała wszędzie, we wszystkich lasach, nie wyłączając dominikańskich, lelowskim, mieszczańskim i klasztornym.

Od chwili tego aktu rozgraniczenia, dokonanego d. 14. maja 1642 r., żadne nie zaszły zmiany i przeszkody w posiadaniu aż do r. 1779. Wojny i awantury kozackie, wszystkie burze inkursyi przeszły nad klasztorem dominikańskim, nie nadwerężywszy jego posiadania w niczem. W roku wspomnianym dopiero hr. Chodkiewicz, część drogą sukcesyi a drugą połowę spłaciwszy, nabył Czornobylszczyznę od hr. Krasickiego i w tymże roku rozpoczął proces z klasztorem w sądach ziemskich owruckich o niesłuszne posiadanie wspomnianych już kilkakrotnie wsi. Nie mógł jednakże do tej sprawy — pisze ks. Jacek Odyniec, przeor klasztoru czornobylskiego — złożyć dokumentów i dowodów, przerwał ją przeto, a sam w krótkim czasie umarł. Po jego śmierci Czornobylszczyznę prawem dożywocia posiadała żona, która rozpoczęła na nowo proces d. 10. listopada 1788 r. Ale i jej, jak się zdaje, zabrakło dowodów. Tak się ta sprawa przeciągnęła aż do r. 1796. Byłaby się ona na niczem zapewne skończyła, gdyby nie usłużność, mająca charakter chęci przypodobania się, plenipotentów Chodkiewiczowej. „Rządcy Czornobylszczyzny“ — jak mówi ks. Jacek — nie mając do tej sprawy ani plenipotencyi, ani dyspozycyi, wszczęli ją jednak na nowo, nie licząc się z tem, że czasy i władze zmieniły się. Nastąpił był już inny podział terytoryalny i administracyjny kraju. Owi „rządcowie“, rozpocząwszy na nowo zapomniany już spór z klasztorem, sprowadzili sędziów z Owrucza, będącego już w gub. wołyńskiej, do Czornobyla, leżącego w gub. kijowskiej, ażeby od razu na gruncie sprawę ubić. Nie udało się im to wszakże. Klasztor, uważając takie postępowanie za bezprawie, udał się ze skargą do gubernatora kijowskiego Miłaszewicza, który nakazał sędziom, jako nie należącym do atrybucyi sądów gubernii kijowskiej, a zatem działających bezprawnie, opuścić Czornobyl. W ten sposób OO. Dominikanie i klasztor zostali w spokoju przy dawnem posiadaniu — do czasu.

W r. 1798 dobra klasztorne wraz z powinnościami, do tych należącemi, były następujące:

	dworów chłopskich	mężczyzn	kobiet	intrata		
Jurydyka w mieście Czornobylu	23	56	51	130 złp.	—	gr.
Wieś Lelów	56	211	205	1860 „	13	„
„ Paryszów	50	160	147	1841 „	24½	„
„ Koszówka	24	88	69	496 „	14	„
Słoboda Starosielska	19	76	73	578 „	8	„

Zatem na samym schyłku XVIII. w. OO. Dominikanie z posiadłości swoich, mających 172 dwory, 591 „dusz“ męzkich i 545 żeńskich, ciągnęli dochodu około 5 tysięcy złp. Przytem posiadali 1 młyn grobelny i 2 na łodziach, z których dochody nie są wykazane.

3. m. Chabne.

W miasteczku Chabnem był tylko kościół parafialny — skromny, z drzewa budowany. Podział na gubernie nowozdobytego kraju, podzielił także dobra funduszowe, będące uposażeniem kościoła chabeńskiego. W ten sposób odpadły do gub. wołyńskiej wsie Mińki wielkie i małe, tudzież Rudnica Mińkowska, a z tej racyi braknie nam zupełnie szczegółów, dotyczących czasu i warunków nadania tych wsi kościołowi chabeńskiemu. Znalazły się one niewątpliwie w aktach gubernatorstwa wołyńskiego. Do kościoła w miasteczku należała tylko jurydyka, mająca „dusz“ męzkich cztery a żeńskich — według wykazu proboszcza — pięć, według zaś sądu powiatowego, radomyślskiego, siedm.

Jurydyka owa nadaną była kościołowi przez Jana Steckiego, chorążego koronnego, dziedzica miasta Chabnego. W jakim czasie wszakże — wykaz proboszczowski nie mówi, dodając, „że na piśmie żadnego dokumentu nadawanego nie ma“. Poddani owej jurydyki nie opłacali żadnego podatku, ale natomiast pełnili pewne obowiązki, jak to roznosili „uniwersały“ kościelne do najbliższego kościoła, dopomagali w staraniach koło kościoła przy budowlach, reperacyach i t. d. Uposażenie ich było bardzo ubogie: gruntu i sianożęci nie posiadali wcale, tylko wydzielony im przez właściciela ogród, „którego rozległość rozciąga się na czwartą część werstwy.“ Bliższych określeń nie podano.

4. m. Iwanków.

W Iwankowie istniał także tylko kościółek drewniany. Oprócz jurydyki w mieście, zwanej Żarnówka, mającej w r. 1796 męzkich

dusz 8 a żeńskich 6, żadnej innej własności ziemskiej nie było. Przez kogo owa jurydyka nadaną była, ksiądz pleban ówczesny, Zarzycki, który własnoręcznie wiadomość podał i pisał, nie powiedział. Poddani siedzący na jurydyce, oprócz ogrodu także nic nie posiadali więcej, a i te „według woli swojej właściciel — *recte* pleban — każdego czasu odebrać może.“ Niezależnie od posiadanej jurydyki, księżna Honorata Lubomirska, wojewodzina kijowska, wypłacała ze swego skarbu na utrzymanie proboszcza i probostwa złp. 900 corocznie.

O innych nadaniach w wykazie urzędowym nie ma wzmianki.

5. m. Makarów.

Kościół w miasteczku Makarowie zbudowany został dopiero w r. 1754. Była to majętność Antoniego Lubomirskiego, „księcia świętego państwa rzymskiego, hrabiego na Wiśniczu i Jarosławiu“, wojewody lubelskiego. Właściciel, „miarkując“ — jak powiada nadanie — że poddani klucza makarowieckiego, nie mając w pobliżu kościoła, bez chrztu i ostatniego rozgrzeszenia schodzili z tego świata, „dla poratowania“ ich postanowił założyć kościół w m. Makarowie. Kościół ów w r. 1754 faktycznie istniał, nie był tylko uposażony i nie posiadał plebana. Lubomirski na utrzymanie parafii i plebana zapisał na majątku makarowskim d. 15. marca t. r. sumę 18.000 złp., obowiązując się sam i obowiązując na przyszłość spadkobierców swoich do wypłacania na rzecz kościoła 7% od tej sumy, czyniąc w zapisie swoim repartycyę powyższej sumy w sposób następujący: proboszczowi przeznaczył 700 złp., wikaremu 300 złp., organiście i słudze kościelnemu po 80 złp., na światło i rekwizyta do kościoła 100 złp., naznaczając pierwszym proboszczem ks. Felicyana Mełwińskiego, kanonika kijowskiego. Zapisując powyższy legat, ks. Lubomirski zobowiązał proboszczów makarowieckich do odprawowania oprócz mszy zwykłej co święto i niedzielę „za fundatora i *pro populo*“, także raz na tydzień na intencyę zapisodawcy i jego małżonki Zofii z Krasińskich, a po ich śmierci za ich dusze.

Procent od sumy legowanej miał być wypłacany w dwóch ratach: w pierwszy dzień po święcie Trzech Króli i w pierwszy dzień po święcie św. Jana, według kalendarza rzymskiego.

Ponieważ zapisodawca włożył na księży obowiązek nieoddalania się z parafii, postanowił przeto materyalną ich pozycyę ustalić. Przyrzekł więc wydzielić jeszcze potrzebną ilość gruntów i łąk, dozwolił

mlewo wolne w młynach makarowieckich dla potrzeb probostwa i wolny wrąb do lasów na drzewo opałowe. W rok prawie potem, mianowicie 20. stycznia 1755 r. podpisał akt nadania kościołowi makarowieckiemu gruntu i łąk „na sieliszczu, zwanym Łozowyk.“ Instrument na prawo wyniesienia i rozgraniczenia wydał 8. maja 1754 r. Michałowi z Wyhowa Wyhowskiemu, skarbnikowi żytomirskiemu, i Franciszkowi Suszczewiczowi, łowczemu lidzkiemu, którzy też aktu tego dokonali.

Bliższem określeniem granic tej miejscowości zajmować się nie będę. Część owa gruntu, wydzielonego przez komisarzy na rzecz kościoła makarowieckiego w roku 1798, w wykazie urzędowym nazwaną jest futorem Łozowikiem. Leżał on między rzeką Zdwiżem a rzeczką Poczepinem i zasiedlać się począł dopiero od chwili nadania, oddalony od Dniepru na 50 wiorst. Pańszczyzny tygodniowo odrabiali dzień jeden. Futor graniczył z posiadłościami marszałka Rościszewskiego i szambelana Szymańskiego. Całość jego obejmowała 30 desiatyn czyli „dni“ — jak napisano w wykazie — będących w posiadaniu probostwa i 17 des. w posiadaniu włościan. Na tym futorze był jeden dom księży, siedm włościańskich, w których mieszkało 9 familii. Ze szlachty czynszowej był 1 mężczyzna i 3 kobiety, a z włościan 19 mężczyzn i 17 kobiet.

Czynszu pobierało probostwo złp. 630. Ku wygodzie swojej futor posiadał młyn na łodziach jeden.

(Dokończenie nastąpi).

Fr. Rawita - Gawroński.

HISTORYA MALARSTWA
NA PÓŁNOCY I W HISZPANII.

(Ciąg dalszy).

V.

Malarstwo hiszpańskie w XVI. wieku.

W Hiszpanii nie było w XV. wieku innej rodzimej sztuki, prócz wspaniałego budownictwa. Ołtarze gotyckich katedr zdobili niederlandzcy rzeźbiarze pistrami rzeźb. I w XVI. w. zachowało tu rzeźbiarstwo drewniane lub alabastrowe przewagę nad malarstwem, natchnąwszy hiszpańskich także rzeźbiarzy do dzieł znakomitych, w których włoski wpływ, przetrawiony zupełnie i unarodowiony, przemógł niebawem niederlandzką tradycyę. Istniały jednak już w XVI. wieku narodowe szkoły malarskie w Hiszpanii, a gdy pod koniec stulecia nastał dla malarstwa szary post manierystów po złotych zapustach pełnego renesansu, najlepszymi jeszcze byli hiszpańscy malarze. Romańska krew, południowe niebo, pokrewne typy ludowe sprawiły, że tu przetrawiono łatwo włoskie formy, a odległość i odmienny przecie charakter narodu nie dały Hiszpanom być ślepymi wielkich Włochów naśladowcami i ustrzegły ich przed pustem całkiem, bezmyślnem malowaniem.

Już za panowania Karola V. było kilku dobrych i znakomitych może nawet mistrzów w Hiszpanii. Znakomitymi nie nazwę Kastylian, naśladujących niederlandzkie wzory, którym było na imię: Bernquete i Correo. B e r n q u e t e byłby uchodził we Flandryi za mizernego malarza, Correo stąpał w ślady Massysa, nie zapierając się oryginalności; ale dobrymi tylko można nazwać jego najlepsze obrazy, jako to Nałożenie cierniowej korony na Chrystusa i Uśpienie, które to obydwa obrazy znajdują się w Muzeum Prado w Madrycie, w owym niezrównanym przybytku hiszpańskiej sztuki. Powiem o tych obrazach tylko, że mają koloryt dość ponury, ale

wytrawny, i że trzymając się w ogóle flamandzkiego pojęcia form, mają ślady romańskiego poczucia linearnej piękności i odznaczają się jakiemś boleśnem, głęboko religijnem uczuciem.

Te same własności a w dodatku świetny, barwniejszy koloryt ma duży obraz, wyobrażający Złożenie do grobu, który zdobi jeden z ołtarzy przepysznej katedry w Sevilli. Malarz, który ten obraz odmalował, nazywał się Gandelupe, i choć malował pod wpływem Massysa, nie naśladował go wcale. Wspaniałą jest tu Marya Magdalena, która się z rozpuszczonemi włosami rzuca na zwłoki Chrystusowe, pełna bolu i miłości, a śmiałość wdzięcznego ruchu świadczy o tem, że tu malował człowiek południowy, namiętnie czujący, ale wrażliwy wielce na widome piękno.

Na prawdę jednak zeszło słońce sztuki malarskiej nad Hiszpanią, kiedy około roku 1530 Juan de Borgona odmalował swoje wspaniałe freski w sali kapituły koło katedry w Toledzie. Był to syn rzeźbiarza, imieniem Pedro de Borgona, o którym przypuszczają, że pochodził z Niederlandów. Widocznie bywał we Włoszech, ale nie był chyba w Rzymie i uległ przedewszystkiem wpływowi dawniejszych Florentyńców i Wenecyan.

Już sam układ kompozycyi przypomina Włochy, Syenę, Orwiet i kaplicę sykstyńską w Rzymie. Nie mamy tu tryptyku o wielu polach ani maleńkich figurek w krajobrazie, uzupełniających opowiadanie na pierwszym planie rozpoczęte. Pod sufitem, wzdłuż ściany, ciągnie się dokoła sali kapitulnej, będącej zarazem kaplicą, fryz wielkich fresków podzielonych na pola; na każdem polu widzimy inny obraz, odmalowany dziwnie dotąd żywemi barwami, na którym stoją postacie naturalnych rozmiarów. Wzdłuż bocznych ścian ciągnie się historya Matki Boskiej. Po cztery kompozycye są na każdej ścianie. Na prawo od Wielkiego Ołtarza widzimy najpierw Pocałunek mistyczny Joachima i Anny. Joachim wraca z pustyni, posłuszny rozkazom anioła i wita pocałunkiem bezdzietną dotąd małżonkę, a przez ten pocałunek Marya została niepokalanie poczętą. Okna w tej właśnie prawej stronie kaplicy umieszczone przeszkadzają srodze i trudno postacie widzieć naprzeciw światła. Tu już rozpoznasz zalety wspólne tym obrazom: rysunek okrągły, pełny, poprawny, wyrażający uczucia szlachetnie, wyraźnie i dziwnie żarliwie bez ujmy dla wszędzie zazdrośnie strzeżonej piękności linii i w ciałach i na draperyach i na twarzach, mimo to wielce rozmaitych; w ruchach obok powagi prawda. Układ figur jasny, jeszcze trochę symetryczny, a jednak swobodny, mistrzowski. Nigdzie nie masz natłoku, wszędzie przestrzeń dostateczna oddziela pojedyńcze postacie i pojedyńcze

grupy. I rysunek i modelowanie ciał doskonałe, a pełne jeszcze owej świeżości, którą daje jedynie bezpośrednie, szczere studyum natury. Barwy wreszcie nałożył Borgona śmiało, a kolory to pełne, głębokie, uroczyście godowe, tworzące wielkie akordy kolorów, przypominające obrazy Beliniego i muzykę na organach.

Te zalety znajdziesz prawie wszędzie na tych freskach. Tu wystają rodzice Matki Boskiej plastycznie i barwnie w swoich draperyach klasycznych, na tle dziwnie głębokiego a dziwnie prostego i zielonego, bezpośrednio odczutego krajobrazu. Na tej samej ścianie namalował dalej Borgona między oknami Narodzenie Matki Boskiej, jej Ofiarowanie w świątyni i Zwiastowanie. W Narodzeniu i Ofiarowaniu występują mocno reminiscencye z fresków Ghirlandaja w kościele Santa Maria Novella we Florencyi. Podobnie rodzajowo opowiada Borgona, jak św. Anna na łożu leży, i jak się dokoła niej, koło nowonarodzonego dziecka niewiasty młode. po największej części i piękne poważnie krzątają, albo jak mała Marya wychodzi po schodach do Świątyni jeruzolimskiej, u której bramy arcykapłan ją przywita; i Ghirlandaja przypomina arcykapłan sędziwy wśród swego orszaku, wyciągający radośnie ręce ku cudownemu dziecięciu; tylko że tu u Borgoni koloryt świetniejszy, kompozycya lepsza, zbytku szczegółów niema, po wszystkiem znać, że malarz nauczył się już mistrzowskiej wstrzemięźliwości od Leonardy, Rafaela, Andrei del Sarto. Największą jest ta wstrzemięźliwość w Zwiastowaniu, gdzie dwie tylko postacie poruszają się wśród wspaniale barwnego krajobrazu. Marya, przecudne dziewczę, siedząc, słucha poselstwa anielskiego, a jest w jej pokorze wdzięk niezrównany, niezrównany urok dziecinnej prawie panieńskiej niewinności.

Na przeciwnej stronie zaczniemy obrazy wymieniać od wschodu. A tu następują po sobie: Nawiedzenie, Obrzezanie, Uśpienie i Wniebowzięcie. Te obrazy doskonale oświecone; niestety, ostatnie dwa najsłabsze w całej kaplicy. Nawiedzenie przypomina Pocałunek Joachima, ale tu wspanialszy jeszcze krajobraz; zielona łąka, przez którą płynie rzeka, tchnie świeżością, jakiej chyba nie znają na południu, jaką widział Borgona gdzieś zapewne w Niederlandach i do której tęsknił. Ghirlandaja przypomina się znowu w przepięknem Obrzezaniu, najlepszej z kompozycyi, opowiadających żywot Maryi. Obraz przedstawia wnętrze jeruzolimskiej świątyni, wśród której ugrupowano tylko kilka zarówno pięknych a jednak bardzo od siebie różnych postaci. Najpiękniejszymi są stary Szymon w arcykapłańskim stroju i przedewszystkiem Anna prorokini, w błękitny płaszcz otu-

lona, z laską w reku, nieco w głąb obrazu usunięta, przemawia w natchnieniu, pełna szczęścia, prawdy i prostoty.

Obrazy, przedstawiające Uśpienie i Wniebowzięcie, są natomiast tak słabo malowane, że trudno przypuścić, aby były wyszły z pod pęzla tego samego malarza, który inne wykonał freski kapituły toledańskiej. Wolno się domyślić, że tu Bernquete zastąpił Borgonę. Jednostajnie ustawione figury o jednostajnych postaciach i twarzach, odmalowano tu sztywnie i bezmyślnie, a choć i tu barwy dotąd bardzo żywe, o pięknym kolorycie niema mowy.

Świetnymi za to nad wyraz są trzy freski Borgoni, odmalowane na ścianie za wielkim ołtarzem. Wyobrażają Ukrzyżowanie Pańskie, Złożenie do Grobu i Zmartwychwstanie. Kto wejdzie do sali, tego zaraz u wstępu uderzy świetność barw uroczysta i wspaniała; czerwone draperye odbijają się pysznie o zielone murawy i cudnie błękitne niebo; trzy razy oglądamy gorąco malowane, wspaniałe, nagie ciało Chrystusowe. W Złożeniu do Grobu spoczywa miękko na ziemi w uroczystym majestacie śmierci; ogniście przemawia boleść głęboka a prawdziwa niewiast świętych, a piękny, młodzieńczy uczeń ukochany pieści się z czułym żalem piękną, martwą głową Zbawiciela. Z tryumfalną siłą wypływa zmartwychwstający Chrystus z grobu ponad leżącemi postaciami straży pancernej.

Najpiękniejszem jednak dziełem Juana de Borgona jest wielki fresk Sądu ostatecznego, zajmujący całą ścianę nad drzwiami wchodowemi naprzeciw ołtarza. U góry i w środku widnieje na obłokach, na tle przecudnie błękitnego nieba, półnagi Chrystus, o gorąco namalowanem, niezrównanie żywem i pięknem, młodzieńczem ciele. To już jeden z owych mężnych a świętych, niezrównanie pięknych Chrystusów, których malowaniem celowali Hiszpanie; potęgą widnieje pierś silna, szeroka, ręce rozwarł nad światem, na twarzy widać wszechmoc i wszechmiłość, łaskę i sprawiedliwość. Po prawicy i lewicy, jak zawsze, Bogarodzica i Chrzciciel, dalej dwór niebieski i chóry anielskie. Na dole wydobywają się umarli z zielonych grobów. Piękne to znów nad wyraz ciała młodzieńcze, a przypominają zmartwychwstających Signorellego w Orwiecie. Jedni wzbudzeni ze snu wiekuistego wyciągają zdrętwiałe ramiona i wyprężają piersi od tchu odwykłe, inni wydobywają się z wysiłkiem z ziemi, która im jeszcze połowę ciała kryje. Przepyszne tu są niewiast długie, rozpuszczone złote włosy. Jedną grzesznicę chwycił już za warkocz czart ohydny, przypominający fantastyczne zmory dziwacznych niederlandzkich malarzy; inni potępieńcy gonią już w rozpaczy do piekła -- po lewicy. Po prawicy unosi się nieopodal ziemi ku niebu

obłok szafirowy, zabierając z sobą nagie także, zamodlone w szczęsnym zachwycie postacie wybranych. A na tym obrazie, płonącym od pysznych barw, wszystko spokojne pokojem, który daje wytrawne piękno, nigdzie nie ma ścisku, ani zamięszania, cała kompozycya tak przejrzysta, jak powietrze i niebo, wśród którego się poruszają święci i potępieni.

W połowie stulecia osiedli w andaluskiej stolicy dwaj starsi już mężowie: Luis de Vergas i Pedro Campana, którzy się długo we Włoszech sztuki malarskiej uczyli i założyli tu świetną szkołę, która zakwitła właśnie za Filipa II. wtedy, kiedy się sztuka wszędzie indziej na pięćdziesięcioletni sen układała.

Luis de Vergas był rodem z Sewilli (1502—1567). Znam tylko dzieła z jego lat starszych, jaśniejące najświetniejszą barwą w katedrze sewilskiej. Na Bożem Narodzeniu znać wyraźnie wpływ Rafaela. W szafirowy płaszcz przyodziana Madona, ze wszystkiem Rafaelowską ma głowę, a harmonia linii i układ Przenajświętszej Rodziny i pasterzy przynoszących ofiarę przypomina wielkiego umbrejskiego mistrza. Ale nikt chyba nie powie, żeby Vergas był bezdusznym manierystą, malującym na pamięć to, czego sam nie odczuł. Wszystko tu samodzielnie przetrawione, ze wszystkiego tryska rzetelne poczucie piękna linii i barwy; wszystkie postacie pełne życia zestrajają się w muzykalną, świetną, silnie skomponowaną całość.

Sławniejszem jest Niepokalane Poczęcie w tej ciemnej kapliczce ogromnego tumu, niestety bardzo źle powieszone. Nie jest to jeszcze kompozycya, w której się późniejsi Hiszpanie lubowali. Madona zasiada w chwale na obłokach, a nagie postacie pierwszych rodziców oddają, klęcząc na ziemi, hołd przeczuwanej Matce Zbawiciela przyszłego. Te postacie z największą siłą modelowane, zwrócone plecami do widza, a noga Adamowa w śmiałem odmalowana skróceniu, była szczególniejszym przedmiotem podziwu dla Sewilian, którzy przeto obraz ten przezwali: „Nogą“, *la gamba*.

Mimo wielkich, niezaprzeczonych zalet, trzeba przyznać, że Vergas tworzył kompozycye zbyt komplikowane, że się popisywał biegłością rysunku, że chodziło mu nieraz więcej o piękną linię albo śmiały szkic, jak o wyrażenie prawdziwych uczuć i o proste a jasne oddanie przedmiotu. Tych błędów epoki swojej, epoki epigonów nie umiał Vergas uniknąć, choć był nierównie wyższym od innych, nie hiszpańskich, współczesnych naśladowców.

Nie ze wszystkiem uniknął tych samych błędów drugi malarz w ówczesnej Sewilli, Pedro Campana (1502—1580). Był właściwie Flamandem, rodził się w Brukseli i nazywał na prawdę Piotrem

Kampener. Tak za młodu jednak opuścił ojczyznę, aby osiąść we włoskiej Bononii, że nie masz w nim śladu północnego ducha. Wielkie na nim wrażenie wywarli Wenecyanie i stał się jeszcze w czasie studyów włoskich potężnym kolorystą. Świadczy o tem jego młody św. Jan Chrzciciel w bonońskiej Pinakotece. Jest to naga postać młodzieńca, silna, klasycznie piękna, narysowana z wielką a szczęśliwie pokonaną dbałością o harmonię linii i z niepospolitą potęgą. Natchnienie, zapał i surowa asceza rysują się na pięknej, młodzieńczej, pacholęcej prawie twarzy. Podniósł ręką krzyż, szeroko usta rozwarł do mowy; wydaje głos wołającego na puszczy. Ale postać ta przez to głównie jaśnieje pośród akademickich albo manierowanych obrazów bonońskiej szkoły, że ma karnacye prawdziwe a jednak ogniste, występujące gorąco, płomieniście prawie na czarnem obrazu tle. Ten święty Jan zaznaczył się w dziejach malarstwa; podziwiali go Bonończycy: Caracciowie, Gwido Reni, Guercino, nieraz naśladowali tę postać młodego proroka, a Dominichino wtedy bywa największym, kiedy potrafi doścignąć koloryt płomienisty Campani.

Około czterdziestego roku życia osiadł dzielny mistrz w Sewilli i podobnie, jak Vergas, przydał tamtejszej katedrze najświetniejszej ozdoby. W wielkiej zakrystyi *(Sacristia major)* tumu jaśnieje niezrównanem żarem barw Zdjęcie z Krzyża, którego twórcą Campana. I tu, jak w owym świętym Janie, rzecz nadzwyczaj prosta, choć obraz nierównie większy i choć kilka postaci ugrupowano z najbardziej mistrzowską wstrzemięźliwością. Oko spoczywa na ciele nagiem Chrystusowem, któremu lewe dopiero ramię z krzyża zdjęto i które się przepyszną linią spuszcza powoli na ramiona Józefa z Arymatei. To ciało tak piękne, tak potężnie, a przedewszystkiem barwą tak płomieniste, że niem tylko sycisz oko, że na co innego nie możesz zwrócić uwagi.

W jednej z kaplic katedry jest obraz nierównie większy, który wyobraża Obrzezanie Chrystusa. Tu jest tłum postaci, tu nie można mistrza od winy współczesnych rozgrzeszyć; jest na obrazie zanadto tłumno, a najpiękniejsze szczegóły nie mają nieraz nic wspólnego z kompozycyą i z treścią obrazu. Zachwycającą jest naprzykład jakaś niewiasta, tuląca bliźnięta do łona z gestem nieco teatralnym, ale pełnym wdzięku, a doprawdy trudno oznaczyć, co ma robić na tym obrazie. A jednak to obraz zachwycający. Może sama piękność skończona głów i linii nie okupiłaby dekoracyjnej próżni treści, ale barwa płonie wszędzie z mocą niezrównaną, sycąc oko potęgą karnacyi, dając wszystkiemu wypukłość i życie.

Dopiero starcem powrócił Campana do ojczystej Brukseli i odłożywszy na bok pęzel, żadnych dzieł w Niederlandach nie pozostawił, żadnego wpływu na rodaków nie wywarł. Jego miejsce tedy w historyi hiszpańskiego malarstwa i jego nazwisko winno w hiszpańskiej formie przejść do potomności.

Obok sewilskiej zakwitła jeszcze w Hiszpanii w XVI. wieku szkoła malarska w Walencyi. W niniejszym rozdziale dzieje tej szkoły streszczę i aż do końca doprowadzę. Ale przedtem muszę wspomnieć po krótce kilku kastylskich malarzy, zatrudnionych koło madryckiego dworu. Byli to najpierw dwaj zimni ale poprawni portreciści, obaj nadworni królów hiszpańskich malarze, Alonso Sanchez Coelo i uczeń jego Pantoja; byli to dalej malarze religijni przeważnie albo wyłącznie: Morales z przezwiskiem „Boski“, El Divino i Theodosopuli, Grek z pochodzenia, zwany przeto pospolicie El Griego, którzy obaj rysowali postacie przedługie, dziwaczne, a malowali zielone karnacye o plamistych, niepięknych cieniach; był to wreszcie Navarete, malarz niemy, zwany przeto El Mudo, dzielny podobno kolorysta, którego dobre obrazy są dziś niestety nieprzystępne.

Założycielem szkoły walenckiej był Vincente Juan Mancip (1507—1579). Nazwisko jego Mancip, z łacińskiego *mancipium*, znaczy tyle co niewolnik, i tak raziło artystę, że się przezwał Wincentym Janem Juanesem, i że bywa w dziejach znany pod nazwą: Juan de Juanes. I on także odbył podróż włoską i studyował pilnie dzieła Rafaela, a potem osiadł w ojczystej Walencyi, tu pracował i umarł. Muzeum w Walencyi posiada jego pęzla Chrzest Chrystusów, Wniebowstąpienie i koronacyę Matki Boskiej. Najbardziej znane jednak jego dzieła znajdują się w Muzeum Prado w Madrycie. Poznajemy w nich malarza, przejętego wprawdzie tradycyami rysunku szkoły Rafaela, ale zupełnie samodzielnego i nawet poniekąd twardego i archaistycznego, ale pełnego myśli i uczucia a nadzwyczajnie przywiązującego do siebie. Głowy i ręce modeluje starannie, w sposób przypominający Dürera, tylko że maluje twarze południowe o wybitnych a często bardzo pięknych rysach; barwy na szaty swoich postaci kładzie twarde, jaskrawe, nie godzące się z sobą, a prawie całkiem nie umie używać światłocienia i temu głównie przypisać należy, że jego obrazy, mimo bardzo pięknego rysunku, robią przecie wrażenie jakiejś pierwotniejszej sztuki. Będę w dalszym ciągu mówił wyłącznie o obrazach Juanesa, które się w madryckiem znajdują Muzeum.

Najsławniejszymi są obrazy, opowiadające dzieje św. Szczepana, pierwszego męczennika. Jest ich sześć, a są niewielkich rozmiarów, jak zresztą wszystkie obrazy mistrza, malującego postacie, nie miniaturowe wcale, ale znacznie mniejsze od naturalnego wzrostu ludzkiego. Na pierwszym obrazie tedy widzimy, jak św. Piotr przyobleka Szczepana w ornat i urząd dyakona, przyczem malarz wyobraża sobie naiwnie, że strój dyakonów za dni apostolskich był ten, którego dziś, służąc do mszy solennej, używają. Tu już poznajemy głowy Szczepana i apostołów, te same, które w dalszym ciągu obrazów zostaną, bardzo osobiste, rozmaite, wyraziste a zgodne z wyobrażeniem, który mamy o charakterze świętych mężów. Szczepan to ciemny blondyn, o regularnych pięknych rysach, z tonzurą na głowie, ale z silnym dokoła porostem włosów, z brodą i wąsami, młody jeszcze, z prześlicznym wyrazem wiary, słodyczy, a przecie także zapału i męskiej siły.

Na drugim obrazie widzimy Szczepana, rozprawiającego z żydami. Żydzi mają znów bardzo urozmaicone głowy, po części wybitnie wschodnie. Przy tej dyspucie używają uczestnicy naiwnie palców, jakby argumenta wyliczyć chcieli. Szczepan rzecz swoją wywodzi z siłą przekonania i zapałem, a bardzo różne na słuchaczach czyni wrażenie; jednych gorszy, drugich śmieszy, trzecich gniewa, bodaj czy niektórych nie przekonał. Jeden młody, brodaty brunet, o krótko strzyżonych włosach i pięknych antycznych rysach, zamyślił się mocno; słowa Szczepana wywarły na nim widocznie wrażenie, z którem walczy; — to Szaweł, żarliwy wówczas Chrześcijan prześladowca, a później wielki pogan apostoł, święty Paweł.

Trzeci obraz wyobraża sąd na św. Szczepana. Dyakon apostolski, przyodziany w dalmatykę złotem haftowaną, która go we wszystkich tych obrazach przyobleka, w większy jeszcze zapał wpadł przed sądem, mającym wyrokować o jego życiu i śmierci; ani trwogi, ani gniewu nie widać na jego pięknem obliczu; wyglądają zeń miłość jedynie i wiara. Podniósł rękę ku niebu i powiada sędziom, że ujrzał na niebiesiech Chrystusa, spoczywającego w chwale przy Ojcu, a malarz odmalował widzenie w niebiańskiej oddali. Słowa świadka Pańskiego grozą i lękiem przejęły sędziów, a wzmogły ich nienawiść; śniadzi żydzi, o haczastych nosach, zatkali uszy i wrzeszczą, aby słów Szczepana nie słyszeć.

Na czwartym obrazie prowadzą już świętego na stracenie; otacza go zgraja karykaturalnych żydów, złorzecząc i odgrażając się wściekle. Sam krocząc, ręce związane ułożył poprzed siebie do mo-

dlitwy; oblicze jego spokojne patrzy w niebo, maluje się na niem szczęście z powodu, że może dać świadectwo Panu i przybyć do Niego z palmą męczeństwa w ręku, aby uczestniczyć w Jego bohaterstwie. Z poza ramion jednego z katów wygląda piękna, myśląca głowa Szawła, zapatrzona w oblicze męczennika; dziwi się Szaweł słodyczy i szczęściu skazanego na śmierć, stacza wewnętrzną walkę z sobą, szarpie się z własnem sumieniem, a wątpiąc, czy nie grzeszy, kiedy nową wiarę zwalcza?

Za miastem klęczy Szczepan na piątym obrazie zamodlony. Szkaradni żydzi ciskają nań kamieniami; już paść gotów; głowę ma pokrwawioną, pochylił się naprzód, jakaś mgła wzrok mu zachodzi, śmierć rysuje mu się z lekka na uściech, ale słodyczy, miłości, wiary, szczęścia z męczeńskiego nie zgoni oblicza. W głębi pilnuje Szaweł na wzgórzu szat kamienujących; do reszty wstrzął nim widok męczeńskiej śmierci, będącej zwycięstwem. Ukląkł, ręce roztworzył w przerażeniu, na twarzy znać, że już w głębi serca nawrócony; już odtąd o Chrystusie wciąż myśleć będzie, aż mu się zjawi w promieniach światła po drodze do Damaszku.

Nareszcie na ostatnim obrazie oglądamy znów tych samych apostołów, którycheśmy widzieli na pierwszym, przy wyświęceniu Szczepana. Pełni smutku brata swego składają do grobu, ale to smutek bez złorzeczenia, w którym znać, iż pewni szczęścia i nagrody tego, co umierając, dał świadectwo, iż pewni zwycięstwa swojej sprawy; na obliczu umarłego spoczęło wieczne odpoczywanie.

Na mniejszym trochę obrazie widzimy Wieczerzę Pańską, którą Juanes kilkakrotnie zresztą malował. Apostołowie siedzą przy stole w układzie, przypominającym sławną Wieczerzę Pańską Leonarda; ale to tyczy się tylko rozkładu postaci; głowy są wszystkie oryginalne, oryginalne postawy, a różne apostołów wyrazy uzyskał Juanes samodzielnie z własnych uczuć i własnych myśli. Głowy to piękne, indywidualne, różnorodne, widnieje na nich głęboki, rozumnie pomyślany dramat uczuć. Ale oko widza spocznie na obliczu Chrystusowem, skoro nań trafi i nie oderwie się już od tego oblicza. Zbawiciel w ręku dzierży podniesioną katolicką hostyę, ma jasne, żółtawo płowe włosy, tradycyjnie zaczesane i tradycyjny porost na twarzy. Oblicze ma kościste, wysokie czoło, niebieskie oczy, rysy regularne, kształtne, ale wybitnie zarysowane usta; wyrazu tej głowy opisać nie można, trzeba ujrzyć Chrystusa Juanesowego. Jako człowiek cierpi i to bardzo, ale cierpienie opanował ze wszystkiem, tak, że jego czoło pogodne, że usta się nie kurczą, że głowa nie spuszczona, że błękitnemi oczyma patrzy wprost przed siebie; miłość

nieskończona, przebaczenie dla wszystkich i niezachwiana wola patrzą z tej boskiej twarzy, która mimo to jest ludzką, jakby portret człowieka, którego znać możemy.

W większych rozmiarach odmalował Juanes tę samą głowę Chrystusową w obrazie, mieszczącym tylko popiersie Zbawiciela, trzymającego w jednym ręku kielich a w drugim hostyę. Oprócz pysznego madryckiego egzemplarza, znajdują się mniejsze tego obrazu powtórzenia w Galeryi drezdeńskiej, w Eremitażu petersburskim i w Akademii peszteńskiej. Muzeum Prado posiada jeszcze malowane przez Juanesa popiersie Chrystusa obnażonego, wieńczonego cierniową koroną. Tu boleść silniej na mężnem wystąpiła obliczu, a wraz z nią miłość i siła woli. Obraz to wzruszający do głębi, ale nie masz w nim czegoś, co na tamtej głowie Chrystusowej powiada, że Zbawiciel cud jakiś niepojętej wszechmocy tworzy — ustanawiając sakrament, przez który sam cieleśnie będzie zawsze obecny w wiernych zgromadzeniu, przez który sam się stanie wiernych pożywieniem.

Uczniem Juanesa był drugi Walentyniec, F r a n c i s z e k R i b a t t a (1550—1626). I on także pojechał na lat kilka do Włoch, zanim z powrotem osiadł w Hiszpanii, a we Włoszech starał się przedewszystkiem o to, czego nauczycielowi nie stawało, o koloryt harmonijnie zlany. Studyował zatem przedewszystkiem Wenecyan późniejszych i nauczył się istotnie władać barwą, ale wcale inaczej, jak Vergas i płomienisty Campana. U niego występuje już zamiłowanie w światłocieniu, tak znamienne dla późniejszych Hiszpanów, sewilskiej mianowicie szkoły. Malował postacie męskie przeważnie, a w przeciwieństwie do nauczyciela, który świętym nadawał rad tradycyjnie jasne włosy, postacie śniade, czarnobrewe, jakie się istotnie w Hiszpanii najczęściej widzi. Szaty ciemne przyoblekają te postacie albo draperya biała śniadego anioła po wielkiej części cieniami pokryta, gdzieniegdzie tylko tworzy małe płaszczyzny pełnego światła, spływające misternie w szarość bielizny zacienionej, w ciemne karnacye i bronzowe szaty zakonników; po twarzach, rękach, ciałach, sukienkach mnisich igrają misternie światła i cienie na prawie bezbarwnym obrazie i gubią się potem wśród tła zakonnej celi. To przedewszystkiem mistrz światłocienia, choć gorące karnacye dają mu poniekąd prawo do miana kolorysty. Wszystko przytem ascetyczną u niego namiętnością przepalone, a obrazy jego wyrażają fizyczne najczęściej cierpienie, przemożone ardorem zakonnej ascezy.

Ribatta jest pod każdym względem najstarszym malarzem, który już wyraził w pełni właściwości hiszpańskiego narodowego

malarstwa. Jego arcydzieło znajduje się w Walencyi i wyobraża św. Wincentego Ferer, konającego na łożu boleści w klasztornej celi. Zestąpił do niego Chrystus w orszaku świętych, aby ascetyczną duszę do raju powołać.

Dwa piękne obrazy Ribatty zdobią Muzeum Prado w Madrycie. Oba niezbyt wielkie a postacie na nich nie większe, jak zwyczajnie na obrazach Juanesa. Na jednym, wielce charakterystycznym, kląkł schorzały św. Franciszek z Assyżu, wśród ciemnej celi na słomie, którą na ziemię rzucono, a która była jedyną pościelą oblubieńca ubóstwa. Ciężką zdjęty niemocą, nie zdjął szorstkiego habitu; twarz jego śniada i wychudła, przepalona gorączką, żyły wystąpiły na czoło, czarne, zapadłe, namiętne oczy lśnią od mistycznej radości, bo ujrzał ulatującego przed sobą anioła-pocieszyciela. Szkoda tylko, że anioł nie ze wszystkiem dobrze rysowany, a dziwi nas to, że ma czarny wąsik.

Drugi obraz przedstawia nagie ciało Chrystusowe, dźwigane w powietrzu przez dwa pacholęce anioły, a tu podziwiać przychodzi mistrzowstwo, z którem Ribatta wymodelował nagie ciało światłocieniem.

Syn Franciszka, Juan Ribatta, był ojca współpracownikiem i następcą w Walencyi. Najgłośniejszy jednak uczeń Ribatty był to Józef, czyli J o s e R i b e i r a (1583—1656). Działalność jego wypada na wiek XVII., należałoby się tedy mówić o Ribeirze w jakimś późniejszym rozdziele. Nie mogę jednak tego uczynić, bo zanim przejdę do klasycznego rozwoju niederlandzkiego i hiszpańskiego malarstwa i do wielkich mistrzów, jakimi byli w Niederlandach Rubens, Van Dyk i Rembrant, w Hiszpanii Mirillo, Velasquez i Cano, muszę mówić o Ribeirze, który żadnemu z nich nie dorównał, ale na wszystkich wpłynął tak potężnie, że rozwój malarstwa w XVII. wieku musiałby być niezrozumiałym, gdybym go nie poprzedził rzeczą o Ribeirze.

Urodził się w okolicy Walencyi, w górskiem miasteczku Jativa. Przejąwszy się stylem Ribatty w zupełności, udał się do Włoch; studyował po różnych włoskich miastach i osiadł w Neapolu, gdzie został naczelnikiem szkoły, sławnym na cały świat. Od Włochów jednak nie nauczył się niczego; pozostał na wskróś Hiszpanem, a cały jego rozwój zależy na tem, że przesadził styl Ribatty, zapożyczając się swoją drogą czasem, łubo rzadko, płomienistych karnacyi u Sewilan XVI. w. Był człowiekiem bogatym i znakomitym i mógł sobie powiedzieć z dumą, że cała plejada wielkich artystów, zamieszkałych po najróżniejszych krajach Europy, wyszła z jego lędźwi,

kiedy umarł w Neapolu w podeszłym wieku. Podanie niesie, że odebrał sobie życie z rozpaczy, ponieważ wicekról neapolitański córkę jemu uwiódł; ale to podanie podobno niezgodne z prawdą.

Że Ribeira większą część swoich obrazów Hiszpanom sprzedawał, wtedy nawet, kiedy we Włoszech przebywał, w Madrycie można najlepiej poznać tego mistrza. Nie ma jednak na świecie większej galeryi, w którejby nie było obrazów Ribeiry, a Włosi mają go tak dalece za swego, że go przezwali w swojej mowie Il Spagnoletto. Malował wiele a zatem szybko i posługiwał się bardzo wiele pomocą uczniów. Obrazy jego są zatem bardzo różnej wartości, a przykrzą się często niemało. Malował postacie naturalnej wielkości a nawet większe od natury: mnichów najczęściej, pustelników i filozofów pogańskich, ale także bardzo często właściwe obrazy kościelne wielkich rozmiarów. Na ponurem tle malował ponure najczęściej utwory, lubował się w postaciach starych, brodatych, rozczochranych, unikał w szatach weselszej barwy, modelował ciężko a przesadnie, nakładając ogromne muszkuły i zapadłości twarzy ciężkiemi, nieprzeźroczystemi cieniami. Czasem malował nocne obrazy, w których światło słabo tylko część malowanej głowy oświeca, zostawiając resztę w ciemności. Fantastyczną, surową, ascetyczną siłą i przesadą w modelowaniu ciał a zuchwałem cieniów rzucaniem zachwycał współczesnych Włochów, których mdłe postacie szkoły Caraccich i trywialne figury Caravaggia już zaczęły nudzić i zaraz we Włoszech wpłynął na Dominichina, który, idąc za Ribeiry przykładem, jął się silniejszego malowania i stanął przeto na czele włoskich malarzy stulecia. Obrazy jego bardzo ucierpiały z czasem, trudno nam tedy dziś zrozumieć, jakim sposobem mętne płótna — bo na płótnie już malował Ribeira wyłącznie — mogły współczesnych tak dalece zachwycać i całe europejskie malarstwo na nowe pchnąć tory; ale jeśli się gdzie przypadkiem obraz Ribeiry w lepszym przechował stanie, tam uderza jakąś brutalną siłą, która okiem i duszą wstrząsa. Takim jest potężny, muszkularny *Ecce homo* w kościele św. Marcina w Neapolu; takim jest przedewszystkiem wspaniale zachowany św. Hieronim w Akademii peszteńskiej, nagi, muszkularny, wychudły, ascetyczny tytan.

Dwa wielkie, wąskie a wysokie obrazy Ribeiry zwisły w Akademii św. Ferdynanda w Madrycie. Jeden z nich wyobraża apoteozę św. Maryi Magdaleny, drugi widzenie świętego Antoniego Padewskiego. Mimo to, że tu postacie młodociane rysowane grubo i z kolosalnym trybem Ribeiry, oba te obrazy wyrażają dzielnie ascetyczne nabożeństwo starej Hiszpanii i nikt koło nich obojętnie

nie przejdzie. Wielka postać Maryi Magdaleny, młoda, wychudła, blada, ale mimo to i silna i wdzięczna, klęczy w obłokach wśród ciężkich, dużych, silnych aniołków, pozbawionych dziecinnego wdzięku. Ma na sobie szarą, ubogą, podartą suknię o obcisłych rękawach, złożyła ręce do modlitwy, wzrokiem zwróconym do góry szuka Chrystusa, z którym się wreszcie połączy po długiej życia pokucie, płowe włosy na wiatr rozpuściła. Św. Antoni Padewski, to młodzieniaszek, mnich-nowicyusz, klęczy w burym habicie na ziemi z wyrazem zachwytu na wychudłej twarzy; podniósł ręce ku niebu, a nad niemi buja nagi Chrystusik — znowu zanadto duży i ciężki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojciech Dzieduszycki.

NOWY SĄCZ
W EPOCE WAZÓW.

(Ciąg dalszy).

Rozdział VI.

Stosunek mieszczaństwa do szlachty i do władz szlacheckich Rzpltej.

Szlachta niechętnem i zazdrosnem okiem spoglądała na wzrastające bogactwa miast, na ich przywileje i warowność, o którą łamały się nieraz bezsilnie jużto napady zbójców podgórskich i rabunki nieswornych żołnierzy, jużto wybryki hałaśliwej szlachty; owszem urzędy i straż zbrojna miast mogły imać i więzić szlachtę, schwytaną na gorącym zbrodniczym uczynku [1]). Królowie przeciwnie! W miastach koronnych widząc ozdobę i warowność kraju, pobierając przytem z miast znaczne pobory i podatki, a wreszcie upatrując w nich, na wzór innych państw europejskich, najsilniejszą podporę władzy monarszej przeciwko wyłącznej przewadze stanu szlacheckiego, starali się o ich wzrost i bronili je od przemożnej potęgi szlachty.

Zygmunt I. potwierdził w Krakowie 1532 r. istnienie bractw cechowych, byle nie nadużywały swych przywilejów i trzymały się dekretów i statutów, przedtem ustanowionych co do ceny rzeczy przedajnych i płacy rzemieślników. W roku zaś 1538 częstemi, jak się wyraża, szlachty i posłów skargami poruszony, choć niechętnie orzekł, aby owe bractwa cechowe zniesione były i oddalone. Tenże król, również zniewolony, musiał wydać rozkaz wojewodom w roku 1543: „Aby pod karą nie cierpieli po miastach bractw cechowych, ponieważ wolności szlacheckiej i ziemskiej ubliżają i szkodzą.“ A sejm w Piotrkowie 1550 r. przynaglił Zygmunta Augusta do dalszego uciśnienia cechów, dlatego też król ten wyrzekł: „Cechy, iż dawno od przodków Naszych są zniesione, i My je teraz wedle

[1]) Zob. tom. I. str. 109—110 o pojmaniu i straceniu Floryana Siemichowskiego, tudzież str. 152—155 o uwięzieniu Władysława i Abrahama Krzesza i ścięciu jednego z nich.

pierwszych statutów znosimy i w niwecz obracamy, prócz rządów i obchodów kościelnych“ [1]).

Pomimo tych wszystkich zabiegów i uchwał sejmowych, istniały dalej bractwa rzemieślnicze, bo były na czasie, a królowie z dynastyi Wazów stawali w obronie instytucyi cechowej, której zakres działalności ścieśnić usiłowano. Jako warownie kraju, okazały się miasta koniecznemi. a za obronę i na utrzymanie ich trudno było mieszczanom odmówić nagrody. Zygmunt III. szczególnie, sprzyjając żywiołowi niemieckiemu, sprzyjał i cechom jako instytucyi niemieckiej, która rzeczywiście zasługiwała na uwzględnienie; bo dopóki instytucye miejskie wzorowały się według modły zachodniej, z Niemiec pochodzącej, siła wzrastała a z nią i rozwój cywilizacyjny miast. Za jego przykładem poszli synowie i następcy jego: Władysław IV. i Jan Kazimierz, i można rzec, iż za Wazów bractwa rzemieślnicze zakwitły w całym swym, może nieco dziwacznym, lecz ówczesnym ustroju.

Szlachta, nie uzyskawszy zgnębienia miast, a przedewszystkiem nie mogąc się bez nich obejść, zachowała sobie przecie choć pozór panowania nad niemi w ustawie rzemieślniczej i w prawach o zbytku mieszczan.

Podwojewodzy co roku ustanawiał ceny żywności i pracy rzemieślniczej [2]), a sama szlachta uchwalała na sejmach prawa i kary na zbytek *(lex sumptuaria)*. I tak na sejmie walnym warszawskim 1620 r. rzeczono: że „plebejusze równają się szlachcie, ceny towarów w górę idą.“ Uchwalono zatem, aby żaden mieszczanin ani plebejusz obojga płci, wyjąwszy burmistrzów i wójtów, nie śmiał zażywać szat i podszewek jedwabnych; także futer kosztownych, okrom lisich i inszych podlejszych; także w safianie [3]) aby żaden z nich nie chodził pod karą 100 grzywien. W roku zaś 1629 na zbytkujących mieszczan nałożono po złotemu rocznie: od siebie, żony,

---

[1]) Ks. Januszowski: Statuta, prawa i konstytucye koronne str. 278—280. Kraków 1600, druk gocki in folio.

[2]) Ustawę wejewództwa krak. z r. 1589, najobszern. ze znanych dotąd, podał dr. Bolesław Ulanowski: Kilka zabytków prawodawstwa królewskiego i wojewodzińskiego w przedm. handlu i ustanaw. cen. Archiw. kom. prawn. T. I. str. 96—128. Kraków 1895. — Niemniej ciekawe i bogate treścią są: Dwie taksy towarów cudzoziem. z r. 1633, podane przez Wilhelma Rolnego. Archiw. kom. prawn. T. 5. Kraków 1897. — Wreszcie taryfa cen wojew. krak. z r. 1565, wyd. Ferdynand Bostel. Archiw. komis. hist. T. VI. Kraków 1891.

[3]) Safian — skóra turecka.

dzieci i czeladzi za kwitem [1]). Stąd też Władysław Jeżowski, akademik krakowski, dowcipnie pisze:

Teraz mieszczki na zbytki wszelkie się puszczają,
Przez co i mężów swoich w niwecz obracają,
Każą sobie dodawać na stroje pieniędzy,
Drugi prostak musi dać, w tem zostanie w nędzy.
W miastach wielkich, oprócz żon i panien radzieckich,
Włoskich ludzi dostatnich także i kupieckich,
Ujrzysz strojno w bławacie lada rzemieśniczkę,
Łańcuszno i w sobolach karczmarkę złotniczkę.
Także córki w kosztownych szatach urobionych,
W perukach, po francusku dziwnie ozdobionych.
A co święto to insza musi bydź jej szata,
Co wesele odmiana, jaka wielka strata?
Bo jeżeli obaczą u wielmożnej paniej
Szatę nową robotą; to musi bydź na niej,
Zawicie nową fozą, albo opasanie,
Kapelusz, bindę, czapkę, wnet ją na to stanie.
Że szlachecki stan nie wie, jako się ma stroić,
Wszystko się mieszczkom znidzie na złość szlachcie broić.
Już niejedną sromotnie o to znieważano,
I na ratuszu karać surowo kazano:
Przecie one na to nic jakoby nie dbają,
Choć mężowie od tego wielkie szosy dają.
Koniecznie żeby ostro w tem karane były,
By się niwczem szlachciankom tak nie przeciwiły,
Kiedy się będą stroić według przystojności,
Zatem stan miejski będzie w większej uczciwości [2]).

Zali się także na ten zbytek mieszczaństwa i szlachty współczesny ks. Szymon Starowolski: „Począwszy od najmniejszego, wszyscyśmy miernością świętą, prostem używaniem ubiorów i onem staropolskiem życiem wzgardzili. Pierwej ojczysty ubiór, co go z wełny domowej zrobiono, boki nasze okrywał; teraz jedwabiów, aksamitów, złotogłowów [3]), tabinów [4]) lada u kogo pełno. Pierwej królowie sami w baranich kożuchach i szłykach [5]) baranich chadzali, nie tylko szlachta polska i mieszczanie; teraz woźnica nie chce w kożuchu

---

[1]) Volum. Leg. T. III. p. 180, 297.

[2]) Jeżowski: Oekonomia albo porządek zabaw ziemiańskich. Zbytki teraźniejsze miejskich białychgłów. Kraków 1648, druk gocki.

[3]) Złotogłów — materya złotolita, lama.

[4]) Tabin — kosztowna materya jedwabna.

[5]) Szłyk — czapka futrzana coraz węższa ku górze.

baranim być widziany, ale go ferezya[1]) z wierzchu okrywa, aby przecie suknią czerwoną był od ludu pospolitego różny. A mieszczanin i rzemieślnik każdy bez sobolej czapki na ulicy ukazać się nie śmie, już za lisi kołpak[2]) wstydając się. Także też i białogłowy wyższych i niższych stanów w ubiorach i strojach swoich miarę bardzo przebrały, że końca utratom nie masz. By mąż nie miał mieć i szeląga w kalecie, by na majętność, dom, kamienicę albo na szyję przyszło się zadłużyć, tedy druga koniecznie chce takie mieć szaty, jakie widziała u której wielmożnej pani nowym krojem, zawicie nową fozą[3]), opasanie, czapkę, łańcuch, kanak[4]), wstęgi, manele nową robotą. Przez co nam wszystka już prawie Polska zfrancuziała, a podobno sfrancowaciała“ [5]).

Na sejmie walnym warszawskim w r. 1655 zapadła uchwała przeciwko zbytkowi, tak na szlachtę jako i plebejuszów: „Ktobykolwiek z plebejuszów ważył się do strojów droższych sukien albo jedwabnych szat używać; także soboli, rysiów, marmurków, pupków[6]) i pasów jedwabnych: każdy taki kupiec i mieszczanin bogatszy za karę 1000 grzywien zapłacić powinien, ubożsi zaś plebejuszowskiego pochodzenia 200 grzywien“ [7]).

Podobne prawa nie przyczyniały się do utrzymania zgody pomiędzy szlachtą i mieszczaństwem. Miasta ze wstrętem patrzyły na szlachtę, zazdroszczącą im owocu pracy i przemysłu i dążącą do podbicia miast wolnych w poddaństwo swoje. Szlachta zaś za obronę kraju i dzielność, jaką okazywała w bezustannych prawie wojnach, żądając nagród i uznania od całego narodu, wymagała wyłącznej wolności i wyłącznych swobód dla siebie, i nie mogła się oswoić z widokiem zamożnych i strojnych, a nierycerskich miast. A co największa, podejrzywała królów, iż zapomocą bogatych mieszczan i zbrojnych miast zechcą ją pozbawić krwią nabytej wolności. Zazdrość ta szlachty wobec miast była powszechną podówczas w Europie, bo wszędzie oparta na obopólnych wyłącznych interesach.

---

[1]) Ferezya — suknia zwierzchnia, nieprzepasana, długa, lekko podbita.

[2]) Kołpak — czapka wysoka ku górze kończasta.

[3]) Foza — kształt, model, sposób.

[4]) Kanak — naszyjnik kosztowny, klejnot. — Manele — naramiennik, bransoletka.

[5]) Starowolski: Reformacya obyczajów polskich, wyd. Turowskiego, str. 39, 42. Kraków 1859.

[6]) Marmurki — futra z lisa czarnego; pupki — sobolowe futra.

[7]) Volum. Leg. T. IV. p. 236.

Szlachta pragnęła, aby miasta istniały tylko dla jej wygody, dla sklepów, gospód i kościołów. Mieszczanie zaś, pochodzące z pracy ludu bogactwa szlachty, uważali za najsłuszniejsze źródło swych korzyści i zysków. Mieszczanie, ponosząc coraz większe ciężary, opłacając wzmagające się pobory i stacye żołnierskie, gdzie mogli, odbijali na szlachcie, czy to w sklepie, w rzemiośle, czy w gospodzie. Szlachta zaś nie miała ochoty płacić więcej i zniżała ceny, więc kupcy i rzemieślnicy dostarczali podlejszych towarów i wyrobów; stąd hałasy i skargi — lecz trudno, skoro ludzkość parła innym prądem.

Podwojewodzowie mieli pośredniczyć między stronami, i ustawy ich są często słuszne. Czasami jednak nie odpowiadały okolicznościom albo tylko chęci zysku mieszczan, i wywoływały wielkie zaburzenie.

Żywym tego przykładem jest ustawa z r. 1630, przykazująca urzędowy wymiar naczyń szynkownych, obok zniżenia cen gorzałek i piwa. Co ubyło w cenie, ubyło i w miarach, jedno drugiem nadstawiano; lecz mieszczaństwo uczuło się pokrzywdzonem ustawą, której co do zasady słuszności odmówić niepodobna. A mimo to jakież to kłopoty, jakie wzajemne oburzenie pomiędzy szlachtą i mieszczanami wywołała ta pomieniona ustawa! Oto jej brzmienie dosłowne:

Ustawa rzeczy strawnych i robót rzemieślniczych, uczyniona 18. września 1630 r. przez Imci pana Marcina Wielogłowskiego, podwojewodzego krakowskiego, przy obecności pana Krzysztofa Wielogłowskiego, podstarościego sandeckiego, oraz Imci pana Tobiasza Jaklińskiego, burgrabiego sandeckiego, i Imci pana Stanisława Ujejskiego, pisarza grodzkiego sandeckiego[1]).

---

[1]) Szymon Starowolski: Monumenta Sarmatarum p. 802. przytacza klasyczną elegię ku uczczeniu Stan. Ujejskiego († 1645): Noenia lugubris in obitum generosi Stanislai Ujejski de Wilkowice, notarii castrensis sandecensis. Czytam w niej między innemi:

Illi semper erat legum reverentia cordi,
  Justitiam juxta sancta statuta colens.
Aequitatem ejus merito Sandecia laudat,
  Profuit et patriae pectore, mente, manu.

Był on ojcem Tomasza Ujejskiego, który, zamianowany biskupem kijowskim w r. 1655. zrzekł się dobrowolnie tej godności w r. 1676, poczem wstąpił do Jezuitów i w Wilnie 1689 r. życia dokonał.

Rzeźnicy. Za dobrego wołu kupionego 20 złp. Dobrego mięsa funt po 1 groszu; cielęciny $1\frac{1}{2}$ gr.; wieprzowego tłustego 2 gr.; skóra wołowa 3 złp.; jałowicza 1 złp. 10 gr.; barania wielka ruska 20 gr.; kozłowa 1 złp.; cielęca 12 gr.; owcza 16 gr.; jagnięca 4 gr. Każden rzeźnik powinien mieć wagi i funt w jatce z podpisem pana podwojewodzego. A mięsa nie mają przedawać bez rewizyi pana podwojewodzego albo namiestnika jego, pod winą 14 grzywien.

Gorzałka. Gdzieby się pokazała przednia dobra, która nakładu niemałego różnego potrzebuje, taka nie ma bydź przedawana, tylko za kwartą pana podwojewodzego. Żyto rachując wiertel po 2 złp. 12 gr., gorzałki kwarta wszelakiem zielem przyprawnej 10 gr., a prostej 5 gr. Kwarty i kwaterki sprawiedliwe pod cechą pana podwojewodzego szynkarze mieć mają, pod winą 14 grzywien.

Piwo. Rachując wiertel pszenicy po 2 złp. 15 gr., a zalawszy na jeden war piwa wierteli 20. Z tego wziąwszy piwa dobrego wykisłego achteli 20; porachowawszy wszystkie nakłady i dolewkę, piwowary i czopowe: Ustanawiamy achtel piwa dobrego zielonego po 3 złp. 10 gr., garniec $1\frac{1}{2}$ gr.; achtel gęstego 6 złp., garniec 3 gr.; marcu garniec 4 gr. A gdzieby się nader dobre piwo trafiło, zachowuje to sobie Imci pan podwojewodzy według smaku i zdania swego, jednak za kwartą swą albo poborcy swego. Kwarty drewniane aby każdy szynkarz miał pod cechą pana podwojewodzego.

Piekarki. Trzy funty chleba żytniego chędogiego grosz 1, a funt chleba szeląg. Także i placki wszelakie maślane i twarożne po szelągu mają bydź, a niekrajane!

Przekupnie i przekupki. Iż przez zbytnie przekupstwa rzeczy w drogość wielką przychodzą; tedy przekupniowie i przekupki nie mają się ważyć rzeczy wszelakich zakupować przez dwie godziny, póki chorągiew wywieszona będzie na ratuszu; także aby żaden za brony nie ważył się wychodzić!

Gęsi i kury. Gęś karmna bez pierza oprawna 12 gr.; w pierzu 14 gr. Kapłonów para niekarmnych 10 gr., karmnych 18 gr. Kurcząt para 7 gr.; kokosz prosta 3 gr.; kaczka 3 gr.; ptaszków młodych rożenek [1]) 1 gr.; gołąbków para 2 gr.

Ryby i śledzie. Funt ryby słonej lwowskiej 4 gr.; funt ryby węgierskiej $1\frac{1}{2}$ gr.; śledzie wszelakie po 2 gr., mniejsze po $1\frac{1}{2}$ gr.

---

[1]) Podług ustawy krakowskiej z r. 1589 „w każdym rożenku 12 ptaków być ma a nie mniej."

Krupiarki. Wiertel tatarki 1 złp. 10 gr., z wierteła miarek 7, więc miarka krup po 6 gr.; jęczmienia wiertel po grzywnie, więc miarka krup 7 gr.

Masło, oliwa, olej. Masła funt 4 gr., sera 2 gr.; oliwy weneckiej przedniej funt 1 złp.; oleju makowego kwarta 8 gr., lnianego 6 gr., konopnego 3 gr.

Robotnicy dzienni. Robotnik na żniwo za jeden dzień nie ma brać, tylko 1½ gr. przy strawie gospodarskiej; a bez strawy jako go kto najmie. Od sieczenia kosą i rzezania sieczki po 3 gr. przy strawie. Od rąbania fury drew bez strawy 1½ gr.

Cieśle. Od niedzieli środopostnej aż do św. Bartłomieja za robotę dzienną nie mają więcej wyciągać, tylko po 12 gr.; topornik po 8 gr., siekiernik po 6 gr.

Murarze. Na dłuższym dniu mistrzowie po 12 gr., towarzysz, co kamień ciesze i muruje 10 gr., co tylko muruje 8 gr. Od roboty mają schodzić o godzinie 23 (7 po południu).

Krawcy. Od delii [1]) długiej sukiennej ze dwunastą pętlic [2]), jedwabną podszewką podszytej 20 gr.; od delii listwowanej 10 gr.; od delii wyrzynanej z pętlicami, z podszewką sznurkowaną 16 gr.; od delijki pacholęciu 15 gr. Od ubrania podkładnego od uszycia 8 gr.; od ubraniczka [3]) 4 gr. Od żupana prostego nie sznurkowanego 10 gr.; od żupanika pacholęciu w lat 12—14, tak jak od delijki, 15 gr. Od kopieniaka [4]) podszytego sznurkowanego 20 gr. Od ferezyi sznurkowanej od podszycia 12 gr. Od opończy [5]) sznurkowanej 15 gr. Od kaftana adamaszkowego albo kitajczanego przeszywanego 10 gr. Od uszycia kołpaka sukiennego 4 gr.; od kołpaka aksamitnego męskiego 6 gr. Od letnika [6]) podszytego płótnem, z pasamonami [7]) 16 gr. Od spodnicy z pasamonami 15 gr. Od sukni białogłowskiej z kształtem aksamitnym 15 gr. Od czamary z pętlicami i pasamonami 20 gr. Od płaszcza białogłowskiego 20 gr.; od pła-

---

[1]) Delia — szata zwierzchnia. Miała ona krój ściętej opończy, podbita zaś musiała być jakiemś futrem, również i kołnierz futrem obłożony.

[2]) Pętlica — mała kluczka dla zapinania albo dla ozdoby.

[3]) Ubraniczko — majteczki, spodenki.

[4]) Kopieniak — opończa od deszczu bez rękawów.

[5]) Opończa — płaszcz od deszczu, bunda.

[6]) Letnik — sknia letnia kobieca.

[7]) Pasamon — strefa do bramowania, obszywania sukień, osobliwie liberyi.

szczyka albo mętlika z pasamonami 12 gr. Od szarafana [1]) albo furmanki z pasamonami 12 gr.

Szewcy safiannicy. Od zrobienia butów safianowych z podkówkami 18 gr.; od baczmag z kapciami [2]) 18 gr.; od ciżem [3]) 15 gr.

Sukiennicy. Wełny kamień 6 złp., więc łokieć sukna 14 gr.

Kowale. Podkowa nowa z przybiciem wielka 4 gr.; siekiera 18 gr.; podkówki ordyńskie [4]) 2 gr.

Kotlarze. Miedź robiona nowa funt 20 gr., stara 8 gr. Na każdem naczyniu każden cechę swą wybić ma, aby po niej poznać było.

Slusarze. Kłódka mała 6 gr.; zamek o dwu ryglach z ingrychtem [5]) i dwoma kluczami 3 złp. Grzebła [6]) proste dwoiste niepobielane 8 gr., troiste pobielane 15 gr., czworzyste 18 gr. Strzemiona chędogie do kulbaki 1 złp., podlejsze 20 gr.

Szychtarze. Para pistoletów dobrych żelazem nabijanych 1 zł. 16 gr. Para rusznic krótkich żelazem nabijanych 12 zł. Para bandoletów dobrych żelazem nabijanych 16 zł., mniejszych 14 zł. Para muszkietów wielkich pieszych 16 zł. Rusznica ptasza 6 zł., mniejsza 5 zł.

Miecznicy. Za szablę nową ze wszystka oprawną chędogą 3 zł.; za podlejszą węgierską z oprawą 2 zł. 15 gr. Od oprawy szabli prostej z brajcarami [7]) i z krzyżem 2 zł.; od oprawy korda z prostą poszwą [8]) krom żelaza 20 gr.; za pałasz nowy także z prostą poszwą krom żelaza 3 zł. 20 gr.

Kopijnicy [9]). Kopia z turska [10]) robiona robotą piękną, kształtna malowana 3 zł.; a ktoby sobie kazał na wymysł złocistą

---

[1]) Sarafan — szlafrok, długa suknia z przodu roztwarta.

[2]) Baczmag — gatunek obuwia, but, trzewiki robione na wzór obuwia tureckiego; kapcie — obuwie chłopskie zimowe, na jedną stronę wyprawne.

[3]) Ciżmy — półbucie, półcholewek, z Węgier przyjęte półbuciki.

[4]) Ordyński — tatarski.

[5]) Ingricht z niem. Eingericht — blacha wewnątrz zamku z wcięciami odpowiedniemi do wcięć i kształtu klucza w tym celu, żeby kluczem o innym kształcie nie można było zamku otworzyć.

[6]) Grzebło — grzebień żelazny do czesania koni.

[7]) Brajcar — kolce, na których wisi binda albo pas od szabli.

[8]) Poszwa — pochwa.

[9]) Wyrabiali kopie, drzewca dla jazdy polskiej.

[10]) Turski — turecki.

robić, powinien zapłacić jako starguje. Drzewce turską robotą malowane 1 zł. Darda [1]) z turska robiona 2 zł. Drzewce do chorągwi jezdnej piękną robotą, malowane 1 zł. Drzewce do chorągwi pieszej 1 zł. 15 gr.

Siodlarze. Siodło usarskie falendyszowe [2]), kordybanem albo kozłem oblamowane, jedwabiem naokoło obstepowane [3]) 7 zł., a pokrowiec [4]) do niego dostatni 1 zł. Siodło karazyowe [5]) usarskie dostatnie 4 zł., pokrowiec 24 gr. Kulbaczka [6]) skórzana ciemcem [7]) dobrym powleczona, z poduszką, kuszem [8]) w około obszyta i skórą futrowana 3 zł. 15 gr. Siodło woźnicze usarskie juchtowe dostatnie 2 zł. 15 gr.; siodło woźnicze proste 1 zł. 6 gr. A kto da falendysz swój, tedy od roboty i za łęk [9]) nie ma brać więcej siodlarz, tylko 3 zł. Ostro [10]) do pistoletu jednoręcznego piękną robotą 1 zł. 6 gr.; olstro na bandolet piękną robotą 2 zł. 12 gr.; olstro na muszkiet chędogie 3 zł. Sakwy wielkie 3 zł., mniejsze 2 zł. A kto z swej skóry da robić, od roboty większych 1 zł. 10 gr,, od mniejszych 1 zł. Tłumok z wielkiej skóry na 3 pary szat 3 zł. Lamcze albo poduszki do szoru [11]) końskiego 24 gr.

Rymarze. Rządzik [12]) stepowany dwoisty, tak biały jako i czerwony, 2 zł. Puśliska [13]) zawijane czerwone juchtowe przednie 24 r.; puśliska przekładane dwoiste 1 zł.; puśliska usarskie sowite juchtowe 1 zł. Popręg [14]) juchtowy z cuglem, kirem [15]) podszyty, z skoblicami [16]), wykrawany przedni 1 zł. 6 gr.; popręg z wołoskiej taśmy z cuglem 10 gr. Uździenica usarska turecka wyprawna, suknem podszyta 26 gr.; prosta 15 gr. Uździeniczka kozacka z na-

---

[1]) Darda — włócznia, oszczep.

[2]) Falendysz, lundysz — gatunek sukna holenderskiego, angielskiego.

[3]) Stepować, stepnować — wyszywać.

[4]) Pokrowiec — futerał, zasłona do pokrywania.

[5]) Karazya — sukno proste, grube.

[6]) Kulbaczka — siodło.

[7]) Ciemiec — gatunek skóry.

[8]) Kusz — skóra cielęca albo kozłowa chropawo wyprawiona.

[9]) Łęk — kula czyli wyniosła część siodła, której jeździec się trzyma.

[10]) Olstro — futerał.

[11]) Szor — chomąto, uprząż na konie.

[12]) Rząd, uprząż — rzemienie, wodze.

[13]) Puślisko — rzemień od strzemienia.

[14]) Popręg — pas do podpinania kulbaki na koniu.

[15]) Kir — sukno lekkie pospolite.

[16]) Skoblice — łęk u siodła.

główkiem pleciona 15 gr. Tok [1]) 12 gr.; toki do koncerza [2]) juchtowe bez wyszywania 20 gr.; tok do kopii zawijany albo dwoisty 18 gr. Kantar [3]) usarski juchtowy wyszywany, z łańcuszkiem do usarskich koni 1 zł.; kantar prosty z łańcuszkiem 18 gr. Wodza [4]) dostatnia pleciona prosta 12 gr.; podlejsza 10 gr. Paski do koncerzów i pałaszów juchtowe 8 gr.; pas do szabli juchtowy 12 gr. Szor juchtowy przedni zawijany, ze wszystkiem gotowy na poszostne konie, z przęckami pobielanemi 40 złp.; podlejszy zawijany na poszostne konie 36 zł. Szor do kotczego [5]) na parę koni ze wszystkiem 12 zł.

Czapnicy. Szynkarze winni i każdy nie mają drożej przedawać czapnikom lagru [6]) winnego, cebra jednego za 1 zł. Barwicy [7]) miodowej za 15 gr.; ałunu kamień 4 zł.; brezylii [8]) kamień 6 zł.; grempel [9]) tuzin 2 zł.; łoju topionego kamień 3 zł.; beczka sluffy [10]) 2 zł. Przedawać mają czapnicy: magierkę [11]) z najprzedniejszej wełny na większą głowę według preszburskiej roboty 1 zł. 6 gr.; magierkę z grubej wełny 18 gr. Czapka największa do futra z najprzedniejszej wełny 1 zł. 10 gr.

Szewcy prości. Buty jałowicze kowane na pachołka 1 zł. 12 gr.; buty za kolana dla woźnicy 1 zł. 6 gr.; ciżmy męskie z podkówkami dobrego rzemienia 20 gr.; trzewiki męskie zawięzowane o dwóch podeszwach 20 gr.; buty białogłowskie dobrego rzemienia 20 gr.

Stelmachy. Kolasa z kołami na parę koni nieokowana 7 zł.; skarbny wóz z kołami nieokowany 7 zł.; kareta bez kół z skrętem [12]) 8 zł.; sanie białe na 4 konie 4 zł.; sanie białe na 2 konie 2 zł.

---

[1]) Tok — pochwa, w której się kopia wstawia, żeby mocno stała przy jeźdźcu.

[2]) Koncerz — miecz prosty i szeroki do kulbaki przywiązany.

[3]) Kantar — gatunek munsztuku bez wędzidła.

[4]) Wodza — cugiel na konia.

[5]) Kotcz, kocz — pojazd półkryty.

[6]) Lagier — drożdże.

[7]) Barwica — gatunek farby różowej.

[8]) Brezylia — gatunek farby.

[9]) Grempla — szczotka druciana do czesania wełny; rodzaj grzebienia.

[10]) Kwas solny, Salzsäure, używany po dziś dzień przy wyrobach czapek i kapeluszy.

[11]) Magierka — czapka węgierska.

[12]) Skręt podjazdowy — ramię sznic, trzymające dyszel. Sznice ramiona dyszlowe.

Kołodzieje. Za 4 koła do kotczego 2 złp.; do wozu furmańskiego 3 zł. 6 gr.

Błoniarze. Błona [1]) w okno z pięknych szyb, robiona w ołów prosto, bez rzezania, ma bydź szyba jedna po 1 groszu; a prosta szyba po półgroszu; kieliszek co w nim kwaterka 1½ gr.

Stolarze. Stół lipowy na 3 łokcie wzdłuż a 2 w szerz, jakąkolwiek farbą malowany 2 zł. 20 gr.; zydel [2]) do niego malowany 24 gr., kałamarz chędogą robotą 3 gr.; szkatułka łokciowa z szufladami, farbista, robotą piękną okowana i z zamkiem 6 zł. [3]).

Ta ustawa pana podwojewodzego nie podobała się miastu, mianowicie owo dotąd niezwyczajne cechowanie miar piwnych i zbytnie wymaganie opłat od ustawy. Miasto zaprotestowało w grodzie i wytoczyło sprawę w trybunale lubelskim; piwowarzy zaś przestali warzyć piwa i sycić miody, grożąc, iż wcale nie będą robić gorzałek ani miodów [4]). Myśleli, że tem zastraszą podwojewodzego. Ale podwojewodzy postąpił sobie w całkiem niespodziewany sposób.

Na żądanie bowiem tegoż wielmożnego Marcina Wielogłowskiego, podwojewodzego krakowskiego, stanąwszy oblicznie sławetny Sebastyan Znamirowski, mieszczanin lipnicki, zeznał: „Iż będąc w więzieniu tureckiem i tatarskiem z Imci panem Krzysztofem Jugoszowskim lat dwanaście, nigdzie w tamtych krajach ani miodów ani wódek żadnych nie widział“ [5]).

„Kiedy więc“, rzekł podwojewodzy, „narody pogańskie, w Odkupienie przez Zbawiciela Jezusa Chrystusa niewierzące, ani łask wiary używające, obchodzą się bez wszelkich napojów upajających, czemużby się prawowierne miasto Jego Królewskiej Mości Nowy

[1]) Pierwotnie zamiast szyb używano do okien pęcherzowych błon; później zaś, choć już szyby weszły w użycie, nazwa jednak: błoniarz, błona utrzymała się i nadal.

[2]) Zydel — stołek prosty z drzewa.

[3]) Acta Consul. T. 52. p. 64 et sequ.

[4]) Distributa f. 15, 30.

[5]) W r. 1619, kiedy król Zygmunt III. rozkazał sędziwemu hetmanowi, Stanisławowi Żółkiewskiemu, wkroczyć do Multan i z Turczynem zaczepną wojnę rozpocząć, Sebastyan Znamirowski wstąpił w szeregi wojska koronnego. Walczył mężnie pod Cecorą w r. 1620, a przebywszy okropne i głośne w dziejach ojczystych trudy i prace wojenne, wraz z innymi niedobitkami, a mianowicie z wielmożnym Krzysztofem Jugoszowskim, dostał się do tatarskiego jasyru. Zaprzedany Turkom, przez lat 12 znosił jarzmo niewoli, przepędzany z miejsca na miejsce wraz z swym towarzyszem niedoli, i dopiero rok 1630 powrócił im wolność i dozwolił wrócić w ojczyste progi. (Acta Consul. T. 52. p. 90—91).

Sącz nie miało obejść bez tego, zwłaszcza kiedy ma ku temu ochotę? Zresztą wolna i otwarta droga prawa!“

Mieszczanie nie wiedzieli co odpowiedzieć na to, a podwojewodzy uparł się na swojem i surowo ustawy przestrzegał. Więc skoro jeden i drugi grzywny zapłacił, musieli prawie całkiem ustać w gorzelnictwie i piwowarstwie. Rurmuz na tem najgorzej wychodził, a na początku roku 1631 kupiono tylko jeden znaczek wodny [1]), bo tylko jedna gorzelnia robiła [2]).

Sprzykrzyło się to jednak miastu i zaraz po Wielkiejnocy zgromadziło się całe pospólstwo i jednogłośnie uchwaliło pobierać: od waru piwa 1 złp.. od półwarka 15 gr., a od gorzałki 12 gr., na wydatek prawny z wielmożnym podwojewodzym w trybunale, a choćby i u dworu Jego Królewskiej Mości. Więc jaki taki jął się znowu browaru i gorzelni.

Przeciwko panu podwojewodzemu przygotowano się stanąć zaraz na pierwsze kwerele [3]) w grodzie, skoro starosta grodowy do sądu starościńskiego zasiądzie. Nadszedł wreszcie czas. Tomasz Pytlikowicz, wójt, zebrał prawa i dowody i udał się do kancelaryi grodzkiej, gdzie zastał podpiska grodzkiego, Mikołaja Chronowskiego. Nie zapomniał też potężnego łososia dla pana starosty, w celu pozyskania względów i łaski jego dla miasta. Pisma i łososia położył na stole, czekając przybycia starosty. Nadszedł ten i ów, zawiązała się żywa pogadanka, podczas której pan Chronowski kręcił się po izbie. Nadchodzi też i wielmożny pan starosta. Pytlikowicz zbliża się do stolika, a tam ani papierów ani łososia. Pyta pana podpiska, gdzie się to podziało? A ten zamiast odpowiedzi ofuknął go! [4]) Pytlikowicz zaś bez korowodów wymawia mu w żywe oczy, iż porwał pisma miejskie i łososia. Wytoczyła się sprawa o obrazę honoru przed panem starostą. Pytlikowicz zawezwał świadków i udowodnił, iż mu w izbie sądowej grodzkiej, skąd tylko pan Chronowski wychodził, zginęły akta i ryba. Skończyło się na tem, iż pan Chronowski, jak niepyszny, musiał odstąpić dalszej zaczepki i wpisać to własnoręcznie w akta radzieckie [5]). Gniew tylko pozostał mu w sercu.

---

[1]) Bliższe wyjaśnienie tego wyrazu podałem na str. 70.

[2]) Acta Consul. T. 52. p. 190.

[3]) Kwerele — zażalenie, żałoba, roki skargowe, terminy sądu grodzkiego, na których zasiadał i sądził starosta grodowy, lub w jego zastępstwie podstarości i pisarz grodzki.

[4]) Acta Scabin. T. 51. p. 68. — Act. Consul. T. 53. p. 46.

[5]) Act. Consul. T. 52. p. 86.

Proces z panem podwojewodzym wymagał znacznych nakładów. To, co uchwalono, nie wystarczało. Dlatego 10. lipca 1631 r. na ogólnem zgromadzeniu pospólstwa nie zapomniano o panu podwojewodzym, mieniąc go drugim po wrogu. Na dalsze przeciwko niemu występowanie prawne uchwalono składkę po 6 gr. od każdego mieszczanina i komornika.

Pan Wielogłowski zaś tem surowiej przestrzegał ustawy swojej. Podczas jarmarku podpoborca jego chodził i pilnował miar i jakości napojów. Miód sławetnych Strączków, małżonków, zdał mu się być odmiennym od tego, który przed jarmarkiem okazali i na który naznaczono cenę 12 gr. za garniec. Kazał ich zato bez korowodów uwięzić, a uwolnił dopiero za złożeniem przysięgi, że nie inny miód szynkują, jeno ten, który podpoborca Imci pana podwojewodzego przed jarmarkiem ustawił.

Szynkarze, jak mogli, przemycali napoje, podwojewodzy zaś przez swych dozorców pilnował i chwytał.

Podczas zjazdu wojewody ruskiego, Stanisława Lubomirskiego, na wizyę (oględziny) granic paszyńskich [1]), zjechało się wielu z pomiędzy szlachty, a między nimi pan Stan. Dembiński z Łososiny, który potrzebował nie mało wina. Jak zwykle, posyłał do Stanisława Rogalskiego sługi swoje: Palechowskiego i Zagórskiego. Potrosze, potrosze przynieśli oni 30 garncy wina po 15 gr. kwarta, które Rogalski sprzedawał ukradkiem, nie opłaciwszy cła. Wielogłowski dowiedział się o tem i na mocy urzędu swego podwojewodzińskiego zaprotestował wobec rady i zaskarżył w grodzie. Pospólstwo zaś zgromadzone, popierając sprawę, posłało do Jana Tęczyńskiego, wojewody krakowskiego, żaląc się na pana podwojewodzego [2]).

Po długich zwłokach zapadł wyrok na Rogalskiego, skazujący go na kary za przemytnictwo, a podwojewodzy zażądał wykonania, przedkładając wyrok wójtowi i ławnikom. Ławica odrzuciła go jako

---

[1]) Wielmożny Piotr Rożen, dziedzic Mogilna, wyrębywał ciągle miejski las w Paszynie i ciągle miedze swoje rozszerzał. Miasto zaprotestowało uroczyście przeciwko temu najazdowi i wytoczyło proces najprzód w sądzie ziemskim w Czchowie a następnie w trybunale lubelskim. Na oględziny granic paszyńskich zjechał z prawnikami Stanisław Lubomirski (1631 r.). Przy komisyi odwoływało się miasto na przywilej księżny Gryfiny (wdowy po Leszku Czarnym, pani sandeckiej ziemi) z r. 1299. A iż był pisany trudną staroświecką łaciną, dano Maciejowi Tessarowiczowi od przepisania tegoż przywileju 1 złp. Długi ten proces kosztował miasto przeszło 200 złp.; sam Andrzej Jordan, komornik graniczny, wziął za swój trud 100 złp.

[2]) Act. Consul. T. 53. p. 141.

nieuzasadniony na dowodach, tylko na prostem obwinieniu oparty, i założyła rekurs do pana starosty. Ubodło to niezmiernie Wielogłowskiego, iż wójt nie przyjmuje wyroku grodzkiego, i przyszło do cierpkich przymówek. Ponieważ zaś Rogalski zupełnie zaprzeczał oskarżeniu, odwołując się na wolność jarmarczną stosownie do prawa, wójt nakazał przysięgę. I przysiągł Rogalski: Że nie szynkował okrom jarmarku [1]).

Wielmożny Marcin Wielogłowski, rozgniewany do żywego, począł wygadywać na miasto i mieszczan. Przywykli mieszczanie do podobnych wybuchów wielmożnego gniewu, słuchali cierpliwie, nie ośmielając się odciąć, ażeby z tego później nie urosła sprawa z całą szlachtą. Nie zniósł tego jednak jeden z młodszych mieszczan, Wojciech Bogdałowicz [2]), bo płynęła w nim krew szlachecka. Ojciec jego Stanisław, szlachcic podupadły, przyjął był prawo miejskie i bywał poważanym ławnikiem, *nobilis civis et scabinus sandecensis*, synowie zaś, dobrze się prowadząc, nie trudnili się rzemiosłem, i nie straciwszy szlachtctwa łokciem i wagą [3]), zawsze się do szlachty liczyli, jak wszyscy patrycyusze, ród z szlachty wiodący. Do tego Wojciech Bogdałowicz poczuwał się na kieszeni, co mu także dodawało odwagi. Niedawno bowiem ożenił się był z bardzo poważaną i bogatą mieszczką Felicyą, wdową po Sebastyanie Piotrkowiczu, kupcu († 1631), która, odwdzięczając mu się w miłości, zapisała mu połowę całego majątku swego, jako młodzianowi szlachetnemu. Mógł się tedy tem śmielej ująć za swem miastem.

Pan podwojewodzy zmierzył okiem młodego zuchwalca, który mu śmiał czoło stawić, lecz czując słuszność zarzutów, nie mógł ich odeprzeć, więc dał mu tylko uczuć swą pychę.

Przeciwko zbytkowi, mianowicie w ubiorach, zazdrosna szlachta często uchwalała prawa, których sama nigdy nie zachowywała, mieszczan jednak z powodu tego często nabawiała przykrości. Między innymi istniał zakaz, aby mieszczanie nie chodzili w safiano-

[1]) Act. Consul. T. 53. p. 143

[2]) W r. 1631 figuruje w aktach: Albertus Bogdałowicz, patricius oppidi czchovensis, pro tunc vicenotarius castri sandecensis.

[3]) Konstytucye sejmowe z r. 1505 i 1633 uchwaliły, że szlachectwo swe traci, kto się trudni rzemiosłem lub handlem. (Vol. Leg. I. 138, III. 382). Tych jednak uchwał, jak wiele innych, niebardzo przestrzegano. Tak n. p. w pierwszej połowie XVII. w. niektórzy panowie szlachta (jak Jordanowie, Stradomscy, Gładyszowie), wchodzili z kupcem Jerzym Tymowskim w spółki handlowe wina i sukna, a przecież szlachectwa przez to nie tracili i nadal piastowali urzędy grodzkie. Zob. rozdz. VIII. poniżej.

wych butach. A właśnie safianowe buty miał na nogach Wojciech Bogdałowicz.

Pan Wielogłowski, słuchając ze zdziwieniem odezwy jego, spostrzegł to, i przerywając mu mowę, rzecze: „A skąd tobie prawo, panie Bogdałowicz, chodzić w safianowych butach, skoroś ty mieszczanin, nie szlachcic?“ Bogdałowicz zapomniał języka w gębie! Podwojewodzy zaś zwrócił się do wójta i żądał, aby zapisano do aktów skargę, którą, jako szlachcic, zanosi przeciwko Bogdałowiczowi, iż sobie przywłaszcza przywileje szlacheckie.

Lecz przewodził w sądzie stary i doświadczony Tomasz Pytlikowicz, któremu nie obce były sejmiki, sejmy, trybunały, a nawet dwór króla Jegomości. Grzecznie się skłonił panu podwojewodzemu, oddał uszanowanie rycerskiemu stanowi i przywilejom jego, ale dodał, iż tej sprawy jako czysto szlacheckiej nie poważa się sądzić. „Niechaj więc wielmożny pan raczy żal swój zanieść do szlacheckiego sądu w grodzie, skoro tylko pan starosta do sądów starościńsko-grodzkich zasiądzie!“

Podwojewodzy więc do grodu zaskarżył urząd miejski, iż mu nie czynią sprawiedliwości z Rogalskiego; Bogdałowicza zas, że nosi safianowe buty [1]).

Takie postępowanie pana podwojewodzego nie wszystkiej jednak podobało się szlachcie, zwłaszcza, że narażało na wzgardę szlachtę i szlachcianki zmieszczałe, jakich w samym Sączu było nie mało. Wszakże i z Wielogłowskich jedna: Konstancya Zawistowska, była niedawno w podobnem położeniu i sam pan podwojewodzy, jako opiekun przyrodzony, ujmował się za nią z powodu jej krzywdy, doznanej od Wojciecha Łopackiego, który w uniesieniu gniewu pochwycił i wyrzucił ją na ulicę z kamienicy Smoczowskiej, wraz z jej matką Anną Wielogłowską [2]). Zresztą Bogdałowicz, człek porządny, w zażyłości był z szlachtą, a nawet z panem Krzysztofem Wielogłowskim, podstarościm sandeckim.

Pan podstarości z urzędu swego, wraz z podwojewodzym i radą miasta, ustanawiał taksę i opłatę od wszelkich napojów i żywności. Była to dość uciążliwa czynność, i chcąc sobie ulżyć na rok 1633, chciał ją właśnie zdać na jakiego zastępcę, za którym się oglądał. Chcąc zaś ukarać brata swego Marcina za jego niepopularność, właśnie zdał to zastępstwo Bogdałowiczowi, wprowadzając go tym spo-

---

[1]) Distributa f. 132.

[2]) Act. Consul. T. 53. p. 3, 10, 32, 77.

sobem w bezpośrednią z nim styczność. Bogdałowicz najchętniej przyjął je wobec urzędu miejskiego.

Jakżeż się zdziwił pan podwojewodzy, kiedy, przyszedłszy na ratusz w celu ponowienia corocznego urzędowania swego co do ustawy rzeczy strawnych i rzemieślniczych, zamiast brata swego podstarościego, zastaje Bogdałowicza z pełnomocnictwem do zastępstwa w tej urzędowej czynności! [1]) Obrażony do najwyższego stopnia, odstąpił od urzędowania i natychmiast podał protest przeciwko Bogdałowiczowi, że wbrew wszelkim konstytucyom sejmowym śmiał mieszać się do urzędowania podwojewódzkiego i że się poważył przyjąć zastępstwo wielmożnego Krzysztofa, podstarościego sandeckiego. Nie uznając więc urzędowania jego, oświadczył, iż go prawem do odpowiedzialności pociągać i przeciwko niemu działać będzie! Musiał w końcu Bogdałowicz ustąpić, a obaj Wielogłowscy potwierdzili ustawę na rok 1633.

Pospólstwo zaś miejskie, urażone lekceważeniem mieszczan, uchwaliło z swej strony przeciwko szlachcie i podwojewodzemu: 1) Aby się nikt nie ważył kupować drzewa dla szlachty lub na imię szlachty. 2) Każdy tak mieszczanin jak przedmieszczanin, gdy ma przedać dom lub rolę swoją, aby to opowiedział urzędowi, że chce sprzedać; a nie lada komu i obcemu przedawał, tylko temu, któryby się przydał na radę rzeczypospolitej, albo mieszczaninowi, okrom tego, gdyby się taki nie znalazł, albo mieszczanin nie chciał kupić, pod karą 100 grzywien. 3) Aby szynkarze wina i piwa panu podwojewodzemu nie dawali nic więcej nadto, co w konstytucyi wyrażone.

Z końcem jednak roku stanęła ugoda za pośrednictwem pana podstarościego i Jana Wojakowskiego, pisarza grodzkiego. Pan podwojewodzy odstąpił od dalszego prawa z miastem, szczególnie zaś z Rogalskim, i własnoręcznie podpisał się na to w księgi radzieckie. Wdzięczne zaś miasto za stałe bronienie swych praw nadało Rogalskiemu w r. 1634 ogród tuż za szpitalem św. Walentego [2]).

Niemniej ciekawą i szczegółową jest:

T a k s a r z e c z y p r z e d a j n y c h i k u p n y c h *(taxa rerum vendibilium et emptibilium)*, u c z y n i o n a 5. k w i e t n i a 1652 r. w n i e b y t n o ś c i w i e l m o ż n e g o p o d w o j e w o d z e g o p o w i a t u t e g o, p r z e z I m c i p a n a J a n a W a c ł a w a P r o s z o w s k i e g o, p o d s t a r o ś c i e g o s a n d e c k i e g o, w r a z z I m c i p a n e m S a-

[1]) Act. Consul. T. 53. p. 145.
[2]) Act. Consul. T. 53. p. 184, 186.

muelem Gajowskim, burgrabią zamkowym, także z Imci panem Kajetanem Skrzetuskim, pisarzem grodzkim sandeckim [1]).

Rzeźnicy. Iż czasu teraźniejszego przed trawą droższe bydło na jatkę... jako na teraz wołu przedniego dobrego na pień [2]) za złp. 40 kupują, tedy takowego pół wołu złp. 15 gr. 23½; ćwierć przednia zł. 7 gr. 13, zadnia zł. 8 gr. 6½.

Pieczenie i insze szroty [3]) ćwierci zadniej: Zrazowa pieczenia 16 gr., ogonowa 18 gr., średnia 18 gr., biała 15 gr., mirsztukowa [4]) 15 gr., rura [5]) 6 gr., giża [6]) 4 gr., zieber 2 po 9 gr. = 18 gr., sześć linsztuków [7]) po 7½ gr., gacznica [8]) i polędwica 2 zł. 10 gr.

Tegoż wołu przedniego ćwierci przedniej sztuki i szroty: Plecy 24 gr., flansztuk [9]) 15 gr., rura 6 gr., pąga [10]) 20 gr., giża 3 gr., burszlak [11]) 20 gr., mostek 24 gr., szpondrów [12]) 3 po 7½ gr., a 6 po 6 gr., podplecnych 6 po 6 gr., ziebro z chrząstką [13]) 10 gr., ziebro gołe wedle chrząstki 8 gr., ziebro osobne trzecie i czwarte po 8 gr. Skóra z łojem tegoż wołu przedniego 10 zł., skóra dobra w pracy rzeźnikowi. Wół średni podlejszy 30 zł.; jałowica przednia 20 zł.

Cielę dobre. Iż teraz cielęta są najtańsze, tedy cielę najlepsze kupują za 3 zł. Pół cielęcia takowego 1 zł. 7 gr.; ćwierć przednia 17 gr., ćwierć zadnia 20 gr.; skórka 15 gr., mostek 5 gr., plecko 7 gr., górnica [14]) 8 gr., nadziewanka 5 gr., dych [15]) 9 gr., zrazik

---

1) Act. Consul. T. 61. p. 171.

2) Wół na pień — na rzeź.

3) Szrot — mięso od biodra aż do żebra pierwszego.

4) Mirsztukowa — prawdopodobnie z niem. Nierenstück, pieczeń nerkowa.

5) Rura, rurka — część nogi od pęgi do biodra.

6) Giża — kość goleniowa.

7) Linsztuk — z niem. Lendenstück, podnercze, to samo co rostbif.

8) Gacznica — prawdop. z niem. Gratschnitt, tyle co cąbr, część krzyżowa, z części zadniej odcięta,

9) Flansztuk — z niem. Flankenstück, spodek, brzuchowica.

10) Pąga, pęga — część nogi od kolana.

11) Burszlak lub bruszlak — z niem. Brustschlag, górna część.

12) Szpondry — część piersi od brzucha.

13) Chrząstka — część ciała miększa od kości, ale twardsza od innych części zwierzęcia.

14) Górnica — pieczeń górna, kark.

15) Dych — pieczeń cielęca pośladkowa czyli od tylnych nóg (niem. Schlegel).

3 gr. Główka, kruszki[1], wątróbka, płucki, nożki: rzeźnikowi. Cielę średnie kupują za 1 zł. 24 gr., najpodlejsze za 1 zł. 16 gr.

Piekarze. Iż czasu teraźniejszego na przednowku żyto i pszenica ceny swej nie puściły, tedy przez ten czas aż do nowego (chyba żeby znacznie tymczasem tanie albo drogie były), piekarze tak ze wsiów jako też i z miasta nie. powinni będą chleba piec żytniego, tylko po 2 gr. albo po groszu jednemu. Pszenny zaś albo biały chleb, jako teraz i dawno zwyczaj jest, po 2 grosze, po półtoraku, po groszu, po półgroszku, po szelągu i po kwartniku[2], ale większy aniżeli przedtem był! Tego pilnie ciż piekarze przestrzegać powinni, aby rżany[3]) chleb pięknie narobiony bez podsycania go drożdżami piekli: pod zabraniem takowego chleba, gdzieby się pokazał. A iż biały chleb snadź bez drożdży bydź nie może: tedy go nie nazbyt niemi nadymać powinni, pod zabraniem onego.

Piwowarowie i szynkarze. Przychylając się do teraźniejszej przednowkowej ceny zboża na piwa i gorzałki i inszych nakładów do tychże, tedy piwo w tejże cenie ma zostawać, t. j. achtel po 4 zł., garniec po 2 gr. A iż ze złego słodu albo małego dobre piwo bydź nie może, tedy panowie piwowarowie mają i powinni tego pilno przestrzegać, aby na cały war piwa dobrego zalewali nie mniej, jak 24 wierteli pszenicy z jęczmieniem chędogim, wpół mieszając. A jeźliby kto podlejszy słód wydał i spuścił do młyna: arendarze z młynarzem powinni odnieść do urzędu, a urząd zaś miejski takowego karać powinien: grzywien 14. Ze słodu zaś takowego słusznego i chędogiego, nie odejmując przyrostku, nie mają więcej brać nad achteli 24 z dolewką. Czego urząd miejski doglądać powinien. Iż piwo szmelcowane *alias* dwuraźne droższe bydź musi, niżeli zielone, tedy beczka dwuraźnego po 8 złp., garniec po 4 gr. przedawać powinni.

Gorzałka powinna dobra, anyżkowa i cytwarowa, bydź warzona. Przednia dobra gorzałka anyżkowa ma bydź przedawana po 16 gr., cytwarowa także. Podlejsza zaś tatarska albo insza po 14 gr.

Miód przednie dobry do picia, garniec po 14 gr., podlejszy po 12 gr. Miód siedmiogrodzki kwarta po 10 gr., garniec po 40 gr.

Szewcy. Uważając cenę towarów rzemiosła tego i nakładów, tedy buty rybackie 2 zł.; buty chłopskie 1 zł. 18 gr.; buty kowane średnie 1 zł. 6 gr.; buty kozłowe dobre 1 zł. 15 gr.; buty

---

[1]) Kruszki, kiszki — cały skład kiszek.
[2]) Kwartnik — drobna moneta polska.
[3]) Rżany — razowy, gruby chleb żytni.

białogłowskie 24 gr.; hajduckie trzewiki z dobrego rzemienia 20 gr.; białogłowskie trzewiki dobre proste 12 gr.; butki dziecięciu w dziesięci lat 12 gr., w ośmi lat 10 gr.; trzewiczki dziecięciu takiemu 8 gr.; trzewiki białogłowskie na korku 24 gr.

Safianniki. Buty żółte dostatnie z długiemi cholewami 3 zł.; buty dostatnie dobre czerwone z długiemi cholewami 3 zł. 15 gr.; żółte dobre mniejsze 2 zł. 15 gr.; czerwone 3 zł.; ciżmy 1 zł.; trzewiczki dziecięciu 12 gr.; trzewiki safianowe białogłowskie odwracane 1 zł. 10 gr.; od roboty butów safianowych 24 gr.

Rymarze. Szor juchtowy na 6 koni z uzdzienicami, licami, przęczkami pobiełanemi, z postronkami, ryngortami [1]), ze wszystkiem przedawać mają za 60 zł. Szor na 4 konie także ze wszystkiem 40 zł. Półszorek z lejcem i naszelnikiem 10 zł.; uzdeczka prosta 15 gr., wiązana z pobielanemi wędzidłami 20 gr.

Kuśnierze. Kożuch na woźnicę otworzysty piękny 5 zł. 15 gr.; białogłowski kożuch otworzysty 8 zł.; szorc [2]) białogłowski 4 zł., giermak [3]) z baranków młodych otworzysty na białogłowę 8 zł. 15 gr.; szorc białogłowski przedniejszy 6 zł.; kitla białogłowska 5 zł.

Sukiennicy. Postaw sukna prostego jarzęcego [4]), któryby miał łokci 27, a wszerz łokieć, 16 zł.; podlejszego zaś prostego stąpionego postaw 15 zł. Pierwszego sukna jarzęcego łokieć powinien bydź przedawany po 14 gr., drugiego podlejszego po 12 gr.

Krawcy. Od dołomana [5]) krótkiego 1 zł.; od żupana długiego 1 zł. 10 gr.; od kontusza z pętlicami 1 zł. 15 gr.; od wyśmienitej białogłowskiej spodnicy z kabatem 2 zł. 15 gr.

Bednarze. Beczka dębowa na kapustę szeroka 1 zł. 20 gr.; jodłowa 1 zł.; achtel smolny dobrze 18 gr.; niesmolny 12 gr.; półachtelek smolny 9 gr.; niesmolny 6 gr.; beczka na mięso, większa niżeli śledziówka i pękatsza 12 gr.; ceber 6 gr.; cebrzyk 3 gr.; obręcz na piwo i na wino 1—2 gr.; od szpunta beczki ½ gr.; od wątoru do wina *alias* fryszu 1 gr.

Płóciennicy powinni ludziom na czas umówiony robić, przędzy nie odmieniać; łokieć płótna lnianego po 1½ gr., konopnego po 1 gr., pacześne lub zgrzebne po szelągu robić mają, pod winami.

---

[1]) Ryngort — gurt wierzchni do podpinania kulbaki.
[2]) Szorc — fartuch.
[3]) Giermak — suknia długa.
[4]) Jarzęcy — wiosenny, letni.
[5]) Dołoman — kurtka zwierzchnia węgierska.

Kowale. Podkowa pod wielkiego konia 6 gr., pod średniego 5 gr.; od okowania pary kół nowych 2 zł.; od pary kół kolasnych 2 zł.; sworzeń do wielkiego wozu 15 gr., do małego 12 gr.; bratnali kopa 15 gr., gontowych 5 gr.; siekiera drwalna 20 gr., mniejsza 18 gr.

Nie wchodząc bliżej w ocenę owych corocznych ustaw żywności i robót rzemieślniczych, bądź co bądź przyznać należy, iż miały tę jedyną zaletę, że zapobiegały wyzyskiwaniu i zdzierstwu, które niestety w naszych czasach tak pospolitem jest w świecie kupieckim i rzemieślniczym. Natomiast miały nader zgubne skutki dla rozwoju rzemiosł i handlu, a podkopując wszelki przemysł krajowy, przyspieszyły upadek miast a z nim zubożenie całego kraju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Jan Sygański T. J.

ZARYS POJĘĆ O NARODZIE.

(Ciąg dalszy).

Odpowiednio do wzniosłych tych pojęć o duchowej, nie zaś o materyalnej sile narodu, samo przez się musiało się wysnuwać przekonanie o widomych w przeszłości zjawiskach tej siły moralnej, która cechowała naród i jego działania, określając tym sposobem misyę, którą spełnił w dziejach cywilizacyi. Misyę te czyli powołanie narodu polskiego wyraża Brodziński następującemi słowy:

„Ideą jego (narodu polskiego) było: pod słońcem religiii rozwinąć drzewo wolności i braterstwa, umiarkować prawa tronu i ludu na szali u nieba samego zaczepionej; rozwijać się wewnątrz według pory, jaką czas przynosi, aby się stać osobą ukształconą do spółdziałania całej ludzkości. Powołaniem jego było czuwać śród burzy na granicy barbarzyńskiego i cywilizowanego świata; wzniosłem przeznaczeniem bronić niewdzięcznych: wznioślejszem jeszcze reprezentować kilkadziesiąt milionów ludu słowiańskiego, który go w ślepocie napadał, który rozproszony po lodach północnych powoli dojrzewać będzie“ [1]).

Zasadnicza ta idea wolności jest zarazem punktem wyjścia dla Mickiewicza w jego „Księgach narodu“. Jest ona tam nawet daleko silniej uwydatnioną, jako opozycya przeciwko związkowi ogólnemu królów, którzy we wszystkich innych krajach starali się tłumić wolność, odwodząc swe narody od praw Chrystusowych i zniewalając je do oddawania czci bałwanom interesów materyalnych. Obok tego przez Mickiewicza podniesioną została wielce wybitna strona w dziejach polskich wstrętu do zawojowań i podbojów a natomiast dążność do kojarzenia bratnich pokojowych związków, które, jak unia z Litwą, mogą dla przyszłości służyć wzorem wolnego i nieprzymusowego łączenia się z sobą wszystkich innych narodów.

---

[1]) L. c. str. 6 w Mowie.

Podobnież, jak to uczynił Mickiewicz w „Księgach narodu“, wzniósł Brodziński w „Posłaniu“, natchniony temiż samemi pobudkami, apoteozę nieszczęścia narodowego, porównywając swój naród do Chrystusa.

„A jako chłopek polski wita i żegna, mówiąc: Pochwalony Chrystus Pan! tak mówię i ja: Chrystus Pan z wami! albowiem całe życie narodu polskiego wizerunkiem Chrystusa jest, który cierpiał, konał i zmartwychwstanie dla pokoju świata. Chrystus jest w sercu i w uściech każdego Polaka, jak krzyżów są pełne drogi, pola i lasy nasze, jak pełne są mogił uczniów Jego poległych, że każdy z męką narodu mękę Chrystusa rozpamiętywa.“

„Rozczul się i rozmyśl każdy Polaku w ojczyźnie twojej, którą Bóg do spełnienia dzieł wielkich upatrzył, która niepokalana, bolejąca wyda owoc Słowa Bożego i w sławie wiekuistej żyć będzie! Wiara i ona jest jako dusza i ciało: a jako w nieśmiertelność duszy, tak w zmartwychwstanie ciała wierzymy.“

„Byłeś ludu mój nieznanym i ledwo wiedzącym o sobie, pełnym ducha bożego, zapomnianym jak lud Dawida, z którego przecież wyjść miało zbawienie, przeznaczonym na utrzymanie i rozszerzenie onego krwią twoją.“

„Przyszedłeś do braci Słowian, a nie poznali cię; przyszedłeś do obcych, a powiedzieli, żeś jest buntownik przeciw Cezarowi i że złym duchem czynisz cuda męztwa twojego; głosiłeś wszystkim sąd boży i kary, a oni nie przestali niecnych zysków rachować i według wagi krwi twojej podnosili albo zniżali papiery swoje; inni z palmami cię przyjmowali i głosili tryumfy twoje, ale gdy przyszła trwoga, wyparli się ciebie spółwyznawcy twoi. I zostałeś przez Judasza przedanym, sądzonym przez zabójców twoich i wołali wszyscy: Niechaj krew jego spadnie na głowy nasze; i byłeś pędzonym od sądu, zakatowanym i na trzech goździach rozpiętym, cierniową trójgałęzistą koronę włożono ci, nad konającym napisano szydersko: Królestwo Polskie. Otoczyli grób twój żołdactwem i trwożą się, aby nie zmartwychwstał ten, którego sromotnie i najokrutniej zamordowali. Spółwyznawcy sprawili ci pogrzeb i ubrali ciało twe, ale miłość i wiara czuwa tajemnie nad ciałem twojem, powstaniesz i zapowiesz nowe królestwo wolności w Chrystusie“ [1]).

Ta apoteoza, wystawiona przed oczy narodu w biblijno-poetycznym stylu przez dwóch wieszczów, nie miała i nie mogła mieć innego celu, jeno umocnienie własnego społeczeństwa w nieszczęściu

---

[1]) L. c. str. 28—30.

i mękach przez religijne powołanie się na najwznioślejszy wzór ofiary Zbawiciela, do którego naród się zbliżał i którego naukę urzeczywistniał przez swe cierpienia. W czasach nowszych apoteozę, której początek i źródło przypisywano wyłącznie Mickiewiczowi, zapominając o Brodzińskim, pewna hałaśliwa część ogółu literackiego w Polsce wyszydziła z dwóch odmiennych punktów zapatrywania się. W oczach świętoszków była ona bezbożnem utożsamieniem narodu z Chrystusem; w oczach krytyków pozytywnych ze względu na połączoną z nią ideę zmartwychpowstania, do której bezwzględnie dążyć należało, była ona niedorzeczną i bezowocną wobec Darwinowskiego prawa walki o byt i nieubłaganego panowania siły.

W rzeczywistości apoteoza owa nie jest ani bezbożną, ani niedorzeczną. Biorąc rzecz religijnie, każdy winien w swem życiu naśladować Chrystusa i każdy zbliżyć się może do tego boskiego wzoru przez cierpienia. Naród cierpiący i prześladowany, tak samo jak pojedyńczy człowiek, może odnajdywać w sobie obraz cierpień Chrystusowych, jeżeli idea, którą jego cierpienia reprezentują, jest dobrą i sprawiedliwą, jeżeli jest opartą w moc zasad Chrystusowych na miłości bliźniego, czyli dobra ogółu i nie wykracza niczem przeciwko prawom ludzkości.

Mniemana niedorzeczność ujętych w formę owej apoteozy dążności może mieć swe znaczenie w oczach tych tylko, którzy życie narodowego społeczeństwa opierają wyłącznie na najpospolitszych objawach wegetacyjnego istnienia, rezygnując ze wszelkich dorobków historycznej, pełnej swojego znaczenia, kultury, którą toż społeczeństwo uwidoniło w przeszłości w moc rodzinnej spójni, jaka członków onego łączyła w jedną całość. Spójnię tę wyrabiało i podtrzymywało państwo, po upadku którego spójnią może być wyłącznie tylko idea wspólnie droga i święta dla wszystkich członków narodowości — wiara w istnienie i w cel tego istnienia, czyli w przyszłość, a więc w przyszłe lepsze i doskonalsze formy bytu, równające się odrodzeniu w postępie czasów, a więc i zmartwychpowstaniu z dzisiejszego pod wpływem nieszczęść odrętwienia. Bez podobnej idei, bez podobnej wiary w lepszą przyszłość, ożywiającej i jednoczącej w sobie wszystkie serca, mogą istnieć tylko małe grupy etniczne lub plemiona, nie mające wyrobionej w ciągu dziejów odrębnej historycznej przeszłości, naród atoli w należytem pojęciu tego wyrazu istnieć nie może.

O stworzenie więc tej idei chodziło wielkim myślicielom polskim, o utrzymanie swego narodu w jedności i świadomości celów i dróg, o podtrzymanie życia odrębnego w swej całości, i w tym

to jedynie celu starali się oni odgadnąć najnaturalniejsze i najodpowiedniejsze charakterowi narodowemu powołanie, aby jego obraz, postawiony ziomkom jasno przed oczy, mógł im zawsze w życiu przyświecać i krzepić ich odwagę w ciężkich dniach nieszczęść i próby.

Rozpatrzmyż się, na czem polega owa idea według słów poetyckich naszych wieszczów:

„Narodzie mój!“ — woła Brodziński [1]) — „świat cię nie poznał; nie wie, coś dla niego uczynił; jak długo cierpiałeś; dziś dopiero to jedno dostrzegł, żeś jest najnieszczęśliwszy. Bądź nim, ale bądź! Raczej nieszczęśliwym pozostań, aniżeli gdybyś miał zostać najszczęśliwszym w inny przerodzonym ludem lub narodem egoistycznym. Nikczemnik tylko, straciwszy wszystko, tłumi sumienie, pozbawia się swego nazwiska i tak zostaje morskim rozbójcą. Jesteś natchnionym, czujesz w sobie boskość, boskość szuka przybytku w piersiach czystych i nieszczęśliwych i dosyć ci na tem. Takim byłeś przez wieki, a dziś stoisz na południu przeznaczenia twojego. Poznaj się na sobie, a poznają cię ludy i uczynisz królów sprawiedliwymi. Natchnij się, mówię, dumą narodową; o ile bowiem wszelka duma jest występkiem, o tyle narodowa jest powinnością.“

Narodowość określa Brodziński [2]), jako uczucie przywiązania do zwyczajów i obyczajów, któreśmy od ojców naszych w młodości powzięli. Zwyczaje narodowe jednak zmieniają się i muszą się zmieniać z postępem oświaty i dlatego ten tylko rozsądnie pojmuje narodowość, kto w przywiązaniu do niej stosuje się do powszechnej oświaty. „Doskonalić narodowość, ale jej nie zmieniać (na inną), odżywiać piękne uczucia ojców, wznosić to, czego pożyteczna krainie oświata wymaga, pozbywać się dawnych błędów i nałogów, nowoprzyjętych nie dopuszczając, pielęgnować język, sztuki i literaturę w narodzie, aby nietylko ozdobne, ale korzystne były, a najwięcej nie unosić się ślepo, ani pogardzać ojczystą literaturą, jaka jest, ale kochać ją tak, jak być może i powinno, otóż łatwa odpowiedź na pytanie, co chcemy rozumieć przez narodowość.“

Opierając się na tej zasadniczej idei przywiązania do swej narodowości, stawia Brodziński przed oczami ziomków wyższe ideały narodowej polskiej odrębności, zaczerpnięte z pierwiastków zdoby-

---

[1]) L. c. str. 7 w Mowie.

[2]) Artykuł: „Na czem narodowość zależy?“ Pisma K. Brodzińskiego. Wydanie J. I. Kraszewskiego. Poznań 1874. Tom VII. str. 269.

tych w przeszłości. Ideałami tymi są: najpierwej dążność do zgodnego sprzymierzenia z sobą wyznań religijnych w moc urzeczywistnionego w przeszłości przykładu unii religijnej, dążność do wzajemnego kojarzenia się związkami braterskimi narodów w moc podobnegoż przykładu unii Litwy z Polską, dążność do kojarzenia pojęć republikańskich z monarchicznemi w taki sposób, iżby władza opierała się na miłości ludów i nareszcie dążność do obywatelskich praw równości [1]).

I otóż cel ostateczny posłannictwa tak wypowiedziany:

„Naszem powołaniem jest nietylko żyć szlachetnie, ale szlachetność w uśpionych ludach ocucać...“

„Wolny od wieków ludu mój! daj świadectwo dla zawstydzenia królów i nauki narodów, że wolny cnotliwym jest: że wolność goreje tylko ogniem czystym, na ołtarzu Pańskim zajętym. Kiedyś tak dojrzeją obowiązki narodów, jak dojrzały obowiązki każdego człowieka w Chrystusie“ [2]).

„Niechaj Pan niepojęty wybrakuje na ciebie wszelkie plagi doświadczenia, ale nie przyjdzie do tego, ażebyś kiedy w nieprawościach stał się podobnym nieprzyjaciołom Jego i twoim“ [3]).

Potrzebujemyż bliżej objaśniać i tłómaczyć ideał ten społeczny, gdy jest on aż nadto dobrze zrozumiałym? — Być przywiązanym do tradycyi i zwyczajów przodków, pielęgnować cnoty domowe w życiu rodzinnem, — w życiu obywatelskiem rozwijać dalej zasady opracowywane przez przodków, czyli: w moc zasady wolności, o którą walczyli, nie przykładać ręki do niczego, co służy ku pognębieniu, ku niesprawiedliwemu uciskowi, ku gwałtom, ku panowaniu siły przed prawem, a natomiast przykładać się do tego wszystkiego, co przemawia w obronie dobrze zrozumianej wolności, głosić idee swobody, opartej na sprawiedliwości, i przez to apostołować czystą myśl Chrystusową między narodami. Tę tylko myśl przewodnią wysnuć można z dzieł Brodzińskiego.

Na podobnychże zasadach opiera i Mickiewicz posłannictwo narodowe polskie. W „Księgach pielgrzymstwa“, będących zbiorem rad i wskazówek dla emigracyi; zaleca przedewszystkiem doskonalić się moralnie, wewnętrznie, — wprowadzić w życiu skromność obyczajów i wstrzemięźliwość, starać się o miłość wzajemną, by godnie

---

[1]) Posłanie do braci wygnańców, str. 34—35.

[2]) Myśl tę, jak zobaczymy później, obszerniej rozwinęli Krasiński i Cieszkowski.

[3]) Posłanie, str. 44—45.

odpowiedzieć przypadającemu na reprezentantów narodu polskiego obowiązkowi głoszenia idei wolności między bałwochwalcami", t. j. czcicielami interesu, który w miarę potrzeby uzyskuje rozmaite nazwy i czczony jest hasłami honoru, dobrobytu, równowagi politycznej i t. p. Gdzieindziej znowu, a mianowicie w artykule „O duchu narodowym" [1]) mówi, „że główną i jedyną nauką narodową" jest „wewnętrzna domowa tradycya", składająca się „z resztki mniemań i uczuć, które ożywiały naszych przodków." „Potrzeb i dążeń narodowych jest zasadą pewna myśl, pewne powszechne uczucie. Póki trwa ta myśl, to uczucie póki ożywia, póty narody żyją i rosną; z jej osłabieniem chorują, z jej zniszczeniem umierają." „Kiedy nie ma jedności w uczuciach, żaden despotyzm wlać jej nie potrafi. Przeciwnie, uczucie i myśl narodowa może związać ludzi na każdem miejscu i w każdym czasie. Mamy przykład z Żydów, którzy nigdzie praw politycznych nie używając, posłuszni są rabinom i kahałom swoim nawet w sprawach cywilnych, mając wszelką sposobność wyłamania się z pod ich rządu." Zastanawiając się następnie, że idee swobód dotychczas w Europie nie znalazły należytego urzeczywistnienia, że polityczne wyobrażenia narodów europejskich cechuje bezład, że władze i urzędy, dawniej poważane ogólnie, dziś stały się niemal przedmiotem wzgardy, a izby sądowe, szanowane niegdyś, jak Kościół, stały się teatrem walk politycznych, Mickiewicz wskazuje społeczeństwu polskiemu moralny, spoczywający na niem i wysnuty z przeszłości obowiązek wyszukiwania w sobie żywiołu, na którymby brakło Europie [2]). Daje on do zrozumienia przez to, iż zadaniem i przewodnią ideą narodu polskiego jest wyłonienie z siebie tych mianowicie zasad sprawiedliwości i dobra, któreby w obecnych czasach zamętu w pojęciach politycznych mogły dopomódz do osiągnięcia wysokiego celu dobrze pojętej wolności. W przeszłości Polska od czasów przyjęcia chrześciaństwa była połączona z Europą nieprzerwanem pasmem wypadków. Im bardziej czuła i po-

[1]) W zbiorowem paryskiem wydaniu pism Mickiewicza. Tom V. str. 27 i nast.

[2]) Podobnąż myśl wyraża Brodziński w Posłaniu (str. 31):

„Narody zatraciły czucie narodowości i ciemiężeni od królów wzajem są ciemiężcami, a kiedy przez zabory król przestał być ojcem i lud jedną rodziną, wszelkie święte węzły zerwane zostały; gaśnie miłość rodzinna i narodu, a bagnet i waga kupiecka jedynym są węzłem ich."

„Przeznaczeniem jest naszem wrócić rodzinność i narodowość, jedyne węzły przyrodzone między rządzącym i rządzonym i między narodami."

dzielała rodzinne uczucia Europy, tem była szczęśliwszą i sławniejszą; im bardziej oddzielała się od Europy, tem widomiej słabła. Właściwem powołaniem i zasługą jej dla rodu ludzkiego była obrona cywilizacyi zachodniej z chrześciaństwa wynikłej przeciwko barbarzyństwu bałwochwalczemu i mahometańskiemu. O ile przodkowie stawali w obronie świata, o tyle Polska wzmagała się i kwitnęła, — zadaniem więc i dzisiejszem społeczeństwa polskiego winna być idea ostatniego bohatera Jana III., który ostatni raz uświetnił oręż Polski niepodległej, walcząc za chrześciaństwo. Narody — mówi Mickiewicz — wtenczas tylko wzrastają i mają prawo do życia, o ile wysługują się całemu rodzajowi ludzkiemu popieraniem lub bronieniem wielkiej jakiej myśli lub wielkiego uczucia.

Zdawałoby się, że cel w ten sposób określony, wzywający ziomków do szczytnej i nieprzerwanej a usilnej pracy nad rozjaśnieniem zasad dobra całej ludzkości, zachęcający do wytrwałego pielęgnowania i obrony nabytków cywilizacyi europejskiej od fanatycznego zamachu na nie, którego istota tkwi zarówno w Islamie, jak i w każdym innym wschodnio-azyatyckim prądzie unicestwiania społeczeństwa dla uświęcenia przemocy z jednej strony a służalstwa i niewolnictwa z drugiej, — że cel ten, powtarzamy, tak zgodny z ideą chrześciańską i znajdujący tyle poparcia w uczuciach moralnych, stanie się hasłem i dewizą całego narodowego społeczeństwa, — że będzie nawet w przyszłych pokoleniach jaśniej niż dotąd przyświecać wszelkim działaniom publicznym. Wbrew temu wszystkiemu w ostatnich czasach postawiono w niektórych kołach prawie za zasadę bronić się przeciwko konsekwencyom, wypływającym z epoki literatury, której nadano nazwę marzycielskiej; pojęcia przez nią wypracowane w literaturze i sztuce, nazwano ogólnie mistycyzmem; dla obrony od czynów rozpaczy szerzono z najusilniejszą energią tak zwane trzeźwienie umysłów, odwracając je od najwznioślejszych kart dziejowych, które nazwano donkichoteryą; starano się o zerwanie wątku z przeszłością gorliwiej od tych nawet, dla których to było bezpośrednią korzyścią, a którzy w ręku swem nie mieli i nie mogli mieć autorytetu obywatelstwa krajowego, jako obcoplemienni, — i w końcu doprowadzono dorastające pokolenia do zaparcia się odrębnych wyższych idei narodowych, a literaturę pchnięto w stan anemii, w której z wyjątkiem powieściopisarstwa, opromienionego sławą niepospolitych wprawdzie talentów, lecz dotykającego bardzo oględnie stron przeszłości historycznej i czyniącego na tem polu najmożliwsze dla obcych ustępstwa, — w dziedzinie

wszelkich innych opracowań zanika stopniowo śmiałość i przedsiębiorczość poszukiwania prądów ożywczego tchnienia...

Zgodnie z tem, cośmy wyżej przytoczyli, Mickiewicz w określeniu pojęcia o narodowości nie opiera go bynajmniej na cechach materyalnych, powierzchownych, jakiemi są ród i język udzielny. „Język“ — powiada on [1]) — „nie jest jedynie pewnym systemem dźwięków, służących do wydania myśli; język to słowo rozwinięte, a słowo o tyle tylko może być narodowem, o ile ma w sobie ducha narodowego... Moc języka zależy od ilości prawd w nim zamkniętych; jego siła działania na zewnątrz odpowiada masie światła i ciepła, jaką z siebie rzuca.“ Tym sposobem myśl wielka, jasno przyświecająca narodowi w jego duchownym, kulturalnym rozwoju, stanowi podług Mickiewicza zasadniczą treść narodowości, a szukać jej należy zarówno w owocach literatury i sztuki, jako też w urządzeniach narodowych. „Jak obrządki religijne usposabiają nas do łatwiejszego poczucia i powzięcia prawdy, tak instytucye narodowe nie są niczem innem, tylko zbiorem pomocy danych człowiekowi na to, aby łatwiej mógł czucie w czyn zamienić, postawić na ziemi prawdę, którą otrzymał w świątyni. Spełnienie tej powinności jest ciężkie i wymaga wielkich pomocy, wielowiecznych trudów. Dlategoż to człowiek bez narodowości jest człowiekiem niezupełnym, człowiekiem zdolnym wiedzieć, ale niezdolnym działać“ [2]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

I. 'Snitko.

[1]) Literatura słowiańska. Poznań 1865. Tom I. str. 27.
[2]) L. c. tom III. str. 236.

PAMIĘTNIK
O STROJU NARODOWYM
W RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

VII.

P a s y.

Historya pasów przedstawia wielką rozmaitość pod względem materyi, formy i sposobu noszenia. Portrety najdawniejszych postaci przedstawiają nam pasy bardzo skromne, wązkie, zdaje się, rzemienne, upstrzone metalowemi skówkami. Bywały niekiedy całe metalowe, srebrne lub złote, albo tylko posrebrzane lub pozłacane, z luźnych części wzorzystych złożone, podszyte skórą, a na przodzie spięte odznaczającą się klamrą. Czasy, do których te pasy należą, sięgają XVI. wieku. Dodać wypada, że pasy takie świecą na osobistościach wybitnych w życiu publicznem i zapewne ludzi niemałej fortuny. Chudeusze musieli się kontentować nabijanym rzemykiem albo szerokim pasem skórzanym.

O skromności ówczesnej co do pasów można wnosić z tego, co przytacza jeszcze Kitowicz: „Wojewoda wołyński Potocki, starzec dużoletni, do samej śmierci żadnego pasa nie używał, opasując się samymi od szabli paskami, zachowując modę dawniejszych lat, która jeszcze pod Augustem II., ale już nie pod III. panowała."

W pierwszych latach panowania Augusta III. n i e z n a n o jeszcze w Polsce pasów l i t y c h; opasywano się — wnosić można — dość przystojnie ale skromnie, nie bogato. „Na powszednie chodzenie — powiada Kitowicz — używano pasów t a ś m o w y c h, rzemieniem podszytych, na klamrę żelazną, mosiężną, srebrną, pozłocistą, według przemożenia i ambicyi każdego, na przodzie zapinaną."

Zaś „do publicznego stroju tak u szlachty, jak u mieszczan, bywały j e d w a b n e s i a t k o w e s z m u k l e r s k i e j r o b o t y,

z końcami w sznurku kręconymi, w kolorach rozmaitych, lecz najwięcej w karmazynowym; z końcami u chudszych jednostajnymi, u majętniejszych z srebrnymi lub złotymi. — Takież pasy bywały na pół srebrem lub złotem przerabiane.“

Na dalszych kartach dodaje Kitowicz: „W jednym czasie z pasami siatkowymi zażywano także pasów kałamajkowych w różnym kolorze; z szlakami w rozmaite kwiaty, jedwabną, srebrną i złotą nicią wyszywanymi, z frendzlą na końcach złotą lub srebrną.“

Dodajemy dla objaśnienia, że kałamajka jest materyą wełnianą, na zwyczajne pasy, w podłużne paski różnych kolorów wyrabianą. Szlaki i frendzle do pasa z tej materyi musiały być odręcznie dorabiane, co oczywiście czynili tylko możniejsi.

Lud małomiasteczkowy i wiejski używa dzisiaj jeszcze pasów rzemiennych lub też taśmowych z klamrami, jako też czerwonych siatkowych z frendzlami sznurkowymi i kałamajkowych.

Ta praktyka dawnymi czasy była więc spólna: upiększenie jej nicią srebrną lub złotą lub dorobienie takichże frendzlów i szlaków zależało tylko od zamożności.

Dopiero za Augusta III. pojawiły się pasy tureckie, perskie i chińskie, jedwabne lub wełniane „zadziwiającej“ cienkości, a w jednym tylko kolorze, zielone, pomarańczowe, karmazynowe i białe; później nieco nastały pasy tureckie i perskie, jedwabne, w różne kolory i wzory, srebrem i złotem przerabiane, tak nazwane pasy lite.

VIII.

Szable.

Noszenie szabli przy boku było przywilejem i obowiązkiem szlachcica. Szabla przy boku była znamieniem gotowości do obrony ojczyzny w każdej potrzebie. Obowiązek ten był główną treścią instytucyi szlachectwa: był przez protoplastę każdego rodu uroczyście zaprzysiężony i pod utratą czci następnym pokoleniom przekazany. Szlachta było to rycerstwo, jedyna owego czasu siła zbrojna ku obronie ojczyzny od zewnętrznego nieprzyjaciela: ztąd szabla stała się koniecznem uzupełnieniem stroju szlachcica na wszystkie pokolenia. Stan rycerski nosił więc szable z powołania, mieszczanie krakowscy, wileńscy, poznańscy i lwowscy mieli na to przywilej królewski.

Szabla — przekształcony wyraz z włoskiego *sciabola* — była różną według czasu i według potrzeby jej użycia.

Najdawniejsze szable polskie były proste i obosieczne. W w. XIII. czy napady mongolskie, czy stosunki z Węgrami zapoznały Polaków z szablą krzywą, do cięcia składniejszą, i szabla krzywa była odtąd do każdej okazyi używaną.

Szabla, zwana c z a r n ą, była w żelazo oprawna. W powszechności była używaną do boju, do pojedynku w okolicznościach, przy których spodziewać się można było tumultu i rąbaniny.

Żelazo szabli nazywano g ł ó w n i ą, rękojeść j e l c e m. Jelec u szabel czarnych był z p a ł ą k i e m graniastym i małym s k o b e l k i e m; pałąk nazywał się k r z y ż e m, a skobelek p a l u c h e m od wielkiego palca, który weń wchodził.

W późniejszych czasach, kiedy sejmy i trybunały zaczęły bywać burzliwe, wymyślono do szabel czarnych takie krzyże, że całą rękę okrywały. Taki krzyż zwał się f u r d y m e n t e m, a złożony był z prętów żelaznych, tworzących klatkę, opartą na blasze, wielkości dłoni. Dzisiaj ten ustrój rękojeści nazywa się k o s z e m, a używany tylko przy szablach konnicy.

Do stroju paradnego używano k a r a b e l e k.

Nazwa karabeli pochodzić ma od miasta Karbala, położonego w okolicy Bagdadu. — Szabla ta krzywa, wązka, cienka, bez pałąka przy rękojeści, bywała według zamożności rozmaicie oprawianą. Rękojeść (czyli jelec) z kamienia drogiego, jaspisowa, agatowa; pochwa oprawna w j a s z c z u r (skórę wężową); u możnych wysadzana kamieniami kosztownymi, skówkami złotemi. U mniej zamożnych rękojeść rogowa, hebanowa lub z kości słoniowej, pochwa w skórę kozłową oprawna, ozdobiona skówkami srebrnemi lub stalowemi.

Znane były za Augustów szabelki w srebro oprawne, pozłacane lub szmelcowane, których najwięcej wychodziło ze Lwowa, przez co je zwano zazwyczaj lwowskiemi.

Nawiązanie do karabeli najdawniejsze było z pasków rzemiennych, opatrzonych w sprzączki, szlufki i centki srebrne lub pozłociste. Później nastały r a p c i e z jedwabnego sznura samo przez się lub przerabianego nitką srebrną lub złotą, nareszcie i z samego srebra lub złota.

Przy dzisiejszym ogólnym obowiązku służby wojskowej szabla przy stroju narodowym nie ma realnego znaczenia.

IX.

Całość ubrania.

Znajomość form i kroju nie wystarcza w całości ubrania do prawidłowego wystąpienia; należą jeszcze do tego pewne reguły zwyczajowe w sposobie noszenia sukni, których własnemu domysłowi pozostawić nie możemy.

Polacy w dni powszednie ubierali się najprościej — w kapoty. Ubiór ten poznamy na właściwem dla niego miejscu. W chwilach uroczystych zaś, jak dni świąteczne, wesela, imieniny, chrzciny, pogrzeby, występowali szatno — znaczy strojno — w kolorach do okoliczności odpowiednich, więc w kontuszach i żupanach.

Na kołnierzyk stojący od żupana — spięty pod szyją spinką — wykłada się wązki i dokoła równy kołnierzyk od koszuli, albo kołnierzyk taki luźny, do kołnierza żupanowego od środka przypięty. Taki sam kołnierzyk wykłada się na rękawy żupana przy dłoni. Należy się to żupanowi, aby się rękawy jego, wązkie przy dłoni, nie obcierały i nie brudziły.

Zapięcie żupana — jak już wiadomo — było tylko w okolicy pasa na żeberka kryte; żadnych nie ma przyborów, taśm, ani guzów na piersi, bo te oznaczają węgierkę.

Tuż pod kolanami przestronne spodnie spadają na brzeg lekko pofałdowanej cholewy safianowego lub kozłowego obuwia.

Kontusz wdziewa się na żupan, a długością swoją sięga do pół łydek. Z pod kontusza spodnie nie powinny wyglądać. Kto nosił kontusz krótszy, niechaj raz spróbuje włożyć inny, podług wskazanej miary, a przekona się, że będzie wyglądał piękniej i wspanialej. Przybory, jakie towarzyszą strojowi: pas, karabela, wyrzucone w górę rękawy, przy krótkim kontuszu a zwieszonych pod nim spodniach, nizkich cholewach, sprawiają wygląd figury rażąco nie estetyczny.

Wyloty u kontusza powinny być tego samego koloru, co żupan; jedwabne, jeśli żupan jest jedwabny; wełniane, jeśli żupan jest wełniany lub sukienny.

W czasach Rzeczypospolitej szlachcic miewał kilka garniturów stroju. Oprócz barwy wojewódzkiej miał kontusze i żupany w kolorach dowolnie obranych, ale zgodnych.

„W piątki i soboty ubierano się czarno.“ (Ochocki. Pamiętnik). Ozdobą kontusza były zwykle taśmy w plecach według opisanej formy w trójząb i obszycie kantów, czyli bramowanie, sznurkiem tego samego koloru, co taśmy. Majętniejsi dodawali guzy.

Do ostatka utrzymywały się z równym zaszczytem kołnierze, czy stojące podójnie, czy wykładane, wytokiem zwane. Wytok zaś zawsze od szyi do pasa spuścisto coraz węższy.

Kontusz, jak wiadomo, nie miał po wierzchu żadnego zapięcia; służyły do tego w okolicy pasa ukryte pod przodkiem żeberka sznurkowe. Utrzymywanie w swej mierze założystej sukni reprezentował pas, który wkładano po wierzchu kontusza.

Od pięknego wiązania pasa żąda się, aby nie był szeroko złożony, a jego końce, aby nie były nizko opuszczone; węzeł zaś powinien mieć jakąś pewną do ciała przylegającą formę. Pas siatkowy, miękki, jedwabny lub kałamajkowy dość na przodzie skrzyżować, a końce, jeden w prawo, drugi w lewo obróciwszy, jeden z góry na dół, drugi z dołu do góry po pod pasem przeciągnąć.

Z litym pasem manipulacya trudniejsza. W czynności tej brał zwykle udział szatny, a często pomagały tylko małżonki, wprawne do układania zgrabnych węzłów. Przy długim litym pasie bez tej pomocy obyć się nie można. Jakkolwiek łatwiej to jest wykonać niż opisać, jednakże spróbuję podać czytelnikowi wskazówkę, za którą po jednej lub kilku próbach poznawszy metodę, potrafi wykonać wiązanie tak, jak należy.

Długość pasa obejmie figurę dwa albo trzy razy, a że do zrobienia węzła potrzeba dwóch końców, więc przed obwijaniem trzeba kawałek pasa — mniej więcej na trzy piędzi — puścić luzem, załamawszy w tem miejscu pas pod kątem prostym. Miejsce w ten sposób zagięte ujmuje ubierający się w rękę, kładzie na środku brzucha i przytrzymuje. Druga osoba bierze resztę pasa, staje z boku i trzyma pas w stosownej do obwijania się wysokości. Przypuśćmy, że osoba ta staje po lewej stronie ubierającego się, więc ten okręca się w prawo; okręciwszy się parę razy, zostanie część pasa niewystarczająca już do całego koła: tę część trzyma pomocnik równo, ale tak, żeby do brzucha przylegała, a ubierający się bierze luzem puszczony pierwotny koniec, podnosi do góry, przechyla go ukośnie nieco ku lewemu bokowi i przesuwa poza nawinięty pas górą na dół. Tym sposobem pozostała reszta pasa będzie przyciśniętą do brzucha i potrzeba ją tylko ująć z ręki pomocnika, przełożyć ją po nad szlufkę poprzednią w prawo i tym samym sposobem przesunąć cały ten koniec poza pas górą, szlakiem na dół. — Będzie to najpiękniejszy węzeł, zwany rycerskim.

Jeżeli pomagająca osoba stanie po prawej stronie ubierającego się, wypadnie mu okręcać się w lewo, a węzeł będzie miał tę

odmianę, iż jeden szlak będzie wychodził z pod pasa dołem, a drugi będzie przewieszony górą.

Piękność zawiązania pasa polega na tem, aby oba zwieszające się końce były równe a niedługie. Zależy to od wymiaru tej pierwszej części pasa puszczonej luzem. Długość właściwą nie trudno znaleźć po kilku próbach, a wtenczas trzeba ją sobie naznaczyć, aby w potrzebie nie tracić czasu na odwijanie i zawijanie powtórne.

Po zawiązaniu pasa dopiero zakłada się rapcie z karabelą. „Bez pałasza, kto był w kontuszu, nietylko na ratuszu, w kościele, z wizytą, ale na ulicy pokazać się nie mógł.“

„Było zwyczajem, że się i do najbliższego i do najpoufalszego sąsiada przyjeżdżało zawsze przy pałaszu lub przy szpadzie, stosownie do ubioru; przyjechać bez oręża, było to uchybić domowi, ale gospodarz winien był zaraz prosić gościa, aby odjął szablę czy szpadę.“ (Ochocki I. s. 383).

Nieobojętną rzeczą była także manipulacya z wylotami. Kontusz sam był już suknią poważną, uroczystą; dystynkcyi większej dodawało zarzucenie wylotów, a to się stosowało tylko do okoliczności, miejsca i osób, dla których to uczynić należało. — Kontusz z wylotami nie znaczy, że wyloty muszą być zarzucone, to zależy od okoliczności i stosunku, w jakim się znajdujemy. Zarzucone na plecy wyloty oznaczały najuroczystszą galę. Do tego umiał Polak się stosować, tam wyloty zarzucał, gdzie miał stanąć w gali. Gdzie tego stosunku nie było, tam wdziewał kontusz na rękawy. Więc w kościele podczas zwykłego nabożeństwa, na małej wizycie, w miejscach publicznych, jak w teatrze, na koncercie, w restauracyi, na ulicy wdziewał kontusz na rękawy. Zarzucenie wylotów w miejscach i okolicznościach niewłaściwych byłoby dla kontusza i dla jego nosiciela rzeczą ubliżającą, świadczącą o niewiadomości tego, co się komu i gdzie należy.

Dla tej swobody i potrzebnej dystynkcyi wyloty szlachcica nigdy nie były skrępowane. Kozakom za karetą, służbie, uwijającej się koło stołu, spinano przy ich kurtach wyloty, albo przywiązywano pasem: to samo i dzieciom szlacheckim; ale szlachcic wolny zarzucał wyloty według swego uznania, nigdy ich nie spinając. Jeśli wyloty wcale ramienia nie trzymają się, to jest znakiem, że rękawy są źle skrojone albo źle wszyte, albo jedno i drugie.

Przechodzimy do nakrycia głowy.

Z kontuszem w parze może iść tylko czapka czworogranna, przyzwoitej wysokości, z opuszką barankową. Reguła w noszeniu była taka: „Jakiej materyi i koloru był kontusz,

taki musiał być i wierzch czapki, a baranek tak dobrany, ażeby odbijał przyjemnie.“ (Gołębiowski, Kitowicz, Ochocki itd.).

Inną uwagę wypada nam na tem miejscu uczynić co do czapki białej. Czapka bywała w pewnych epokach demonstracyjną. Na sejmie konwokacyjnym (1764) białe czapki przywdziało stronnictwo reformatorów dla rozpoznania się. To samo w sejmie czteroletnim uczyniło stronnictwo konstytucyjne. To samo w r. 1811 w nadziei zwycięzkiej wojny z Rossyą. — Kolor biały był u nas kolorem wolności. Lud i wojsko przypinało białe kokardy w chwilach walki o niepodległość narodu. Więc biała czapka przy kontuszu jakiegokolwiek koloru reprezentuje w danej chwili stronnictwo reformy, stronnictwo wolności.

Kitki do czapek bywały z piór orłów, rarogów, sokołów, żurawi lub czapel, a osadza się je w ten sposób: róg czapki nad czołem, a po środku lewego pola, na opuszce, kita w zaponie [1]), jak kogo stać, srebrnej lub złotej.

W Królestwie kongresowem posłowie sejmów, sejmików i niektórzy sędziowie do r. 1831 w kontuszach zasiadali. Starsi cechów warszawskich przywdziewali kontusze na święta i procesye uroczyste do r. 1845. (Glogier: Księga rzeczy polskich).

*
* *

Pozostaje nam do opisania inny strój, młodszy, a wcale przystojny, nawet elegancki, mogący figurować obok kontusza z równym zaszczytem: strój wprowadzony i z upodobaniem przyjęty w czasie sejmu czteroletniego.

(Dokończenie nastąpi).

J. Horoszkiewicz.

---

[1]) Zapona, nie podkitek, przez nieświadomych rzeczy wymyślony.

O CYWILIZACYI BOŚNI I HERCEGOWINY.[1]

Żywe zainteresowanie, budzące się w naszem społeczeństwie dla plemion słowiańskich, zamieszkujących monarchię, skłoniło mię do wyboru przedmiotu niniejszego szkicu. Pragnąłbym napisaniem jego przyczynić się do zapoznania czytelników polskich z cywilizacyą jednego z odłamów plemion południowo-słowiańskich, zamieszkujących Austryę, a mianowicie z cywilizacyą ludności bośniacko-hercegowińskiej, która może najwierniej przechowała typ cywilizacyjny południowego Słowianina.

Rozwój kultury każdego kraju zawisł w wysokim stopniu od czynników naturalnych, wśród których ta cywilizacya powstała, i od społeczno-historycznych czynników, jakie towarzyszyły jej rozwojowi.

Zanim więc przystąpię do rozbioru stanu cywilizacyjnego Bośni i Hercegowiny, sądzę, że należy mi zapoznać czytelników z czynnikami naturalnymi i historyczno-społecznymi tej kultury.

Położone na zachodnim krańcu półwyspu bałkańskiego Bośnia i Hercegowina tworzą trójkąt o powierzchni 51.027 km. kwadr., który w obrębie granic swoich zamyka wszelkie konfiguracye lądu. Jeżeli bowiem za punkt wyjścia weźmiemy wierzchołek tego trójkąta, który tworzy ujście Driny do Sawy i ztamtąd posuwać się będziemy w kierunku południowo-zachodnim, to kraj cały rozpadnie się nam pod względem orograficznym na cztery odrębne strefy, a mianowicie:

I. S t r e f ę n i z i n, będącą przedłużeniem nizin węgiersko-slawońskich. Ta część kraju, zajmująca około 5% całej powierzchni, odznacza się największą ilością urodzajnej ziemi, którą tworzą tereny

[1]) Praca ta jest szerszem opracowaniem odczytu, który miałem w „Towarzystwie prawniczem lwowskiem“ dnia 21. grudnia 1899 r.

namulane przez rzeki. Rzeki jednak wyrządzają tu czasem także i szkody, powodując niszczące powodzie. Wysokość tej części kraju nad poziom morza wynosi w przecięciu 80—100 m.

II. Strefę pagórkowatą. Ta strefa zajmuje około 24% powierzchni kraju, znamionuje się także wielką ilością urodzajnej gleby, wysokość zaś jej nad poziom morza wynosi w przecięciu 100—600 m.

III. Strefę górzystą i lesistą o powierzchni około 42% całego obszaru Bośni i Hercegowiny. Odznacza się ta strefa ogromną obfitością lasów, które w ogólności w Bośni i Hercegowinie zajmują około 52% całej powierzchni. W tej części kraju leżą źródła największej ilości rzek, jest tu również największa ilość łąk, niemniej jednak dość jeszcze znaczna ilość urodzajnych gruntów.

Góry dochodzą tu najwyższej wysokości 2000 m., podczas gdy średnia wyniosłość gór mieści się w granicach od 1000—1400 m.

IV. Strefę Karstu, graniczącą o morze, która sięga z jednej strony do granic Dalmacyi a z drugiej przypiera do Czarnogóry. Strefa ta zajmuje około 29% powierzchni, charakterystyką jej jest mięszanina nagich skalistych szczytów górskich z urodzajnemi powierzchniami kraju, t. z. „Polje“ i „Dolnie“. Dwa te ostatnie rodzaje konfiguracyi terenu są dolinami powstałemi z zapadania się podziemnych mas kamiennych i stanowią jedyne sposobne dla kultury rolnej powierzchnie w tej części kraju. „Polje“ różni się tem od „Dolnia“, że dno jego jest równem, podczas kiedy „Dolnie“ ma dno wgłębione i skutkiem tego ochronioną jest skalistymi brzegami od szkodliwego działania typowego dla stron tych wiatru „Bora“. Jestto wiatr północny, dochodzący szybkości 50 m. na sekundę, wieje głównie w zimie i wyrządza niejednokrotnie wskutek swej gwałtowności dotkliwe szkody.

Podobnie jak pod względem orograficznym Bośnia i Hercegowina przedstawiają także i pod względem klimatycznym wielką rozmaitość. Mianowicie, podczas gdy w strefie karstowej panują w lecie wielkie upały, a zimę stanowi właściwie pora deszczowa, podobnie jak w klimatach subtropikalnych, w środkowej zaś części panują stosunki klimatyczne południowych górskich krajów monarchii, to natomiast na północy, w okolicach nizin spotykamy klimat krajów nad Cisą i Dunajem położonych. W ogólności jednak wskutek południowego położenia kraju nie ma tu nigdzie w zimie zbyt niskiej temperatury, o czem najlepiej świadczy fakt, że uprawa kukurudzy przekracza wysokość 700 m. nad p. m., pszenica ozima udaje się na wysokości 1000 m., jęczmień zaś nawet na wysokości 1400.

Różnice przeciętne temperatury w różnych częściach kraju leżą w granicach + 7·7 a + 15·8° C.

Dla uzupełnienia obrazu naturalnych warunków Bośni i Hercegowiny dodam jeszcze, że lasy składają się tu po części z karłowatych drzew (strefa karstu), po większej części zas należą do wysoko- i niskopiennych lasów, a wreszcie że kraj ubogim jest stosunkowo w naturalne dogodne komunikacye, które ograniczają się na doliny rzek Uny, Vrbny, Bosny, Driny i Narenty.

Na całej tak ukształtowanej powierzchni kraju żyje według ostatniego obliczenia z 22. kwietnia 1895 r. 1,568.092 mieszkańców, w stosunku więc do wielkości kraju wypada zaledwie 31 mieszkańców na 1 km. kwadr., zaludnienie więc jest dotąd jeszcze dość słabe. Na mieszkańców w wieku od 15—60 lat wypada 52.8%, co się zaś tyczy stosunku płci, to na 1000 mężczyzn przypada 894 kobiet. Pod względem etnograficznym ludność ta jest dość mięszaną, składa się bowiem z elementów południowo-słowiańskich, tureckich, dalej w małych częściach germańskich, semickich i węgierskich. Ważniejszym jednak o wiele jest podział ludności pod względem wyznań, jest on bowiem w ogólnych zarysach identycznym z podziałem na narodowości i stronnictwa polityczne przynajmniej co do elementów, stanowiących najznaczniejszą większość ludności.

Podczas bowiem, gdy katolicy są zarazem Kroatami i zwolennikami Austryi, wyznawcy grecko-oryentalnej cerkwi są równocześnie Serbami i stronnikami serbsko-montenegryńskich idei. Wreszcie muzułmanie uważają się pod wpływem fanatyzmu, jaki religia ich wytwarza, za element poniekąd także politycznie i narodowo różny od Serbów i Kroatów, mimo iż cywilizacyjnie zupełnie są identyczni z tymi ostatnimi, czują się tedy właściwie jako Turcy i łączą się w kraju z tą partyą polityczną, która gwarantuje im największe korzyści dla ich kościoła.

Otóż traktując rzecz ze stanowiska wyznań, otrzymujemy następujący podział cyfrowy ludności:

1) 549.000 czyli 35% mahometanów
2) 673.000 „ 43% grecko-oryentalnych
3) 334.000 „ 21% katolików
4) 8.000 „ 0·5% żydów
5) 4.000 „ 0·7% innych wyznań.

Pragnąłbym czytelnikom podać jeszcze daty co do stosunku umiejących czytać i pisać do analfabetów. W tym jednak względzie brak jest dat wiarygodnych i dlatego rzecz tę pominąć tu muszę.

Ludność Bośni i Hercegowiny rozgrupowaną jest głównie po osadach wiejskich. Miasta w tych prowincyach są nieliczne i dopiero teraz rozwijać się poczęły. Miast tedy większych liczy kraj tylko 7, co do liczby ludności przedstawiają się one, jak następuje:

1) Sarajewo (stolica kraju)	38.000	m.
2) Mostar	17.000	„
3) Bonjaluka	15.000	„
4) Dolnja-Turka .	11.000	„
5) Bjeline	10.000	„
6) Travnik	7.000	„
7) Teseny	7.000	„

Jako głównie należący do rasy południowo-słowiańskiej mieszkańcy Bośni i Hercegowiny posiadają właściwy tej rasie charakter łagodny, nieco marzycielski, niepozbawiony jednak męzkości, odznaczają się głęboko zakorzenionym konserwatyzmem i instynktami patryarchalnymi. Prócz tego mahometanizm wniosł do charakteru tej ludności sporą dozę spokoju, rezygnacyi i skłonności do kontemplacyi.

Przechodząc teraz do rozpatrzenia najważniejszych momentów historyczno-społecznych, które oddziałały na rozwój kultury tych krajów, ograniczyć się muszę dla braku miejsca i czasu do najogólniejszych tylko zarysów.

Dzisiejsza Bośnia i Hercegowina w dalekiej przedrzymskiej jeszcze starożytności stanowiła największą część Illyryi, znanej mało i zaludnionej słabo. Rzadkie to zaludnienie kraju i jego izolacya pozostały i dalej niezmienione, gdy kraj ten przeszedł pod panowanie rzymskie. Przebywają tu jedynie nieliczne osady rzymskie w pobliżu kamieniołomów, otwartych przez Rzymian, i obozy załóg wojskowych, strzegących ważniejszych punktów kraju.

W drugim wieku ery chrześciańskiej kraj poczynają nawiedzać napady Awarów i Gotów. Ludy te jednak nie osiedlają się tu stale, lecz zmieniają przez to fizyonomię kraju, iż niszczą wszelkie ślady kultury rzymskiej.

Dopiero w wieku VII. po Chrystusie zachodzi fakt historyczny nader doniosłego znaczenia dla cywilizacyi krajów, którymi zajmujemy się, a mianowicie zajęcie ich przez szczepy południowo-słowiańskie, które tu stałe zajmują siedziby i rozwijają się samoistnie cywilizacyjnie aż do wieku XV.

Wtargnięcie wszechpotężnych wówczas Osmanów do kraju, stały podbój jego i przyłączenie do cesarstwa ottomańskiego, kładą w w. XV. koniec panowaniu Słowian, wywierając wpływ dalekonośny na kulturę tych ziem. Od czasu tego Bośnia i Hercegowina izolują się jeszcze bardziej od reszty europejskiego świata i popadają w stan zastoju, z którego budzą się dopiero z chwilą okupacyi austryackiej w r. 1878.

Czynniki te historyczno-społecznej natury wycisnęły w pierwszym rzędzie piętno swoje na ukształtowanie się stosunków własności nieruchomej i pozostającą z tem w związku organizacyę społeczną Bośni i Hercegowiny.

Już przed podbojem tureckimi ziemia w Bośni i Hercegowinie należała w wielkiej części na własność do klasy szlacheckiej, wytwarzającej się w łonie społeczeństwa południowo-słowiańskiego. Właściciele ci ziemi nie uprawiali jej jednak sami, lecz pozostawiali pracę na niej ludności, tworzącej klasę zawisłej rolnej ludności, czyli t. zw. „kmetów". Oprócz tych dwóch kategoryi posiadaczy ziemi byli jednak także i wolni chłopi, posiadający mniejsze obszary ziemi na własność.

Ażeby wyjaśnić prawny stosunek „kmetu" do właściciela ziemi, czyli „pana", przypomnę fakt znany dobrze z historyi agrarnej, iż u całego szeregu ludów europejskich, u których niewolnictwo nie przybrało większych rozmiarów, wytwarza się po przejściu ze stanu koczowniczego do osiadłego rolnictwa mocą konieczności ekonomicznej nowa organizacya społeczna. Organizacya ta polega na tem, że większa znacznie część ludności przechodzi w zawisłość ekonomiczną i społeczną od części znacznie mniejszej, która natomiast przyjmuje zadanie bronienia kraju od nieprzyjaciela, czyli staje się klasą właścicieli ziemskich i wojowników. Organizacyę tę obejmujemy najogólniejszem mianem systemu feudalnego.

Stopień zawisłości ludności pracującej faktycznie na roli od klasy wojowników i właścicieli ziemi ukształtowuje się rozmaicie w miarę danych stosunków, a granice jego leżą między zupełnem poddaństwem *(Hörigkeit)*, w ktorem jednostki zawisłe tracą niemal zupełnie wolność osobistą, stają się osadnikami przywiązanymi do roli *(glebae adscripti)*, podległymi jurysdykcyi właściciela ziemi, obowiązanymi do robót, przymusów i czynszów lub danin na rzecz właściciela a między stosunkiem znacznie łagodniejszym zawisłości osadnika, w którym jest on tylko obowiązanym uiszczać właścicielowi ziemi pewien czynsz lub daniny za użytkowanie z ziemi,

nie tracąc jednak wolności osobistej i stoi pod łagodniejszemi także prawami patryarchalnej władzy właścicieli ziemi.

W tym ostatnim stosunku stali do posiadaczy ziemi „kolonowie“ włoscy i raguzańscy, *tenants* irlandzcy a wreszcie i „kmeci“ południowo-słowiańscy przed najazdem tureckim.

Do tak ukształtowanego systemu wnosi napad turecki nowe zasady prawne, zmieniając go częściowo

Według świętych praw Al-Koranu właścicielem ziemi jest właściwie Allah, w rzeczywistości zaś jego namiestnik Kalif, on tylko ziemię może dawać na własność lub posiadanie, komu się podoba.

Ziemią sułtan-Kalif może darzyć wiernych w dwojaki sposób. Albo oddaje on ją wiernemu dla celów uprawy, a wtedy obdarowany nabywa zupełną własność na ziemi, zwaną „Mulk“, albo nadaje on ziemię wyznawcy Mahometa w rodzaj lenna (Tessaruf), za które obdarowany musi uiszczać sułtanowi, względnie państwu daninę.

Wysokość tej daniny jest różną i zależy znów od tego, czy obdarowany był zdobywcą nadanej mu ziemi, czy też tylko zwykłym wyznawcą Koranu. W pierwszym wypadku płaci on tylko dziesięcinę państwu, w drugim zaś daniny znacznie większe, których granice chwieją się między dziesiątą częścią a połową każdoczesnego dochodu z ziemi (Czaradż), a prócz tego jeszcze pewną stałą opłatę, zwaną Charadżi-Muverraf.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Witold Lassota.

KRONIKA LITERACKA.

Z ostatnich prac w dziedzinie Socyologii.

(Vierkandt: Kulturvölker und Naturvölker. Leipzig, Duncker i Humblot, 1896. — Vierkandt: Das Kulturproblem. Zeitschrift für Socialwissenschaft 1900. Zeszyt II. i III.).

(Dokończenie).

Od tego normalnego, typowego nastroju duchowego pełnej cywilizacyi widzi Vierkandt dwa zboczenia: jednostronny optymizm i jednostronny pesymizm. Słusznie też pojmuje optymizm jako pogląd na świat, wynikły z więcej uniwersalnego, etycznego sposobu myślenia, który nie zwraca uwagi na dolę i cierpienie jednostek, ale raduje się każdym postępem, zdobyczą ludzkości; natomiast pesymizm jako pogląd więcej indywidualistyczny, który, nie widząc szczęścia jednostek, cały świat za to potępia. Niesłusznie tylko stawia na równi z tak określonym etycznym optymizmem, który wierzy w pewne ideały, więc i ideały społeczne i chciałby ulżyć doli klas upośledzonych — optymizm z czasów Odrodzenia. Wszak sam wyrażał się, jak widzieliśmy wyżej, że dla Odrodzenia człowiek zaczynał się dopiero od sytego indywiduum!...

W życiu intellektualnem polega różnica ludów niecywilizowanych a cywilizowanych w tem, że w pierwszych przeważają: kojarzenie się pojęć, tworzenie się wyobrażeń, bierne, asocyacyjne, niekrytyczne, u drugich kojarzenie się pojęć, tworzenie wyobrażeń, czynne, aperceptywne, krytyczne. We wszystkich czysto receptywnych działaniach umysłowych stoją wyżej ludy niecywilizowane, we wszystkich produktywnych działaniach ludy cywilizowane. Pamięć człowieka niecywilizowanego, bystrość zmysłów jego,

zdolność oryentowania się w przyrodzie są nieraz wprost zdumiewające; do abstrakcyi jednak, do pracy umysłowej spokojnej, krytycznej a konstrukcyjnej nie jest on wprost zdolnym. To też i w sztuce ludów niecywilizowanych widać brak idealizmu i bierność zupełną [1]).

Krótko mówiąc, cała różnica między ludami niecywilizowanymi a cywilizowanymi da się w tem streścić, że pierwsze zależne są zupełnie od natury, patrzą na świat naiwnie, widzą w nim tylko szereg faktów, zjawisk, nie znają wartości w zakresie duchowym, a tem samem ideałów duchowych; gdy ludy cywilizowane opanowują naturę, patrzą na świat krytycznie, pojmują go nie jako zbiór faktów tylko, lecz jako problem, znają wartości duchowe, ideały: mają też pewne dążenia, pragnienia etyczne. Taka sama różnica między naiwnym a krytycznym typem może występować i u jednostek w społeczeństwach cywilizowanych, nawet u jednostek wyższych... Wszak już Schiller rozróżniał naiwnych i sentymentalnych — jak on się wyrażał, a jak my powiemy krytycznych — poetów i do pierwszych zaliczał: Homera, Szekspira [2]), Molière'a, częścią i Goethego. Vierkandt wlicza między naiwne umysły z artystów: Raffaela, Mozarta, z filozofów: Spinozę. Możliwą do pewnego stopnia jest i synteza obu typów..

Jakkolwiek już w dopieroco omówionym rozdziale III. scharakteryzował Vierkandt ogólnie ustrój duchowy ludów niecywilizowanych, przedstawiając różnice, zachodzące między nimi a cywilizowanemi społeczeństwami; mimoto poświęca jeszcze jeden IV. rozdział dla przedstawienia szczegółowego niektórych właściwości psychicznych ludów niecywilizowanych.

Ludy niecywilizowane cechuje specyalnie przedewszystkiem ich mitologiczny sposób myślenia. Świat przedstawia się im jako szereg rzeczy zmysłowych, personifikują one łatwo nawet zupełnie nieżyjące przedmioty, naturę; z drugiej strony zaś duszę i zjawiska duchowe przedstawiają sobie całkiem materyalnie. Odwaga pewnego człowieka jest dla nich n. p. czemś materyalnem zupełnie i można łatwo ją nabyć, zjadłszy serce walecznego wojownika. Choroba — więc cały proces fizyologiczny — przedstawia się im również jako rzecz, którą można z siebie zrzucić, przenieść na kogo innego, odrzucając od siebie

---

[1]) Słusznie zwraca uwagę Vierkandt na to, że nawet tak wysoko etycznie stojący Tołstoj zdradza naród, do którego należy, swoją biernością w poglądach, zdaniem, że człowiek dobry nawet rządzić nie powinien!...

[2]) Czy jednak Hamlet Szekspirowski jest tak „naiwnem“ dziełem sztuki?

kwiaty lub np. przeciskając się przez gałęzie drzewa. Każdy przedmiot, każde ciało jest czemś samoistnem dla siebie, jednolitem, podzielnem, a części wynikłe z podziału zachowują przymioty całości poprzedniej. Stałość i niezmienność przymiotów każdego ciała wedle zapatrywań ludów niecywilizowanych jest powodem, że nie znają one przyczyn wewnętrznych i pojęcia rozwoju z wewnątrz. Działa wedle nich zawsze jakaś przyczyna z zewnątrz. Rzeczy podobne do siebie muszą mieć podobne przyczyny, rzeczy zostające w związku ze sobą, chociaż rozdzielone później, zawsze jeszcze tworzą całość. Więc n. p. ranę zadaną pewną bronią smaruje się tym samym tłuszczem, którym tę broń się smarowało, ukąszenie jadowitych zwierząt tłuszczem z tych zwierząt, ojciec zażywa lekarstwo za chore dziecko i t. d. Podstawą takich pojęć jest sądzenie powierzchowne z pewnych wrażeń, jakie zmysł wzroku nastręcza.

W życiu duchowem ludów niecywilizowanych wymagają dalej specyalniejszej analizy: pozorne sprzeczności, jakie przedstawia u nich wola. Z jednej strony wiemy od różnych podróżników i skonstatować to możemy przy osobistem zetknięciu się, że wszystkie plemiona niecywilizowane są z natury leniwe i mają wstręt do pracy, że raczej będą głód cierpieć, znosić zimno, niewygody, jak pracować dla zaspokojenia swych potrzeb; z drugiej strony słyszymy od innych sprawozdawców, że są one pracowite, ba! nawet troszczące się o przyszłość! Jakże te sprzeczności wyjaśnić?

Otóż musimy przedewszystkiem odróżnić działanie ze względu na teraźniejszość, na zachodzące już obecne stosunki i ze względu na przyszłość. Trudy, podejmowane przez ludy niecywilizowane ze względu na teraźniejszość, są niczem innem, jak tylko czysto-popędową reakcyą na silną zewnętrzną a zmysłową podnietę. Objawy woli będą silne, ale też krótkie: skoro podnieta zewnętrzna ustanie i one zaraz ustaną. Więc n. p. ludy niecywilizowane podejmą największe trudy przy łowach, bo zwierz ścigany jest dla nich silną, blizką zmysłową podnietą; podobnież nawet w stadyach półkultury strach przed groźnym despotą zmusza do najcięższych robót (Budowa piramid).

Gdy idzie o przyszłość, troszczenie się o nią, o przyszłe potrzeby i ich zaspokojenie wymaga już rozwiniętej samowiedzy i wyrobionej woli. Cel, obiecujący, jest czemś oddalonem, środki, które doń wiodą, wymagające trudu i mozołu, czemś blizkiem. Powstaje dualizm celu i środków, który łatwo obejmie świadomość człowieka cywilizowanego i do którego łatwo nagnie się jego wyrobiona wola. Natomiast zrozumienie dualizmu tego, zastosowanie się doń przechodzi inteligencyę i niewyrobioną wolę człowieka niecywilizowanego. Toteż nie tro-

szczenie się o przyszłość charakteryzuje ludy niecywilizowane. Wyjątki od tej reguły zachodzą tylko albo, gdy cel i środki są tak zbliżone do siebie, że dualizm wyżej wspomniany prawie znika (robota nad jakiemś narzędziem, dziełem początkowej sztuki, już przedstawia przyszły cel, zbliża go i jest sama z siebie przyjemną); albo gdy działa bardzo silna podnieta, występująca we formie zmysłowej i pobudzająca zarazem próżność (praca nad ozdobami, przy tatuowaniu); albo wreszcie, gdy zmusza do pracy zwyczaj, który z generacyami rośnie i potężnieje.

Brak przezorności, troski o przyszłość najsilniej objawia się u ludów niecywilizowanych w okoliczności, że nie znają one wprost środków zarządzeń, zapobiegających przyszłym możliwym klęskom, n. p. chorobom, a jeżeli gdzie takie środki, instytucye, zapobiegające możliwemu złemu, występują u nich, to powstały one pierwotnie z całkiem innych przyczyn, jak z przezorności. Następuje tu z czasem zmiana motywów pierwotnych, które urządzenie wywołały. Takie urządzenie, n. p. jak prawo zemsty *(Blutrache)*, które w pierwotnych a nawet jeszcze późniejszych urządzeniach karnych gra ogromną rolę jako środek, zabezpieczający życie od dowolnych napaści, wypłynęło bez kwestyi z motywów indywidualnych, odruchowych, z uczuć prywatnych, a stało się później instytucyą, niezależną od woli jednostek, świadomie utrzymywaną dla dobra ogółu.

Jeżeli rozpatrzymy bliżej działalność ludzką czy ze względu na teraźniejszość, czy przyszłość, możemy dostrzec dwa jej rodzaje. Albo przybiera ona charakter pracy, albo charakter swobodnego zajęcia się, zatrudnienia czemś. Czem jest praca dziś w społeczeństwach cywilizowanych, wiemy dobrze, jak również wiemy, że lżejsze zajęcie umysłowe (czytanie dla rozrywki), różne rodzaje sportu są zajęciem się swobodnem. U ludów niecywilizowanych robota nad narzędziami, sprzętami, obrabianie ziemi przedstawia pracę, a n. p. polowanie, rybołostwo zajęcie. Różnica więc między pierwszym a drugim rodzajem działalności leży najpierw we wspomnianym już wyżej dualizmie celu i środków przy pracy. Cel jest obiecującym, przyjemnym, praca doń wiodąca mozolną; swobodne zajęcie jest samo dla siebie już przyjemnem. Powtóre praca jest zawsze przymusową, swobodne zajęcie zaś dowolnem, albo działają tak silnie przy niem podniety, że przymus znika. Wreszcie praca wymaga pewnego natężenia umysłu (praca duchowa) lub woli dla przezwyciężenia trudu fizycznego, czy monotonności zajęcia, czego przy zajęciu swobodnem również nie ma.

Otóż rozpatrując tę różnicę między pracą a swobodnem zajęciem, rozumiemy dopiero, dlaczego ludom niecywilizowanym tak trudno przyswoić sobie wyższą kulturę. Przedewszystkiem dualizm celu i środków przechodzi ich inteligencyę i wolę. To też wyrobów posuniętej techniki: maszyn, broni palnej, nie rozumieją i nie umieją wprost używać. Ciągłe zaś wytężanie umysłu, przezwyciężanie woli i znoszenie nieprzyjemnego trudu dla przyszłego celu, jednem słowem cały przymus pracy jest dla nich nieznośnym. Tylko silna zmysłowa podnieta, mianowicie obawa kary jest w stanie pokonać u ludów niecywilizowanych ten wstręt do pracy, wychować je do niej a tem samem do wyższej kultury!

Wreszcie również na nieco więcej szczegółowe rozpatrzenie zasługuje życie etyczne ludów niecywilizowanych. Biorąc pod uwagę etykę indywidualną, widzimy u jednostek postępowanie czysto impulsywne, wskutek tego nieraz sprzeczne z zachowaniem się poprzedniem; widzimy brak przezwyciężenia się, uleganie łatwe każdej pokusie i wreszcie brak jakichś wyrobionych zasad postępowania, brak poczucia honoru i skłonność do kłamstwa. Widzimy więc w ogóle w etyce indywiduów z ras niecywilizowanych brak wszelkiego momentu aktywnego, a jeżeli zachowanie ich przedstawia się nieraz etycznie, to należy to przypisać tylko prostym nieskomplikowanym stosunkom, wśród których żyją — brakowi pokus.

Do wyższego poziomu etycznego wychowują ludy niecywilizowane dopiero praca, czynniki społeczne: zwyczaj i opinia społeczna, wreszcie zaś wierzenia religijne. Pod wpływem tych czynników ograniczają jednostki swój egoizm, zaczynają poskramiać życie czysto impulsywne, oddawanie się pierwszym lepszym popędom, wyrabiają sobie pewne normy a nawet ideały etyczne. Rozumie się, że objektywna etyka poprzedza subjektywną; jednostki zachowują się wnet nienagannie na zewnątrz, podporządkowują się pod pewne normy, wyższe potęgi, bo skłania je do tego zwyczaj, potęga opinii publicznej a nawet obawa przed bogami i karami z ich strony. Natomiast przekształcenie się głębsze, wewnętrzne jednostek w duchu etycznym, uczucia sympatyi, miłości bliźniego mogą pozostać dopiero pod wpływem religii wyższej, idealnie pojętej.

Samobójstwa u ludów na nizkim stanie kultury są również częste jak w społeczeństwach cywilizowanych, tylko że na nizkim stopniu kultury wobec małego cenienia życia przedstawiają one, rzec można, coś naturalnego całkiem; w cywilizacyi wyższej zaś, przy usposobieniu

refleksyjnem jednostek, rozważaniu wspomnień, obawie śmierci coś anormalnego.

W rozdziałach V. i VI. swej pracy rozbiera Vierkandt istotę pełnej kultury i jej właściwości a w rozdziale VII. i ostatnim zarazem, jej ciemne strony.

Wierny założeniu swemu, że istota różnicy między ludami niecywilizowanymi a cywilizowanymi polega na przewadze u pierwszych działań popędowych i łączenia wyobrażeń asocyacyjnego a na przewadze u drugich działań refleksyjnych i myślenia apercepcyjnego, logicznego; przyjmuje Vierkandt w pełnej kulturze dwa pokłady *(Schichten)* świadomości u wszystkich jednostek. Górny pokład niejako na powierzchni leżący i nasuwający się przedewszystkiem oku badacza, obejmuje duchowe procesy kierowane wolą; dolny pokład, leżący głębiej, mieści w sobie objawy duchowe, od woli niezawisłe. Od czasów Odrodzenia zwracano tylko uwagę na górną świadomość i przeceniano ją: dziś rozumiemy znaczenie zwłaszcza społeczne i dolnej świadomości. Wskutek tego właśnie, że dolny pokład świadomości pozostaje i przy wysokiej kulturze, przybiera cała kultura ta charakter czegoś nieskończonego, co dopiero jest w rozwoju, jest w części czemś rzeczywistem a w części idealnem!...

Biorąc rzecz psychologicznie, przedstawia się cała kultura jak gdyby górne piętro, zbudowane stosunkowo dość późno, jak na fundamencie, na rozległym podkładzie życia duchowego, popędowego, instynktowego: jest ona czemś sztucznem, zbudowanem na naturze ludzkiej. Natura dopomina się zawsze o swe prawa i wywołuje albo zejście procesów duchowych pokładu górnego świadomości, wskutek ich mechanizacyi w dolny, albo przeciwnie oddziaływa procesami dolnej świadomości, uczuciami, dawnemi tradycyami, na górną. Istota ludzka, posiadająca tylko górną świadomość, robiłaby wrażenie wprost nienaturalne jakiejś maszyny logicznej czy etycznej.

Wola i intellekt (rozum) nie stoją wedle Vierkandta w stosunku przeciwieństwa do siebie, lecz w stosunku pokrewieństwa[1]), bo są przejawami jednej i tej samej, jednolitej woli, która albo kieruje się na zewnątrz i działa, albo na wewnątrz i wtedy stanowi podstawę apercepcyi. Wyższa inteligencya więc, o ile jest objawem wzmożonej energii duchowej, wskazywałaby tem sa-

---

[1]) Przypominamy, że Vierkandt opiera się na założeniach psychologicznych Wundta i stąd podobnie, jak ten pisarz, jest nieraz niejasnym.

niem, zdaniem Vierkandta, na wyrobioną więcej wolę, na większą dzielność moralną. Na zdanie to trudno się zgodzić!...

Jakkolwiek i wola i rozum w ten sposób składają się na całość procesów duchowych, to zdaniem Vierkandta jednostki, warstwy społeczne a wreszcie całe społeczeństwa mogą przybierać albo typ, w którym przeważa wola, działanie na zewnątrz, albo typ, w którym przeważa rozum, refleksya. Pierwszy będzie się odznaczał większą energią, ale też pewną jednostronnością, można rzec — skamieniałością; drugi typ będzie więcej różnostronnym, zmiennym, ruchliwym, ale też w działaniu wahającym się i niepewnym. O ile idzie o całe społeczeństwa, to typ pierwszy reprezentują narody wojownicze, militarne, drugi narody przemysłowe. Różnica ta występuje już między narodami niecywilizowanymi, tam jednak istnieje dopiero w zarodku, staje się ważniejszą w stadyum półkultury, a najdobitniej objawia się w pełnej kulturze. Dość wskazać na Ateny a Spartę w starożytności, na Anglię a Rossyę albo Prusy w czasach dzisiejszych, aby mieć przykłady tej różnicy.

W warstwach społecznych typ, w którym przeważa wola, reprezentują: szlachta, wojskowi, urzędnicy administracyi i dworu; typ refleksyjny: uczeni, artyści i klasa przemysłowa, przyczem uczeni i artyści odznaczają się zarazem idealizmem, przemysłowcom zaś brak właśnie idealnego usposobienia.

Biorąc pod uwagę różnicę płci, musimy konstatować, że w mężczyźnie przeważa z reguły typ refleksyjny, rozum, u kobiety typ popędowy, instynktowy, działanie wedle uczucia.

Co do wartości i znaczenia wyżej omówionych typów społeczeństw, warstw i jednostek, to zależą one od stopnia kultury. Na niższym stopniu kultury mają daleko większą potęgę i znaczenie społeczeństwa i jednostki o typie wojowniczym i przewadze woli, na wyższym stopniu kultury społeczeństwa i jednostki o typie przemysłowym, refleksyjnym. Co do warstw stanów poszczególnych wedle Vierkandta klasa uczonych i artystów ma, nawet dziś, mniejsze znaczenie niż klasa wojskowa i przemysłowa, zwłaszcza w społeczeństwach militarnych. Czy zdanie to Vierkandta jest słusznem? Wątpię, bo w miarę rozwijania się życia konstytucyjnego, parlamentaryzmu i samorządu, tudzież przemiany dawnego państwa centralistycznego w zdecentralizowane, klasa wyższej intelligencyi nabiera coraz większej wagi. Z niej bierze się często ministrów, powołuje się wysokich urzędników!...

Rozpatrując dalej istotę pełnej kultury, zastanawia się Vierkandt nad trzema pytaniami: najpierw, czy kultura nie oddziaływa na jednostki, które są jej psychicznym substratem, na

których ona się właśnie przejawia, szkodliwie, niszcząco; powtóre, czy pewne rasy nie mają specyalnie wyższego uzdolnienia do rozwinięcia u siebie pełnej kultry; wreszcie czy nie ma pewnych objawów zewnętrznych, po których łatwo poznać powstawanie w danem społeczeństwie wyższej kultury?

Co do pytania pierwszego dochodzi do wyniku, że biorąc pod uwagę następstwo po sobie coraz dalszych generacyi żyjących w pełnej kulturze i stosunek klas wyższych zupełnie już jej oddanych, a niższych, które do niej dopiero się wznoszą, trzeba przyjąć, że pełna kultura zużywa tych, co w niej żyją, i że musi mieć miejsce ciągłe, zasilanie nowymi świeżymi żywiołami z pomiędzy warstw niższych a zwłaszcza z pomiędzy ludności wiejskiej, dotychczasowej elity i klas przemysłowych miejskich, zużywających się dzisiaj nerwowo bardzo rychło już po kilku generacyach. Jest to hipoteza, którą już przed Vierkandtem rozwijają: Hansen, Amuron i Dupont. Wykazać dowodnie istnienie takiego prawa mogłyby tylko szczegółowo w tym celu przeprowadzone badania statystyczne. Że jednak hipoteza ta ma wiele za sobą, nie ulega wątpliwości. Między życiem fizycznem a duchowem człowieka istnieje bez kwestyi pewien antagonizm, to też i wyżej rozwinięte życie duchowe, natężoną pracę centrów nerwowych, która się odbywa w niekorzystnych dla organizmu fizycznego warunkach wielkomiastowych, muszą poszczególne jednostki i ich rodziny opłacać powolnem zużywaniem się...

Co do specyalnego uzdolnienia pewnych ras do wyższej cywilizacyi, to biorąc pod uwagę wszystkie rasy ziemi, oświadcza Vierkandt, że kwestyi tej rozstrzygać nie można*; nasze wiadomości psychologiczne o różnych rasach ziemi są zbyt szczupłe i niepewne, by można coś stanowczego orzec. Natomiast biorąc pod uwagę dwie rasy, które zdają mu się więcej uzdolnionemi do cywilizacyi od innych: semicką i aryjską, i porównując je, przyznaje w końcu wyższość aryjskiej rasie. Cała kultura Semitów, mimo doniosłości jej rezultatów na poszczególnych polach, nie dosięga jądra rzeczy, obraca się w próżni. W myśleniu widzimy biegłość formalną, lecz nie skłonność do zajęcia się pewnym określonym przedmiotem, w poezyi: subjektywizm i zwracanie uwagi więcej na formę, jak jasność myśli, w religii występuje tylko obawa przed Bogiem jako potęgą karzącą, izolowanie człowieka i zawisłość jego, nie zaś miłość do Boga, zbliżenie się doń... Dopiero chrześciaństwo stawia wyższy ideał religijny!...

To też Vierkandt przyznaje rasom semickim tę tylko zasługę, że kultura ich tworzyła szkołę przedwstępną dla kultury aryjskiej, że były one niejako kompostem (*Völkerdünger*) potrzebnym dla rozwinięcia się cywilizacyi Aryjczyków.

Za cechy zewnętrzne, po których można poznać pełną kulturę, uważa Vierkandt brak despotyzmu, istnienie miast wielkich i nauki, tudzież poglądu naukowego na świat. Odpowiednio temu nie uważa za społeczeństwa cywilizowane wszystkich dawniejszych państw Wschodu, które wyczerpywały całą swą energię duchową na cele gospodarcze; nie uważa za lud cywilizowany nawet Indów z powodu ich bierności (obawy niejako życia i świata!) i zamknięcia się w ustroju kastowym. Odmawia również prawa do uchodzenia za narody cywilizowane, Żydom i Mahometanom, nawet w ich kulturze średniowiecznej w Hiszpanii; Rzymian uznaje tylko — i słusznie — za naród półcywilizowany z powodu ich braku etyki, upodobania w podbojach, rozlewie krwi i okrucieństwach; Średniowiecze całe zalicza tylko do półkultury i jedynie starożytnych Greków i społeczeństwa nowoczesne przyjmuje do pełnej kultury. Co do Greków godzę się na uważanie ich za naród w pełni cywilizowany, czasy ich kultury bowiem, to czasy, w których — jak słusznie sam Vierkandt się wyraża — geniusz ludzkości po raz pierwszy zwrócił wzrok w niebo!... Natomiast co do społeczeństw nowoczesnych to okres, od którego zalicza je Vierkandt już do pełnej kultury, zdaje się nam być zbyt wczesnym. Zdaniem Vierkandta już z powstawaniem liczniejszem miast i rozwijaniem się gospodarstwa pieniężnego i handlu nastaje w Europie od XIV. lub XV. stulecia pełna kultura. Jeżeli zważymy jednak, że sam poprzednio twierdził — podobnie jak wszyscy niemal nowsi socyologowie — że właściwą istotę pełnej kultury tworzy wyrobienie się większej etyki w życiu, jeżeli zważymy, że dlatego tylko odmówił prawa do pełnej kultury Rzymowi; dlaczegoż mamy uznawać za lepsze: czasy Reformacyi, gdzie tępienie chłopów w Niemczech (*Bauernlegen*) a przesadny absolutyzm i krwawe walki religijne w całej Europie były na porządku dziennym? Nie! pełna kultura w rozumieniu dzisiejszem zaczyna się dopiero od nowoczesnego myślenia, które Vierkandt sam wyżej scharakteryzował, mówiąc o rozwoju pojęć społeczno-psychicznych, od Hume'a — którego niestety za mało uwzględnił — i Kanta; od wyrobienia się etyczniejszego pojęcia państwa (opartego na prawie, *Rechtsstaat*); od zrozumienia, że żyjące w państwie jednostki są nietylko poddanymi, lecz i obywatelami, wobec których panujący ma pewne obowiązki!...

Nie rozumiem też, dlaczego pełną kulturę dzisiejszą ogranicza Vierkandt tylko na zachodnią i środkową Europę, północną Amerykę i południową Afrykę a wyłącza z niej — obok Węgrów — *wszystkich Słowian*? Zdaje mi się, że naród polski, który już dawno przejął cywilizacyę Zachodu, a na polu poezyi i sztuki wydał pierwszorzędnych geniuszów, raczej należy do pełnej kultury, jak n. p. upadająca Hiszpania, w której ulubione walki byków zdradzają panowanie instynktów. upodobania w rozlewie krwi u ogółu, albo południowa (niemiecka) Afryka, gdzie pruscy satrapi dopuszczają się największych okrucieństw! .

Powstawanie pełnej kultury możemy najlepiej obserwować na *Średniowieczu* i w starożytnej *Grecyi*. Rozumie się, że pełna kultura, chociaż już się wytworzy, wykazuje przecież miejscami przeżytki, objawy szczątkowe pierwotnych niższych stanów cywilizacyi. nawroty do — natury. Nawroty te mogą nosić albo charakter *patologiczny*, jak n. p. choroby umysłowe, zboczenia pojęć, nawet silne afekta, które zacieśniają świadomość i popychają do czynów przeciwnych wysokiej kulturze, albo charakter *normalny*.

Objawy niższej kultury wśród pełnej cywilizacyi, które trzeba do *normalnych* zaliczyć, są znowu albo *indywidualne*, albo *społeczne*. Do pierwszych należy dzieciństwo każdego człowieka, które wśród pełnej cywilizacyi przedstawia jak gdyby niższe jej stadyum; do drugich życie duchowe klas niższych niewykształconych w każdem społeczeństwie, które odznacza się brakiem *przezorności o przyszłość, niestałością i zmiennością stosunków gospodarczych a nawet rodzinnych, zabobonami*. Wszystko to, jak wiemy, są właściwości ludów niecywilizowanych. To też *wykształcenie* określa Vierkandt nie jako nabycie większej lub mniejszej ilości wiadomości, lecz *jako przyswojenie sobie istoty pełnej kultury*, *wyrobienie charakteru woli i poglądu etycznego na świat*.

Jak już podnosiłem, przyjmuje Vierkandt, że między stroną duchową człowieka instynktową (świadomością dolną) a refleksyjną od woli niezależną (świadomością górną) istnieje ciągła wymiana. Działania zrazu *popędowe* zaczynają się odbywać z świadomością celu, *racyonalnie* a działania zrazu *refleksyjne* wskutek częstego ich powtarzania, *mechanizują* się i przechodzą do dolnej świadomości. Mechanizacya procesów duchowych (myślenia i działania) zrazu refleksyjnych powoduje to właśnie, że na pierwszą generacyę idea pewna działa ożywczo, na drugą już słabiej, aż w końcu ustaje całkiem jej działanie, owszem pewne myśli. kierunki, które się przeżyły, mogą stawać się zaporą dalszego rozwoju i postępu. Tak widzimy, że pewien

kierunek w sztuce, popada w końcu w konwencyonalizm i manierę, prawo wyradza się w formalizm i biurokracyę, szkolnictwo w przestarzałą rutynę...

Stosunek jednostek między sobą i jednostki każdej do społeczeństwa w pełnej kulturze jest innym, jak na nizkich stopniach cywilizacyi. Biorąc stosunek pierwszy, widzimy, że pierwotna jednolitość świadomości i instynktowe węzły sympatyi wskutek przewagi procesów duchowych refleksyjnych i wyrabiania się odrębnych indywidualności nikną, wzmagają się: różnice ekonomiczne, społeczne, przedział między klasami; jedyną przeciwwagę tej indywidualizacyi stanowi wzrastające u jednostek poczucie etyczne, poczucie obowiązków wobec ogółu.

W stosunku do społeczeństwa każda jednostka w pełnej kulturze już wskutek wychowania ma ze społeczeństwem cały szereg wyobrażeń i pojęć, uczuć i tradycyi wspólnych. Dopiero przejąwszy z wychowaniem to wszystko, może jednostka objawić pewną samodzielność duchową, ale i tu krępowaną jest zwyczajem, opinią publiczną, prądami politycznymi, ideami swego czasu, nawet modą. Co do wpływu, jaki mogą wywierać wybitne jednostki, tak zwani „wielcy ludzie“ na czas swój i swoje społeczeństwo, to Vierkandt rozróżnia wybitne jednostki, które są tylko skrystalizowaniem idei swego czasu, reprezentują je tylko i umysły twórcze, które kierują społeczeństwem i prądami czasu. Odrzuca przytem słusznie przesadzony indywidualizm, twierdząc, że dotyczące prądy, idee, muszą już być przygotowane, unosić się w atmosferze duchowej czasu; wielki człowiek potrzebuje dać im tylko należyty wyraz i dalej nimi celowo pokierować...

Następstwem postępującej z cywilizacyą indywidualizacyi, rozluźnienia dawnych węzłów, które łączyły jednostkę ze społeczeństwem, jest atomizacya, rozprószenie społeczeństwa na pył jednostek ludzkich, z których każda oddzielnie dla siebie żyje i czuje!... Z początkiem i w pierwszej połowie naszego stulecia nastąpiła atomizacya szczególnie silnie w kierunku gospodarczym. I dziś jednak objawia się ona zdaniem Vierkandta w trzech kierunkach, w używaniu i przyjemnościach życia — dawne wspólne przyjemności, tradycyjne święta, obchody familijne nikną, a każdy sam dla siebie szuka rozrywek coraz to nowszych; wreszcie w nastroju życiowym i religijnym. Co do kierunku drugiego podnosi Vierkandt, że w pełnej kulturze nieraz jednostka sama dla siebie jest największą zagadką, czuje się atomem w świecie, kroplą w morzu istot zupełnie mu obcych, i zwraca uwagę na powiedzenia Rénana i Nietschego, które są odbiciem tych uczuć. Pierwszy nazywa życie *une promenade charmante*. drugi *ein Experiment*

des Erkennenden. Wreszcie i religia, przeceniając znaczenie pojedyńczej duszy ludzkiej, ma zdaniem Vierkandta przyczyniać się do „atomizacyi" społeczeństw. Zdaniem naszem atomizacya występuje najsilniej w pierwszym ze wskazanych wyżej kierunków, chociaż i dziś dążenie do tworzenia stowarzyszeń dla pielęgnowania pewnych sportów, rozrywek i t. d. ją zmniejsza. W kierunku drugim uczucia opisane będą mieli ci, którzy rzeczywiście są wykorzenieni, nie mają ideałów etycznych i społecznych, Co do religii zaś, to działa ona dziś więcej, jak kiedykolwiek społecznie.

Do istoty pełnej kultury należy dalej to, że jej życie historyczne ma charakter stałości, powolnego rozwoju stosunków politycznych, bo zmysł krytyczny, dążenie do reform przeciwważy konserwatyzm czy polityczny, czy z etycznych pobudek wynikły. Religia pełnej kultury odznacza się etycznem pogłębieniem a ustąpieniem momentu formalnego; nauka: przedmiotowością, zdolnością do syntezy, badaniem z czysto idealnego, nie praktycznego interesu — to wszystko są warunki konieczne jej powstania — wreszcie zaś, jak już o tem wyżej mówiliśmy, pojmowaniem faktów nie mitologicznem i substancyalnem, lecz genetycznem i aktualnem.

Rozdział VI., w którym Vierkandt wciąż się powtarza i rozbiera szczegółowiej to, co już mówił poprzednio, i który dlatego bardzo zwięźle przejdziemy, nosi tytuł: „Właściwości pełnej kultury".

Właściwości te ocenia autor raz ze względu na rozwój woli i działalności ludzkiej, powtóre ze względu na postępującą racyonalizacyę życia, jako trzeci moment rozważa dualizm występujący w pełnej kulturze, a jako moment czwarty nastrój życiowy jednostek, które w niej żyją.

Przy rozwoju woli ludzkiej w pełnej kulturze zasługują zdaniem Vierkandta trzy rzeczy na uwagę: postępy techniki, etyka i usposobienie więcej lub mniej idealne, w którem się działa. Postępy techniki dadzą się scharakteryzować krótko: odległość między początkowym a końcowym aktem produkcyi, precyzya, ekonomia w pracy i materyale rosną, z drugiej strony zaś zwiększa się eliminacya człowieka: gdzie można zastępuje się go maszyną.

Najważniejsze postępy etyki w pełnej kulturze widzi autor słusznie we większem opanowywaniu siebie i zdolności do ofiar, rozróżnia jednak w idealizmie pełnej kultury dwa typy: idealizm pierwszorzędny i drugorzędny. Przy pierwszym, działanie następuje wyłącznie z pobudek idealnych — tak działają w praktyce tylko wybitne pod względem charakteru jednostki, teoretycznie

zaś biorąc, nakazują tak działać przepisy religii i moralności. I d e a l i z m d r u g o r z ę d n y, przy którym obok altruistycznych przychodzą i e g o i s t y c z n e motywa, przenika całe życie społeczne. Masy nie działają nigdy z czysto idealnych motywów! Prawdziwie i d e a l n e u s p o s o b i e n i e p o l e g a z r e s z t ą n i e n a i n t e l l e k c i e, l e c z n a c h a r a k t e r z e, w y r o b i e n i u w o l i w k i e r u n k u e t y c z n y m i d z i a ł a n i u z w y t r w a ł o ś c i ą.

Racyonalizacya życia i zmniejszanie się coraz strony niewłasnowolnej, uczuciowej procesów duchowych, to objawy, które pociąga ze sobą z koniecznością pełna cywilizacya. W kierunku teoretycznym widzimy jako konsekwencye tego: przesadny intellektualizm, indywidualizm, nawet kosmopolityzm W praktyce widzimy: rozważanie wszystkiego tylko ze strony korzyści, jakie pewien krok przynieść może, gonienie za pieniądzem, jako środkiem użycia, i za wyrafinowanem a materyalnem użyciem, jednostronny kierunek rozumowy w wychowaniu, upodobanie w gryzącym dowcipie i ironii, nawet zmateryalizowanie literatury i sztuki [1]).

D u a l i z m p e ł n e j k u l t u r y w tem zaś polega zdaniem Vierkandta, że właściwa istota kultury tej jest czemś nietylko przechodzącem siły pojedyńczej jednostki, lecz czemś wprost n i e o s o b i s t e m. Kultura występuje i objawia się w jednostce, lecz dobra duchowe kultury są na takiej wysokości, że jednostka tylko przelotnie zdobyć je może, bo przeciętny poziom życia jednostki leży znacznie niżej. Cała kultura jest dziwnym mechanizmem, który dozwala jednostkom mniej wartym dla siebie samych, osiągnąć dobra więcej warte, a środkami do tego są p o d z i a ł p r a c y, coraz rosnący — to czego jednostka nie jest w stanie osiągnąć, osiągnie wiele jednostek i stworzy dobra, przechodzące ich życie i nadal trwające — a powtóre m e c h a n i z a c y a p r o c e s ó w d u c h o w y c h zrazu refleksyjnych. Przez nie, zdobyte dobra kultury udzielają się dalszym generacyom.

Wskutek tego dualizmu pełnej kultury: wysokich dóbr, które ona zawiera, a nie dorównywającej temu natury jednostek, n a s t r ó j d u c h o w y j e d n o s t e k w p e ł n e j k u l t u r z e j e s t wedle Vierkandta: s m u t n y i p e ł e n r e z y g n a c y i! W s k t e k s p y c h a n i a n a c o r a z d a l s z y p l a n s t r o n y p o p ę d o w e j, u c z u c i o w e j ducha ludzkiego, jednostki cywilizowane nie znają tej radości używania zmysłowego, życia jedynie w chwili bieżącej a nie troszczenia

[1]) Na ostateczne twierdzenie nie zgodzilibyśmy się, owszem literatura i sztuka ostatniej doby noszą charakter przesadnie subjektywny symboliczny, nawet mistyczny . . .

się o przyszłość, jakie cechują ludy niecywilizowane. Estetyczne użycie życia niknie, każdy widzi w rzeczach go otaczających tylko środki do dalszych duchowych celów, rozumie wobec komplikujących się stosunków życia, że sam mało, prawie nic nie znaczy. Z drugiej strony postępująca racyonalizacya odziera życie z wszelkiego wdzięku i okrywa je szarą trzeźwością, dając jedynie radę, żeby użyć jak najwięcej a jak najmniej narazić się na ból i cierpienie..

Postępująca również atomizacya wywołuje u człowieka cywilizowanego uczucie samotności: zwłaszcza wrażliwsze, wyżej czujące i myślące jednostki, których stan duchowy stoi ponad przeciętnym poziomem, czują to odosobnienie w całej pełni.

Wreszcie i natężenie nerwów i umysłu, jakich wymaga pełna kultura (przypominamy gonitwę za zyskiem i jednostronne w tym kierunku wyrobienie się duchowe pewnych klas i jednostek); niezadowolenie, jakie budzi przepaść, oddzielająca ideał od rzeczywistości, świadomość, że ideału ani teoretycznego, ani praktycznego mimo całej pracy się nie osiągnie, wszystko to powoduje, że nastrój duchowy jednostek wysokiej kultury musi być smutnym i pełnym rezygnacyi! W ten sposób los ludzkości jest zdaniem Vierkandta prawdziwie tragicznym. Z jednej strony społeczeństwa całe rozkwitają dopiero w wysokiej kulturze, dopiero w niej korzystają z najwyższych dóbr duchowych i materyalnych; z drugiej jednostki, tworzące te społeczeństwa, właśnie skutkiem zakosztowania tej trucizny, jaką jest pełna kultura, zużywają się w niej, tracą szczęście indywidualne i giną. Stąd tęsknota taka za naturą, która ogarnia ludzi żyjących sztucznem życiem cywilizacyi, stąd wdzięk, jaki mają dla człowieka cywilizowanego naiwność lub nawet nielogiczność dziecka i... kobiety!

Jeżeli już właściwości pełnej kultury kreślił Vierkandt za pesymistycznie, to w zupełnie czarnych i ponurych barwach przedstawia jej „dwoistość i niedostatki". Jest to siódmy i ostatni rozdział jego pracy.

Cywilizacya nie może jego zdaniem rozwinąć się w pełni, bo sama w sobie ma momenta, które jej rozwój tamują. Występuje też w niej cała jednostronność ducha ludzkiego, który nie może w pełni we wszystkich kierunkach się rozwinąć, występują sprzeczności i redukcye.

Z dualizmu pełnej kultury wynika, że jej wartość objektywna, zwłaszcza etyczna, stoi wyżej od subjektywnej, t. j. okazującej się w jednostkach. Jednostka skłonną jest do przeceniania siebie, społeczeństwo bierze znowu pod uwagę jedynie stronę społeczną jednostek, chciałoby je zniwelować (!)...

Pełna kultura tamuje dalej regulowanie się samo ze siebie życia społecznego, n. p. prawo martwieje i staje się tylko przeszkodą do swobodnego rozwoju poczucia prawnego, zbyt łagodne wskutek idei humanitarnych ustawodawstwo karne zachęca do występków . . .

Pogląd racyonalistyczny, który widzi we wszystkiem tylko środki do celu, bierze w pełnej kulturze górę nad poglądem etycznym i mitologicznym, wywołuje nowe niebezpieczeństwa dla kultury: jej jednostronność, usuwanie na bok życia instynktowego, uczuciowego, rozważanie wszystkiego ze strony celu i korzyści i podkopuje w ten sposób całą estetykę życia. Przewaga zaś myślenia kauzalnego i analizy gubi idealizm i wysuwa na plan pierwszy ciemne strony życia.

Do redukcyi pełnej kultury zalicza Vierkandt zanikanie żywiołu estetycznego i życia religijnego do momentów, które ją hamują: zużywanie przez społeczeństwa cywilizowane zbyt dużo energii na cele gospodarcze tak, że tej energii braknie w innych zakresach, dalej niedostateczność mowy i środków technicznych sztuki dla wyrażenia zupełnego myśli i uczuć. Podnosi wreszcie, że i instytucye społeczne i prawne a tak samo czynniki zewnętrzne (położenie geograficzne, stosunki polityczne z innymi narodami) mogą wstrzymywać tamować rozwój kultury . . .

Dochodząc więc do „zamknięcia filozoficznego“ — był na to już wielki czas! — konstatuje Vierkandt, że pełna cywilizacya jest pięknym, lecz „nader delikatnym kwiatem, który udaje się tylko w wyjątkowej glebie i wyjątkowych warunkach“, z reguły jednak ginie z braku żywotności.

Sprzeczności pełnej kultury nie wytłómaczy ani monizm filozoficzny, bo pozostawia niewyjaśnioną dwoistość celów i środków; przeciw dualizmowi zaś mówi logika [1]) a także i samowiedza społeczeństw dzisiejszych, które w walce o cywilizacyę mają tylko w części uczucie zwycięzcy, w części zaś uczucie, że wynik walki jest niepewnym (?) . . .

* * *

Skończyłem rozbiór „Ludów natury i kultury“. Ponieważ już w ciągu rozbioru wytykałem szczegółowe błędy tej pracy, po-

[1]) Że logika nie sprzeciwia się dualizmowi filozoficznemu, bardzo słusznie wywodzi Külpe: „O zadaniach i kierunkach filozofii“, wydanie „Wiedza i Życie“, tom II. str. 42 i n.

zostaje tu mi wydać tylko o niej sąd ogólny. Praca ta, która jest więcej psychologiczną, jak socyologiczną, ma niezaprzeczoną wartość, ze względu na obficie zebrany materyał faktyczny i wyciągane zeń, po większej części trafne wnioski. Z drugiej strony jednak posiada i znaczne wady. Po pierwsze, pisana jest ciężko, miejscami nawet — dzięki opieraniu się ciągłemu na Wundtcie — niejasno. Powtóre jest zanadto — systematyczną w złem tego słowa znaczeniu. Każdy rozdział rozpada się na całą ilość mniejszych rozdziałów i odpowiednią cyfrę rozdzialików. Na każdej stronie niemal. przy każdem pojęciu, spotykamy się z siedmiu lub ośmiu punktami, które autor z całą pedanteryą z góry zapowiada. Nuży to i męczy czytelnika, zwłaszcza że autor w nieskończoność się powtarza...

Za błąd główny *in merito* całej pracy uważam zbyt czarne przedstawienie nowoczesnej cywilizacyi, nazwanie jej wprost trucizną, a brak przytem należytej oceny filozoficznej zjawisk cywilizacyjnych.

Zapewne, że postępujący racyonalizm, krytycyzm, zaostrzenie się walki o byt są ciemnemi stronami nowoczesnej cywilizacyi, lecz obok tego postęp etyczny: doniosłe reformy społeczne, które przeżyliśmy, i nowe, które stają przed nami w dalszej przyszłości, mogą budzić wiarę w lepszą przyszłość. Autor zdaje się nie znać dostatecznie — co w niejednem miejscu zdradza — rozwoju nowszego stosunków ekonomicznych i społecznych, aby móc ocenić olbrzymi przedział etyczny, jaki dzieli czasy obecne, choćby od początku naszego stulecia. A że bierze przytem pod uwagę przy skutkach cywilizacyi jedynie szczęście egoistyczne a nawet przeważnie materyalne jednostki, nie dziw przeto, że cały pogląd na cywilizacyę wypadł — pesymistycznie! [1])

Dr. W. P.

[1]) Por. wywody moje na początku niniejszej recenzyi. „Przewodnik naukowy i literacki z maja r. b. str. 524.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.